

HENRY JAMES

**DOM
NA PLACU
WASZYNGTONA**

Przełożyła Maria Skroczyńska

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału „WASHINGTON SQUARE”

ROZDZIAŁ 1

W pewnych latach pierwszej połowy naszego stulecia *, a ściślej mówiąc, u jej schyłku, praktykował z największym powodzeniem w śródmieściu nowojorskim lekarz, który w wyjątkowej chyba mierze cieszył się uznaniem, jakim w Stanach Zjednoczonych darzono zawsze wybitnych przedstawicieli zawodu medycznego. Zawód ów w Ameryce ceniony był niezmiennie i mógł z większym powodzeniem niż gdzie indziej rościć sobie prawo do miana: „zawód wolny”. W kraju, gdzie człowiek chcąc odgrywać jakąś rolę w społeczeństwie musi albo zarabiać na swoje utrzymanie, albo stwarzać pozory, że zarabia, sztuka leczenia zdaje się w znacznym stopniu łączyć w sobie dwa powszechnie uznane źródła zaufania. Należy ona do dziedziny spraw praktycznych, co w Stanach Zjednoczonych poważną jest rekomendacją; ponadto opromieniona jest światłością nauki – zaleta ceniona w społeczności, dla której umiłowanie wiedzy nie zawsze było związane z wolnym czasem i możliwościami.

Na sławę doktora Slopera złożyła się również okoliczność, że jego wiedza i umiejętności doskonale się równoważyły. Był on tym, co się zwie: „uczony doktor”, a jednak w jego remediach nie było nic abstrakcyjnego – zawsze kazał coś zażywać. I choć uważano go za człowieka nadzwyczaj sumiennego, nie dręczył ludzi teoriami; jeśli nawet czasem

* Pierwsze wydanie Washington Square ukazało się w roku 1881, w wydawnictwie Harper and Brothers (przyp. tłum.).

tłumaczył coś bardziej szczegółowo, niżby się to zdawało potrzebne pacjentowi, nigdy nie posunął się tak daleko, by (jak niektórzy praktycy znani nam ze słyszenia) poprzestać na samym wyjaśnieniu, lecz zawsze pozostawiał receptę trudną do rozszyfrowania. Bywali lekarze, którzy pozostawiali receptę bez żadnego zgoła wyjaśnienia, on wszakże nie należał do tej kategorii, tego gatunku – co tu mówić – najbardziej prostackiego. Czytelnik przekona się, że opisuję tu człowieka inteligentnego i że dla tej głównie właściwości doktor Sioper stał się miejscową sławą. W czasach, które obchodzą nas szczególnie, miał on bez mała lat pięćdziesiąt i popularność jego już dosięgła szczytu. Bystry, dowcipny, w najlepszym towarzystwie nowojorskim uchodził za człowieka światowego – którym był, zaiste, w nader zadowalającym stopniu. Aby uprzedzić jakiegokolwiek nieporozumienia, spieszę dodać, że nie miał on w sobie ani odrobiny z szarlatana. Był z gruntu uczciwy – uczciwy w tej mierze, jakiej sam może w pełni określić nie potrafił; i niezależnie od wielkiej dobroduszości środowiska, w którym praktykował i które lubiło się zwykle chełpić tym, że ma „najbardziej uzdolnionego” lekarza w całym kraju, doktor Sioper co dzień dawał wyraz talentom powszechnie mu przypisywanym. Był dobrym obserwatorem, ba, nawet filozofem, a bystrość sądu była dla niego czymś tak naturalnym i (jak mawiano) przychodziła mu tak łatwo, że nigdy nic nie czynił dla efektu – obce mu były wszelkie sztuczki i ambicje sław podrzędnych. Trzeba przyznać, że fortuna mu sprzyjała i że kroczył ku swej pomyślności bardzo łagodną ścieżką. W dwudziestym siódmym roku życia poślubił czarującą pannę, Katarzynę Harrington z Nowego Jorku; ożenił się z miłości, zaś panna Harrington w dodatku do swych wdzięków wniosła mu rzetelny posag. Pani Sioper była miłą, pełną gracji i ogłady, elegancką młodą damą i w roku 1820 należała do urodziwych przedstawicielek małej, lecz obiecującej metropolii, która skupiła się wokół Battery z widokiem na Zatokę i której górną granicę wytyczały trawiaste pobocza ulicy Kanałowej. Mimo swych dwudziestu siedmiu lat Augustyn Sioper dostatecznie się wyróżniał na to, by złagodzić anomalię faktu, iż światowa młoda dama posiadająca dziesięć tysięcy dolarów rocznego dochodu i najcudowniejsze oczy na wyspie Manhattan, wybrała właśnie jego spośród tuzina konkurentów. A oczy te i parę innych szczegółów z nimi związanych były przez jakieś pięć lat źródłem największej radości dla młodego medyka, małżonka oddanego i bardzo szczęśliwego. Ożenek z bogatą panną nie zmienił drogi życia, jaką sobie był wytyczył, i doktor doskonalił swój zawód z tak samo ściśle określonym celem, jakby nadal nie miał innych źródeł utrzymania poza cząstką skromnej ojcowizny, którą po śmierci ojca dzielił z braćmi i siostrami. Celem tym nie była głównie chęć zarobku – chciał raczej czegoś się nauczyć i czegoś dokonać. Nauczyć się czegoś ciekawego, zrobić coś pożytecznego – oto, najogólniej biorąc, program, który sobie naszkicował, a programu tego w żadnej mierze nie zdołałaby podważyć przypadkowa okoliczność, jaką był dochód jego żony. Lubił swój zawód, lubił korzystać ze

swych umiejętności, których świadomość sprawiała mu zadowolenie, a prosta prawda, że nie mógłby być nikim innym jak lekarzem, utwierdzała go w postanowieniu, by być lekarzem jak najlepszym. Oczywiście, że pomyślność w domu oszczędziła mu mozołu, a przynależność żony do „najlepszego towarzystwa” przysparzała pacjentów, u których objawy chorobowe może nie są bardziej interesujące niż u ludzi ze sfer niższych, ale za to bardziej systematycznie ujawniane. Doktor Sloper pragnął zdobyć doświadczenie i w ciągu dwudziestu lat nabył go niemało. Trzeba dodać, iż przybierało ono niekiedy takie formy, że bez względu na ich głębszą wartość stawało się niepożądane. Pierwsze dziecko doktora, chłopczyk nad wyraz obiecujący, jak utrzymywał nieskłony przeciw do łatwego entuzjazmu ojciec, umarło w trzecim roku życia pomimo całej wiedzy ojca zespolonej z najczulszymi staraniami matki, aby je ocalić. W dwa lata później pani Sloper urodziła drugie dziecko, a płeć nieszczęsnego maleństwa nie mogła zdaniem doktora zrównoważyć straty jego nieodżałowanego pierworodnego, z którego obiecywał sobie zrobić wspaniałego mężczyznę. Dziewuszka przyniosła mu rozczarowanie, lecz nie dość na tym, bo w tydzień po jej urodzeniu młoda matka, która jak to się zwykle mówi, dobrze się miewała, zaczęła nagle zdradzać wysoce niepokojące objawy chorobowe i nim upłynął drugi tydzień, Augustyn Sloper został wdowcem.

Jak na człowieka, który trudni się ochroną życia, doktor z pewnością nie najlepiej spisał się we własnym domu; a zdolny lekarz, który w ciągu trzech lat traci żonę i małego synka, powinien się może przygotować na stwierdzenie niedostatku swych umiejętności albo uczuć. Nasz przyjaciel wszakże uniknął krytyki; to znaczy, uniknął wszelkiej krytyki z wyjątkiem własnej, ta zaś była najbardziej miarodajna, najstraszliwsza. I już do końca swoich dni dźwigał ciężar tej ściśle prywatnej nagany, do końca też nosił w sobie znamię kary, jaką mu wymierzyła najsurowsza w świecie ręka owej nocy, gdy śmierć zabrała jego żonę. Świat, który – jak powiedziałem – wysoko go cenił, za bardzo mu współczuł, by się z niego naigrawać; nieszczęście przydało mu atrakcyjności, ba, nawet zyskał jeszcze większe wzięcie. Stwierdzono, że i lekarskie domy nie mogą uniknąć groźnych chorób i że przeciw doktor Sloper stracił innych pacjentów, nie tylko tamtych dwoje, których wymieniłem; to zaś stanowiło precedens honorowy. Pozostała mu córeczka; a choć nie spełniała ona jego marzeń, postanowił ją wychować jak najlepiej. Dysponował niewyczerpanym zasobem autorytetu, z czego mała we wczesnych latach wyniosła znaczną korzyść. Otrzymała – naturalnym biegiem rzeczy – imię po nieszczęsnej matce i nawet gdy była jeszcze niemowlęciem, doktor nie nazywał jej inaczej jak tylko: Katarzyna. Wyrosła na czerstwe, zdrowe dziecko i ojciec patrząc na nią często mówił sobie w duchu, że w tym stanie rzeczy może się przynajmniej nie obawiać, iż ją straci. „W tym stanie rzeczy”, powiadam, gdyż prawdę rzekłszy... Lecz jest to prawda, do której wrócę później.

ROZDZIAŁ 2

Gdy dziecko miało już jakieś dziesięć lat, doktor Sloper poprosił swoją siostrę, panią Penniman, aby przyjechała i pobyła w jego domu. Panien Sloper było tylko dwie i obie wcześniej wyszły za mąż. Młodsza, pani Almond, była żoną dobrze prosperującego kupca i matką kwitnącej rodziny. Ona sama także promieniała zdrowiem i będąc kobietą urodziwą, spokojną i rozsądną, cieszyła się sympatią swego inteligentnego brata, który w kwestii kobiet, nawet blisko z nim spokrewnionych, miał upodobania wyraźnie określone. Wolał przeto panią Almond od drugiej siostry, Lavinii, która poślubiła ubogiego duchownego o chorowitej konstytucji i kwiecistej elokwencji, po czym w wieku trzydziestu trzech lat została wdową – bez potomstwa i majątku, a tylko ze wspomnieniem kwiatów retoryki pana Pennima-na, których nieuchwytny aromat unosił się także nad jej własnym stylem konwersacji. Niemniej, doktor Sloper zaofiarował jej mieszkanie pod swym dachem, Lavinia zaś przyjęła to z gotowością kobiety, która spędziła dziesięć lat swego małżeńskiego żywota w mieście Poughkeepsie. Doktor nie proponował pani Penniman, żeby zamieszkała z nim na czas nieograniczony, sugerował jedynie, by zatrzymała się u niego w domu i rozejrzała za jakimś nieumeblowanym pomieszczeniem. Nie wiadomo, czy pani Penniman próbowała

kiedykolwiek znaleźć dla siebie owo nieumeblowane pomieszczenie, nie ma natomiast żadnej wątpliwości, że go nie znalazła. Osiedliła się u brata, by już go nigdy nie opuścić, i gdy Katarzyna miała lat dwadzieścia, ciotka Lawinia była ciągle jeszcze jedną z najbardziej uderzających osobliwości jej najbliższego otoczenia. Co zaś do stałego zamieszkania, pani Penniman utrzymywała, iż została po to, by zająć się edukacją bratanicy. Tak przynajmniej dowodziła każdemu prócz doktora, który nigdy nie domagał się wyjaśnień, jako że sam gwoździł rozrywki mógł ich sobie dostarczyć każdej chwili. Pani Penniman zresztą, mimo sporej dozy pewnego gatunku śmiałości udawanej, dla jakichś niejasnych przyczyn wzdragała się zaprezentować bratu swą osobę jako źródło oświecenia. Poczuciem humoru zbyt się nie odznaczała, miała go jednak tyle, by uniknąć tego błędu; brat zaś ze swej strony miał go tyle, by wybaczyć siostrze, iż znalazłszy się w podobnej sytuacji nałożyła na niego kontrybucję niemal dożywotnią. Toteż udzielił milczącego przyzwolenia na milczącą propozycję pani Penniman, która utrzymywała, iż jest rzeczą wielkiej wagi, aby pozbawiona matki biedna Katarzyna miała przy sobie kobietę błyskotliwą. Zgoda jego musiała być milcząca, - jako że blask siostrzanego intelektu nigdy go nie olśnił. Zresztą, żadna cecha kobieca nigdy go nie olśniła, chyba tylko wtedy, gdy zakochał się w Katarzynie Harrington. A choć w pewnym sensie był tym, co się nazywa „lekarz dam”, w głębi duszy do tej płci bardziej skomplikowanej nie żywił zbyt wielkiego przekonania. Komplikacje tej płci uważał raczej za ciekawe aniżeli budujące - hołdował idei piękna rozumu, która to idea, jak zaobserwował u swoich pacjentek, ubogie na ogół znajdowała urzeczywistnienie. Żona jego, pani rozumna, jaskrawym była tu wyjątkiem - jeśli istniało coś, co do czego doktor nie miał wątpliwości, tego był chyba najbardziej pewien. Przeświadczenie takie, rzecz jasna, nie złagodziło i nie skróciło mu wdowieństwa, ograniczało za to uznanie (jeśli można tu mówić o uznaniu) dla zdolności małej Katarzyny i duszpasterskich usług pani Penniman. Niemniej, gdy upłynęło sześć miesięcy, uznał stałą obecność siostry w swoim domu za fakt dokonany, a że Katarzyna już podrosła, stwierdził, że ostatecznie istnieją pewne racje, aby miała towarzyszkę tej samej niedoskonałej płci. Był nad wyraz uprzejmy dla Lawinii, tą uprzejmością pedantyczną, oficjalną; zresztą, „nigdy nie widziała go rozgniewanego, raz tylko wyszedł z siebie w trakcie jakiejś teologicznej sprzeczki z jej nieboszczykiem mężem. Z nią samą nigdy nie dyskutował ani o teologii, ani w ogóle o czymkolwiek. Zadawała się przekazywaniem jej w formie przejrystego ultimatum swych wyraźnych życzeń dotyczących Katarzyny.

Któregoś razu, gdy dziewczynka miała już blisko dwanaście lat, powiedział siostrze:

- Postaraj się, Lawinio, zrobić z niej kobietę rozgarniętą. Bardzo bym sobie tego życzył.

Pani Penniman przybrała w odpowiedzi zamyśloną minę.

- Mój drogi Augustynie - zapytała wreszcie - sądzisz, że lepiej być rozgarniętą aniżeli dobrą?

- Dobrą do czego? - odparował doktor. - Człowiek nierozgarnięty nie nadaje się do niczego.

Pani Penniman nie widziała powodu, by zaprzeczać. Uważała pewnie, że swą własną ogromną użyteczność na tym świecie zawdzięcza wielorakim uzdolnieniom.

- Rozumie się, że chcę, aby Katarzyna była dobra - powiedział doktor następnego dnia. - Ale nie będzie ani odrobinę mniej cnotliwa mając rozum. Niegodziwość jej nie grozi; nigdy nie będzie miała w sobie ani krztyny złośliwości. Jest „dobra niczym dobry chleb”, jak mówią Francuzi. Lecz nie chciałbym za jakie sześć lat porównywać jej do dobrego chleba z masłem.

- Boisz się, że będzie bez wyrazu? Kochany braciszku, przecież to ja dostarczam tego masła, więc nie musisz się obawiać! - odparła pani Penniman, która zajęła się „doskonaleniem” małej, nadzorując ją przy fortepianie, gdzie Katarzyna zdradzała pewien talent, i chodząc z nią na lekcje tańca, gdzie - trzeba wyznać - dziewczynka niczym się nie wyróżniała.

Pani Penniman była kobietą wysoką, chudą, jasnowłosą, nieco już przywiedłą. Odznaczała się najmiłszym w świecie usposobieniem, wzorową uprzejmością, zamiłowaniem do literatury rozrywkowej, a także pewnym niemadrym krętaństwem i dwulicowością charakteru. Była romantyczna i sentymentalna; pasjami lubiła sekreciki, tajemnice - pasja bardzo niewinna, bo jej sekrety były dotąd zawsze równie bezużyteczne jak zepsute jajka. Nie grzeszyła bezwzględnością

prawdomównością, lecz wada ta nie pociągała za sobą groźnych skutków, gdyż pani Penniman nigdy nie miała nic do ukrywania. Cieszyłaby się, gdyby mogła mieć kochanka i pod przybranym imieniem korespondować z nim pozostawiając listy w jakimś sklepie. Muszę tutaj dodać, że jej wyobraźnia nigdy nie posuwała intymności poza te granice. Kochanka pani Penniman nigdy nie miała, lecz jej brat, człowiek nader bystry, zrozumiał, co sobie zamyśliła. „Gdy Katarzyna będzie miała jakieś siedemnaście lat – mówił sobie w duchu – Lawinia spróbuje ją przekonać, że pewien młodzian z wąsikiem jest w niej zakochany. Nie będzie to miało nic wspólnego z prawdą, bo żaden młody człowiek, z wąsikiem czy bez, nie zakocha się nigdy w Katarzynie. Ale Lawinia już się postara jej to wmówić. Może nawet przewycięży skłonność do tajemnych działań "i podzieli się tym ze mną. Katarzyna na szczęście zachowa spokój ducha – nie będzie świadkiem tej rozmowy ani w to nie uwierzy; Katarzyna, biedactwo, nie jest romantyczką.”

Była zdrowym, dobrze rozwiniętym dzieckiem bez śladu urody matki. Brzydka też nie była; po prostu miała zwyczaj-, na, nieciekawą, dobrotliwą powierzchowność. Mówiono o niej co najwyżej, że ma „miłą” buzię; nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby uważać ją za piękność, choć była spadkobierczynią pani Sloper. Opinia doktora o prawości córki aż nadto była uzasadniona: dziewczynka odznaczała się dobrocią wprost nadzwyczajną, niezachwianą; kochająca, posłuszna i uległa, miała także wyraźną skłonność do mówienia prawdy. W dziecięcych latach niemało swawoliła i choć niezręcznie wyznać to o swojej bohaterce, muszę dodać, że była po trosze obżartuchem. Nie wykradała wprawdzie rodzynek ze spiżarni – przynajmniej nigdy o tym nie słyszałem – za to swoje kieszonkowe grosze wydawała na kremówki. Co do tego jednak, wszelka krytyka pozostałaby w niezgodzie z rzetelnymi zapiskami każdego biografy, dotyczącymi lat wcześniejszych. Katarzyna bowiem była zdecydowanie mało bystra. Nauka nie przychodziła jej zbyt łatwo, jak zresztą wszystko inne. Nie było to upośledzenie chorobliwe i wiedzę opanowała na tyle, by radzić sobie nie najgorzej w rozmowie z rówieśnikami, •wśród których wszakże – trzeba przyznać – zajmowała niepoczesne miejsce. A w Nowym Jorku, jak wiadomo, młoda dziewczyna może grać pierwsze skrzypce. Katarzyna jednak, panna nader skromna, nie chciała błyszczeć i przy okazjach towarzyskich, jak to nazywają, czaiła się zwykle gdzieś na drugim planie. Do ojca była nadzwyczaj przywiązana i bardzo się go lękała; uważała, że jest najmądrzejszym, najprzystojniejszym i najbardziej poważanym z mężczyzn. Biedactwo, ocena jej tak dalece była podyktowana uczuciami, że ten maleńki dreszcz bojaźni zmieszany z dziecięcym uwielbieniem przydawał tylko uroku całej sprawie. Dogodzić mu było najżywszym jej pragnieniem, a miara szczęścia – świadomość, że tego dokonała. Dokonywała tego zresztą tylko połowicznie i choć, ogólnie biorąc, okazywał jej ojcowskie względy, zdawała sobie doskonale sprawę z owych granic, toteż przekroczenie ich wydawało jej się czymś, dla czego doprawdy warto było żyć. Nie mogła naturalnie wiedzieć o tym, że go rozczarowała, choć doktor kilka razy nieledwie się z tym zdradził. Rosła przeto w spokoju i dostatku, lecz doszedłszy osiemnastu lat nie była ta roztropną panną, jaką miała z niej zrobić ciotka Penniman. Doktor Sloper chciał być dumny z córki, ale w nieszczęsnej Katarzynie nie znajdował nic takiego, co mogłoby go napawać dumą. Nie było w niej, rzecz jasna, nic, czego by mógł się wstydzić, nie wystarczało mu to jednak, gdyż sam będąc człowiekiem dumnym, cieszyłby się, gdyby mógł uważać córkę za dziewczynę nieprzeciętną. Powinna by odznaczać się urodą, wdziękiem, inteligencją i dystynkcją, jej matka przecież była najbardziej czarującą kobietą swoich czasów – krótkotrwałych – co zaś się tyczy ojca, ten oczywiście znał swą wartość. Miewał też momenty irytacji, że spłodził pospolite dziecko, ba, niekiedy posuwał się tak daleko, że z niejaką satysfakcją myślał o tym, iż żona do tego odkrycia nie dożyła. On sam naturalnie nie od razu się z tym pogodził, dopiero gdy Katarzyna stała się dorosłą panną, uznał rzecz za przesadzoną. Przecież jednak, mimo licznych zastrzeżeń, gotów był się opowiedzieć na jej korzyść nie spiesząc się z konkluzjami. Pani Penniman zapewniała go częstokroć o zachwycającym usposobieniu jego córki, on jednak wiedział, jak tłumaczyć sobie takie zapewnienia: dla niego znaczyło to, iż Katarzyna nie jest dostatecznie mądra, by stwierdzić, że ciotka jest gęsią, a takie ograniczenie umysłowe nie mogło być niemiłe pani Penniman. Wszelako oboje z bratem przesadzali co do umysłowych braków Katarzyny, ta bowiem, acz szczerze do ciotki przywiązana i świadoma swych długów wdzięczności, nie odczuwała względem niej ani krztyny owego potulnego lęku, znamiennego dla podziwu,

jakim otaczała ojca. W jej mniemaniu ciotka nie miała w sobie nic niezgłębionego; Katarzyna widziała ja jakby na wskroś i widok ten jej nie oślepiał, podczas gdy niezwykle cnoty ojca zdawały się nie mieć końca, zatracać się w jakiejś świetlistej mgle, co nie oznaczało, że znajdują tam swój kres, tylko że ona, Katarzyna, nie może ich osiągnąć. Nie należy sądzić, że doktor Sloper karał biedaczkę za swe rozczarowanie albo że kiedykolwiek dał jej odczuć, iż mu sprawiła zawód. Przeciwnie, w obawie przed własną niesprawiedliwością gorliwie spełniał swe ojcowskie powinności stwierdzając, że Katarzyna jest oddanym, kochającym dzieckiem. Ponadto doktor był filozofem – wypalił niemało cygar deliberując nad swymi zawiedzionymi nadziejami, do których przywykł we właściwym czasie. Pocieszał się, że nie spodziewał się niczego, choć prawdę rzekłszy, dość dziwnie przy tym rozumował: „Niczego się nie spodziewam – mówił sobie – więc jeśli mi sprawi niespodziankę, wtedy czysty zysk; jeśli nie – żadna strata.” Katarzyna kończyła właśnie osiemnaście lat, toteż doktor, jak wkrótce się okaże, pochopnie nie wyprzedzał faktów. W owym czasie dziewczyna bodajże nie potrafiłaby sprawić niespodzianki; co więcej, wątpliwe, czy ją samą mogło coś zaskoczyć – tak była spokojna, niewzruszona. Ci, którzy się wyrażali bez ogródek, nazywali ją flegmatyczką; ale niewzruszoność Katarzyny pochodziła z nieśmiałości – nieznośnej, uciążliwej nieśmiałości. Nie zawsze to rozumiano, toteż czasem sprawiała wrażenie dziewczyny niewrażliwej. W istocie zaś była najczulszym stworzeniem na tym świecie.

ROZDZIAŁ 3

Jako dziecko zapowiadała się na wysoką pannę. Ale w szesnastym roku życia przestała rosnąć i figura jej, tak jak większość innych szczegółów postaci, nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Dziewczyna wszakże była silna, proporcjonalnie zbudowana i cieszyła się na szczęście doskonałym zdrowiem. Wspomniałem, że doktor był filozofem, jednakowoż nie odpowiadałbym za 'jego filozofię, gdyby biedaczka okazała się osobą chorowitą i cierpiącą. O jej urodzie stanowił w głównej mierze zdrowy wygląd, a jasna, świeża cera, w której natura po równi rozdzieliła krew i mleko, prezentowała się przepysznie. Oczy miała Katarzyna nieduże i łagodne, rysy dość grube, włosy brnatne, gładkie. Zwyczajna, nieciekawa panna – mówili o niej co surowsi krytycy; stateczna młoda dama – mawiali inni, obdarzeni większą wyobraźnią; wszelako ani jedni, ani drudzy nie poświęcali jej wiele uwagi. A kiedy we właściwym czasie wtłoczono jej do głowy, że jest młodą damą – długo bowiem nie mogła w to uwierzyć – zaczęła nagle przejawiać żywe zainteresowanie dla ubioru. „Żywe” jest tu najbardziej stosownym określeniem. Czuję, że powinienem to napisać drobnym maczkiem, bo w tej materii osąd Katarzyny nie był bynajmniej nieomylny, stając się nieraz powodem zmieszania i zakłopotania. Jej przemożna słabość do strojów była w gruncie rzeczy dążeniem milczącej natury do wypowiedzenia się. Dziewczyna chciała się wypowiedzieć w strojach, sądziła, że swobodna okazałość stroju zadośćuczyni nieśmiałości jej wymowy. Jeśli jednak wypowiadała się za pośrednictwem strojów, na pewno nie można winić ludzi za to, że nie uważali jej za osobę nadto bystrą. Trzeba dodać, że choć miała widoki na fortunę – bo doktor Sloper przez długi czas zarabiał w swym zawodzie dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie, z czego połowę odkładał – nie dysponowała większą sumą niż wiele biedniejszych od niej panien. W owym czasie bowiem w Nowym Jorku migotało jeszcze parę ofiarnych świeczek w świątyni republikańskiej prostoty i doktor Sloper pragnął widzieć swoją córkę w roli kapłanki tej umiarkowanej wiary wraz z jej klasycznym dostojem. W odosobnieniu krzywił się wprost na myśl o tym, że jego dziecko jest zarazem brzydkie i przesadnie wystrojone. Sam lubił uroki życia i niemały czynił z nich użytek; bał się jednak panicznie wulgarności, a nawet teorii, że wulgarność coraz bardziej się krzewi w jego otoczeniu. Zresztą, poziom luksusu w Stanach Zjednoczonych przed trzydziestu laty w żadnym razie nie dorównywał dzisiejszemu, a rozważny ojciec Katarzyny trzymał się staroświeckich pojęć o edukacji młodocianych. Nie miał on żadnej określonej teorii na ten temat; zapas teorii koniecznych dla samoobrony właściwie nie był dotąd dla niego czynnikiem koniecznym. Po prostu tylko nie uważał za właściwe i rozsądne, aby dobrze wychowana panna nosiła na grzbiecie połowę swej fortuny. Grzbiet Katarzyny był szeroki, zdolny unieść wiele, nigdy jednak nie odważyła się wystawić go na ryzyko ojcowskiego

niezadowolenia. Dopiero w dwudziestym roku życia nasza bohaterka sprawiła sobie na wieczór czerwoną atlasową suknię ozdobioną złotą frędzlą – rzecz, której przez wiele lat w cichości ducha chciwie pożądała. Paradując w tej szacie wyglądała na trzydzieści lat, lecz dziwna rzecz: mimo słabości do kosztownych strojów, dziewczyna nie miała w sobie szczypty kokieterii i wkładając je myślała z niepokojem, czy jej toaleta, nie zaś ona sama, będzie korzystnie wyglądała. A choć historia nie wypowiada się wyraźnie na ten temat, istnieją podstawy do takiego domniemania; bo oto, w tej właśnie królewskiej szacie Katarzyna zjawiła się na skromnym przyjęciu wydanym przez jej ciotkę, panią Almond. Miała wówczas niespełna dwadzieścia jeden lat i od przyjęcia u Almondów zaczęły się bardzo dla niej ważne wydarzenia.

Jakieś trzy czy cztery lata przedtem doktor Sloper przeniósł swe lary i penaty do wytworniejszej części miasta, jak to nazywają w Nowym Jorku. Mieszkał był jeszcze od małżeńskich czasów w budowli z czerwonej cegły z granitową okładziną i olbrzymim półkolistym oknem ponad drzwiami, przy ulicy odległej o pięć minut drogi od ratusza, którego najświetniejszy okres (pod względem towarzyskim) przypadał mniej więcej na rok 1820. Później prąd mody zaczął systematycznie przesuwac się na północ – rzecz nieunikniona w Nowym Jorku ze względu na wąskie koryto, którym płynie – zaś hałaśliwy ruch uliczny rozlał się dalej na prawo i na lewo od Broadwayu. W czasie gdy doktor zmienił rezydencję, cichy szmer handlu zdążył zamienić się w potężną wrzawę, która brzmiała niby muzyka dla uszu wszystkich dobrych obywateli zainteresowanych w rozwoju komercyjnym – jak to z lubością powtarzali – swej szczęśliwej wyspy. Doktor Sloper interesował się tym zjawiskiem tylko z dala – choć powinno go to obchodzić bardziej bezpośrednio, jako że z biegiem lat połowa jego pacjentów przedzierzgnęła się w zapracowanych biznesmenów – i kiedy większość sąsiednich rezydencji (tak samo zdobnych w granitowe okładziny i wielkie półkolisty okna ponad drzwiami) przekształcono w biura, magazyny i agencje żeglugowe albo w inny sposób przystosowano do przyziemnych potrzeb handlu, postanowił rozejrzeć się za spokojniejszym domem. Taki ideał schronienia zacisznego, a zarazem wykwiutnego znalazł się w roku 1835 na Placu Waszyngtona, gdzie doktor zbudował sobie ładny, nowoczesny dom z dużym frontonem i wielkim balkonem pod oknami od salonu; białe, marmurowe schody prowadziły do wejściowych drzwi z takim samym marmurowym gzymsem. Budowla ta, podobnie jak wiele jej sąsiadek, których była wierną kopią, miała przed czterdziestu laty wyobrażać ostatnie zdobycze architektonicznej wiedzy, a wszystkie one do dziś pozostały nader solidnymi, szacownymi siedzibami. Wychodziły na skwer, bujnie porosły tanią zielenią i okolony drewnianymi sztachetami, co nadawało mu jeszcze bardziej wiejski i przystępny wygląd. Tuż obok widniała najdostojniejsza okolica Piątej Alei, biorąca stąd swój początek śmiało i z rozmachem, co już samo przez się predestynowało ją do wyższych celów. Nie wiem, czy należy to zawdzięczać słodczy młodzięczych wspomnień, lecz ta część Nowego Jorku, wielu osobom jawi się jako najmiłsza sercu. Ma ona w sobie jakiś nieodłączny spokój, co nie – Bom na placu Waszyngtona⁷ często można spotkać w innych dzielnicach tego długiego, wrzaskliwego miasta; ma też dojrzały, bogatszy, bardziej czcigodny wygląd niż którakolwiek z górnych odnóg owej wielkiej, rozciągniętej wzdłuż arterii – wygląd świadczący o pewnej tradycji towarzyskiej. To tutaj – jak mogłeś się dowiedzieć z wiarygodnych źródeł – przyszedłeś na świat, który otworzył przed tobą wachlarz przeróżnych możliwości; tu, w dostojnej samotności, mieszkała twoja babka, której gościnność działała w równym stopniu na dziecięcą wyobraźnię jak i podniebienie; stąd wyruszałeś na pierwsze spacerunki poza domem i drepcząc nierównym krokiem w ślad za niańką, wdychałeś woń ailantów; tworzyły one naonczas główną osłonę skweru roztaczając aromaty, których nie potrafiłeś jeszcze rozróżnić tak dalece,, żeby ich nie lubić, jak na to zasługują; to tutaj wreszcie twoja pierwsza szkoła, prowadzona przez krępa, przysadzistą starą jejmość z liniałem w ręku, damę, która zawsze popijała herbatę w niebieskiej filiżance ze spodkiem innej maści, ta pierwsza szkoła powiększyła zasięg twoich obserwacji, jak i doznań. Tu w każdym razie moja bohaterka spędziła wiele lat swego żywota, co niech usprawiedliwi topograficzną tę dygresję.

Pani Almond mieszkała znacznie dalej od śródmieścia, na embrionalnej ulicy oznaczonej dużą liczbą – w rejonie, który w teorii tylko stanowił przedłużenie miasta i w którym topole rosły przy chodnikach (o ile w ogóle był

gdzieś chodnik), a cień ich zlewał się z cieniem stromych dachów chaotycznie rozrzuconych holenderskich domów, w rynsztokach zaś baraszkowały kury i prosięta. Te malownicze elementy wiejskie zniknęły już całkiem ze scenerii ulicy nowojorskiej, pozostały wszakże w pamięci ludzi w średnim wieku ze sfer, które by dziś płonily się ze wstydu na samo ich wspomnienie. Kuzynów miała Katarzyna bardzo wielu, a z dziećmi ciotki Almond, których w sumie było dziewięcioro, łączyła ją duża zażyłość. Gdy była młodsza, trochę się jej obawiała; uchodziła, jak to mówią, za osobę ogromnie wykształconą, a osoba, która pozostawała w tak bliskich stosunkach z ciotką Penniman, nosiła w sobie jakiś 18

odblask chwały. Pani Penniman była dla małych Almondów przedmiotem podziwu raczej niż sympatii. Miała dziwny, zastraszający sposób bycia, a jej żalobne suknie – albowiem przez dwadzieścia lat od śmierci męża ubierała się na czarno, by nagle, pewnego ranka, ukazać się w kapeluszu z różyczkami – otóż czerń ową zakłócały w dziwnych, nieoczekiwanych miejscach klamry, dzęty i zapinki, co nie sprzyjało zażyłości. Traktowała dzieci zbyt surowo bez względu na to, co zrobiły, i przybierała tak deprymującą minę, jakby oczekiwała od nich nadzwyczajnych rzeczy, toteż odwiedzić ją znaczyło prawie to samo co być zabranym do kościoła i posadzonym w pierwszej ławce. Po jakimś czasie wszakże dzieci odkryły, że ciotka Penniman nie odgrywała w życiu Katarzyny poważniejszej roli, i gdy któreś soboty kuzynka przyszła do nich w odwiedzin, okazało się, że można się z nią bawić w Ojca Wirgi-niusza, a nawet w przeskakiwanki. Na tym też gruncie łatwo doszło do porozumienia i przez kilka lat Katarzyna przyjaźniła się na dobre ze swymi młodymi kuzynami. Mówię: kuzynami, gdyż w gromadce tej było siedmiu chłopców, a Katarzyna wolała zabawy, do których najwygodniej przystępować w spodniach. Stopniowo jednak małe spodnie Almondów zaczęły się wydłużać, a ich właściciele rozpraszać się i stabilizować w życiu. Starsze dzieci przerastały wiekiem Katarzynę, chłopców zaś wysłano do college'u lub zatrudniono w buchalterii. Co do dziewcząt, jedna wyszła za mąż bardzo punktualnie, druga równie punktualnie zaręczyła się. Z tej to właśnie okazji pani Almond wydała małe przyjęcie, o którym wspomniałem. Córka jej miała poślubić młodego, postawnego chłopca, maklera w wieku lat dwudziestu, co uznano za rzecz bardzo korzystną.

ROZDZIAŁ 4

Pani Penniman, przystrojona w większą niż zwykle ilość klamer i zapinek, przyszła oczywiście na przyjęcie w towarzystwie bratanicy. Doktor także obiecał zajrzeć tam wieczorem. Zapowiadało się na długie tańce i nim jeszcze towarzystwo rozkręciło się na dobre, do Katarzyny podeszła Marianna Almond w asyście wysokiego kawalera. Przedstawiła go jako młodzieńca, który bardzo pragnie poznać naszą bohaterkę, jest też kuzynem Artura Townsenda, jej wybranka.

Marianna była ładną siedemnastoletnią osobką o drobniutkiej figurce, przepasanej wielką szarfą, i wytwornych manierach, które i w małżeńskim stanie nie pozostawiałyby nic do życzenia. Już teraz czyniła honory domu – witała gości i strzepując wachlarz dowodziła, że musi się zająć taką masą ludzi, iż nie będzie miała czasu tańczyć. Wygłosiła dłuższą mowę poświęconą kuzynowi pana Townsenda i trzepnawszy go lekko wachlarzem odeszła do innych obowiązków.

Katarzyna nie wszystko zrozumiała z tej przemowy, ogarnięta podziwem dla łatwości obejścia i swobodnego toku myśli swej kuzynki, ponadto uwagę jej przyciągnęła szczególnie urodziwa powierzchowność owego kawalera. Zdołała wszakże podchwycić jego nazwisko, co nie zawsze jej się udawało, gdy jej kogoś przedstawiano, i okazało się, że młody człowiek nazywa się tak samo jak młody makler Marianny. Prezentacja zawsze 'peszyła Katarzynę, wprawiała ją w zakłopotanie, toteż dziewczyna dziwiła się, że niektórym ludziom – jak na przykład w tej chwili jej nowemu znajomemu – przychodzi to tak łatwo.

Zastanawiała się, co powiedzieć, i co będzie, jeśli nic nie powie. To, co tym razem nastąpiło, było bardzo miłe. Bo oto pan Townsend, nie pozostawiając jej czasu na zakłopotanie, wszczął z nią rozmowę swobodnie uśmiechnięty, jakby znali się od roku.

– Cudowne przyjęcie! Co za uroczy dom! Jaka ciekawa rodzina! I jaka ładna jest pani kuzyneczka! – Spostrzeżenia te, niezbyt głębokie w swojej treści, pan Townsend poczynił jakby na wyrost, dla zawarcia znajomości. Patrzył jej przy tym

prosto w oczy. Katarzyna nie odpowiadała; słuchała tylko, odwzajemniając mu spojrzenie; on zaś, jak gdyby nie oczekiwał żadnej konkretnej odpowiedzi, ciągnął dalej w tym duchu, z tą samą łatwością i swobodą. Dziewczyna 20 miała skrępowany język, lecz nie czuła już zakłopotania; uznała za rzecz stosowną, aby on mówił, a ona po prostu nań patrzyła. Zdawało się to naturalne, bo młodzieniec był przystojny, ba, piękny, jak to w duchu określiła. Muzyka zamilkła na czas jakiś, lecz nagle znów się odezwała. Wówczas, z uśmiechem już bardziej wymownym, przenikliwym, spytał, czy by łaskawie z nim nie zatańczyła. Ale nawet i na tę prośbę nie udzieliła głośno przyzwolenia; po prostu tylko pozwoliła, by objął jej kibić – po raz pierwszy spostrzegając tak wyraźnie, że dla męskiego ramienia jest to miejsce wprost jedyne – i po chwili już wiódł ją dokoła pokoju w rytmicznych obrotach polki. Gdy się zatrzymali, czuła, że poczerwieniała. Wówczas oderwała od niego wzrok na parę chwil i chłodząc się wachlarzem wpatrywała się w wymalowane na nim kwiaty. Spytał, czy nie zatańczy jeszcze, lecz wahała się z odpowiedzią patrząc ciągle w owe kwiaty. – Czy to panią oszalał? – spytał tonem szczególnej troskliwości. Katarzyna podniosła na niego wreszcie, oczy. Był naprawdę piękny i wcale nie poczerwieniał.

– Tak – odparła; nie rozumiała dobrze, co się stało, bo taniec nigdy nie przyprawiał jej o zawrót głowy.

– A, w takim razie – zaproponował pan Townsend – usiadzemy sobie spokojnie i porozmawiamy. Znajdę jakieś odpowiednie miejsce.

Znalazł odpowiednie miejsce – miejsce czarujące, bo była to maleńka sofa, jakby przeznaczona tylko dla dwóch osób. Tymczasem w pokojach zaroilo się od gości. Przybyło też tancerzy; goście stali tuż przed nimi odwróceniem tyłem, tak że Katarzyna wraz ze swoim towarzyszem zdawali się być w odosobnieniu, nie dostrzegani przez nikogo. „Porozmawiamy sobie” – proponował, lecz rozmowę tę prowadził ciągle sam. Katarzyna, przechyliwszy głowę na oparcie, zapatrzyła się w niego z uśmiechem i podziwem dla jego bystrości. Rysy miał jak młodzieńcy na obrazach. Nigdy nie widziała takich delikatnych, wyczulowanych w każdym calu rysów u młodych nowojorczyków, których mijała na ulicy czy spotykała na tanecznych wieczorynkach. Był wysoki, smukły, lecz wyglądał na wyjątkowo silnego. Jej zdaniem, przypominał posag. Ale posag nie mógłby tak przemawiać, a nade wszystko nie mógłby mieć oczu tak przedziwnej barwy. Pan Townsend nigdy dotąd nie odwiedzał państwa Almond i czuł się tu bardzo obco, przeto wielce był zobowiązany Katarzynie, że się nad nim zlitowała. Jest kuzynem Artura, niezbyt bliskim, dziesiąta woda po kieselu, i Artur postanowił przedstawić go rodzinie. Prawdę mówiąc, w ogóle czuł się bardzo obco w Nowym Jorku. Urodził się tu wprawdzie, lecz nie było go tu całe lata; wałęsał się po świecie, po najdziwniejszych zakątkach, i wrócił dopiero przed paru miesiącami. Miasto jest miłe, tylko że on czuje się w nim osamotniony. – Bo widzi pani, ludzie zapominają swoich bliźnich – rzekł uśmiechając się do Katarzyny tymi swoimi ślicznymi oczyma i pochylił się ku niej wspierając łokcie na kolanach. Katarzynie wydało się, że nikt, kto go raz zobaczył, nie mógłby go zapomnieć, lecz refleksję tę zachowała dla siebie niemal tak, jak się ukrywa coś cennego.

Siedzieli tak przez jakiś czas. Pan Townsend był bardzo zajmujący. Rozpytywał ją o ludzi znajdujących się w pobliżu i próbując zgadywać, kim są, czynił najzabawniejsze omyłki. Krytykował ich z całą swobodą, bezwzględnie, bezceremonialnie. Katarzyna nie słyszała jeszcze, by ktoś – zwłaszcza ktoś młody – mówił w taki sposób. Tak mógłby mówić tylko młodzieniec w powieści albo – jeszcze lepiej – w sztuce, na scenie, stojąc nad światłami rampy, patrząc na publiczność i skupiając na sobie wzrok każdego, tak że można by podziwiać jego niewzruszoną pewność siebie. A przecież pan Townsend nie przypominał aktora, wydawał się tak otwarty, taki naturalny! Bardzo to zaciekało Katarzynę. Tymczasem jednak nadciągnęła, torując sobie drogę w tłumie, Marianna, która znalazłszy tych dwoje ciągle razem, wydała drwiący okrzyk, na co wszyscy odwrócili głowy, a Katarzyna poczuła, że się rumieni. Marianna przerwała im rozmowę i powiedziała panu Townsendowi – którego traktowała tak, jakby była już po ślubie i uważała za kuzyna – żeby pospieszył do jej matki, która od pół godziny rozglądała się, by go przedstawić panu Almondowi.

– Zobaczmy się jeszcze – rzucił na odchodnym Katarzynie, ta zaś uznała, że pan Townsend wyraża się bardzo oryginalnie.

Kuzynka ujęła ją pod ramię i przechadzając się z nią po pokoju zawołała;

— Nie muszę cię chyba pytać, co sądzisz o Maurycym?

— Czy to jego imię?

— Nie pytam cię, co myślisz o imieniu, tylko o nim samym.

— Och, nic szczególnego — odpowiedziała Katarzyna po raz pierwszy w życiu niezupełnie szczerze.

— Chętnie mu to powtórzę — wykrzyknęła Marianna. — Dobrze mu to zrobi. Okropnie jest zarozumiały.

— Zarozumiały? — zdumiała się Katarzyna.

— Tak mówi Artur, a Artur jest dobrze poinformowany.

— Och, nie mów mu! — wyszeptała błagalnie Katarzyna.

— Nie mówić mu, że jest zarozumiały? Mówiłam mu to dziesiątki razy!

Po tym śmiałym wyznaniu Katarzyna popatrzyła ze zdumieniem na swą małą towarzyszkę. Sądziła, że tylko bliskie zamążpójście pozwala Mariannie brać tyle na siebie. Zastanawiała się też, czy i od niej w podobnej sytuacji będzie się oczekiwać równie śmiałych czynów.

W jakieś pół godziny później spostrzegła ciotkę Penniman siedzącą w okiennej wnęce, z głową nieco przekrzywioną i złotym lornionem przy oczach, które błędziły po pokoju. Przed nią stał lekko pochylony dżentelmen, plecami zwrócony do Katarzyny. Poznała natychmiast jego plecy, choć mgdy ich nie widziała, bo kiedy ją pozostawiał naglony przez Mariannę, oddalił się ze wszystkimi honorami, nie odwracając się tyłem. Maurycy Townsend — imię to już tak dobrze pamiętała, jakby je powtarzano jej do ucha przez ostatnie pół godziny — Maurycy Townsend przekazywał swoje wrażenia o zebranych ciotce, tak jak to czynił przy niej; mówił rzeczy dowcipne i pani Penniman uśmiechała się, jakby przypadły jej do gustu. Spostrzegłszy to Katarzyna natychmiast się oddaliła; nie chciała, aby się odwrócił i ją widział. Jednakże cała ta scena sprawiła jej przyjemność. To, że rozmawiał z ciotką Penniman, z którą mieszkała i którą codziennie widywała, zbliżało go jak gdyby do niej, nawet łatwiej było o nim myśleć teraz, niż kiedy sama była obiektem jego uprzejmości; a fakt, że ciotce Lawinii się podobał, że nie szokowało jej ani nie przerażało to, co mówił, ten fakt także dziewczyna uznała za swoje osobiste osiągnięcie. Bo ciotka Lawinia miała nader wysokie wymagania, pielęgnowane, rzec można, na grobie zmarłego męża, w którym to grobie, o czym wszystkich zapewniała, pogrzebany został prawdziwy geniusz konwersacji, Jeden z małych Almondów, jak ich Katarzyna nazywała, zaprosił naszą bohaterkę do kadryla i przez jakiś kwadrans przynajmniej jej nogi były zatrudnione. Tym razem nie zakręciła jej się w głowie, przeciwnie, miała najzupełniej jasny umysł. Ledwie skończyli, natknęła się w tłumie twarzą w twarz na ojca. Doktor Sloper zazwyczaj uśmiechał się leciutko — nigdy nie śmiał się szeroko — i teraz, z tym swoim uśmiechem igrającym w jasnych oczach i wokół starannie wygolonych ust, spoglądał na szkarłatną suknię córki.

— Czy być może, że ta okazała persona jest moim dzieckiem? — zagadnął Katarzynę. Bo choć zdziwiłby się, gdyby mu to powiedziano, faktem jest niezaprzeczalnym, iż prawie nigdy nie zwracał się de córki inaczej jak tylko w drwiącej formie.

Cieszyła się ilekroć do niej mówił, ale przyjemność tę musiała niejako wykrawać sobie po kawałku. Coś tam pozostawało nie ruszone, jakieś skrawki i okruchy kpiny, a co z nimi począć, nie wiedziała, jakby były zbyt subtelne na jej użytek osobisty. Wszelako, ubolewając nad swą ograniczoną zdolnością pojmowania, uważała, iż są one zbyt cenne, aby je marnować, i wierzyła, że jeśli nawet sama nie potrafi pojąć ich znaczenia, to przecież składają się one na ogólną sumę ludzkiej mądrości.

— Nie jestem okazała — tłumaczyła się łagodnie, żałując, że nie włożyła innej sukni.

— Wyglądasz przepysznie, wystawnie i zasobnie — pod• j doktor. — Jakbyś miała osiemdziesiąt tysięcy rocznego dochodu.

— Cóż, póki go nie mam... — odparła nielogicznie Katarzyna. Jej wyobrażenia o przyszłych swych zasobach nie były dotąd bliżej określone.

— Póki go nie masz, nie powinnaś wyglądać tak, jakbyś go miała. Czy dobrze się bawisz?

Katarzyna zawahała się na moment, po czym odwracając oczy wyszeptała:

— Trochę się zmęczyłam.

Wspomniałem, że to przyjęcie było początkiem czegoś bardzo ważnego dla dziewczyny. Katarzyna po raz drugi w życiu udzieliła wykrętnej odpowiedzi, a

początek okresu udawania stanowi bez wątpienia ważną datę. Katarzyna bowiem nie męczyła się tak łatwo.

Nie przeszkadzało .to, by w powrotnej drodze siedziała w powozie tak spokojnie, jakby właśnie zmęczenie było jej udziałem. Doktor Sloper w rozmowach z siostrą przybierał ton podobny do tego, jakim zwracał się do Katarzyny.

– Kim był ten młody człowiek, który czynił ci awanse? – zapytał ją nie zwlekając.

– Och, mój miły bracie – burknęła pani Penniman z naganą w,głosie.

– Wydawał się niezwykle czuły. Ilekroć spoglądałem na was w ciągu pół godziny, widziałem jego wejrzenie pełne adoracji.

– Adoracja nie do mnie była skierowana – sprostowała pani Penniman – tylko w stronę Katarzyny. To o niej rozmawiał ze mną.

Katarzyna nastawiła uszu.

– Och, ciociu Lawinio! – wykrzyknęła słabym głosem.

– Jest bardzo urodziwy. Bardzo bystry. I wyraża się bardzo... bardzo trafnie – ciągnęła dalej pani Penniman.

– A więc zakochał się w przepysznej tej istocie? – zażartował doktor.

– Och, ojczcie! – zawołała dziewczyna jeszcze ciszej, dziękując Bogu całym sercem, że w powozie było ciemno.

– Tego nie wiem; ale podziwiał jej sukienkę.

Katarzyna nie zapytała siebie w mroku: „Czy tylko sukienkę?” Oświadczenie pani Penniman przyjęła jak hojny dar, nie jak skromny upominek.

– Widzisz – zwrócił się do niej ojciec – on myśli, że masz osiemdziesiąt tysięcy rocznego dochodu. .

– Nie sądzę, aby o tym myślał – wtrąciła pani Penniman. – Jest na to zbyt dystygowany.

– Ogromnie musi być dystygowany, jeśli nie miewa takich myśli!

– Właśnie że jest! – wykrzyknęła wbrew woli Katarzyna.

– Myślałem, że zasnęłaś – zauważył ojciec. „A więc nadeszła ta godzina” – dodał w duchu. „Lawinia namota Katarzynie romans. Wstydziliby się wystawiać dziewczynę na takie pośmiewisko.” – Jak się ten dżentelmen nazywa? – spytał głośno. Gdyby nie turkot kół, przez chwilę w powozie można by usłyszeć spadającą szpilkę.

– Nie wiem – powiedziała cichutko Katarzyna. I doktor mimo wszystkich drwin uwierzył córce.

ROZDZIAŁ 5

W jakieś trzy, cztery dni później otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, bowiem Maurycy Townsend w towarzystwie kuzyna złożył wizytę na Placu Waszyngtona. Pani Penniman w drodze powrotnej od Almondów nie powiedziała bratu, iż napomknęła temu sympatycznemu młodemu człowiekowi, którego nazwiska nie znała, iż obie z bratanicą będą bardzo rade widzieć go u siebie; za to • ucieszyła się ogromnie, a nawet jej trochę pochlebilo, gdy w niedzielę, późnym popołudniem, zjawili się ci dwaj panowie. Fakt, że Maurycy Townsend przyszedł w asyście kuzyna, ułatwiał sytuację czyniąc tę wizytę bardziej naturalną, jako że Artur właśnie zaznajamiał się z rodziną i pani Penniman powiedziała Katarzynie, że skoro Artur ma ożenić się z Marianną, byłoby uprzejmie z jego strony, gdyby je odwiedził. Wszystko to działo się późną jesienią i właśnie siedziały obie z ciotką o zmroku przy kominku w wielkim salonie z tyłu domu.

Artur Townsend przypadł w udziale Katarzynie, podczas gdy jego towarzysz usadowił się na sofie obok pani Penniman. Katarzyna nigdy dotąd nie była surowym krytykiem i łatwo ją było zadowolić – zresztą, lubiła rozmawiać z młodymi mężczyznami. Tego wieczoru jednak narzeczony Marianny jakoś jej nie zajmował, siedział więc trąc kolana i wpatrując się w ogień na kominku. Co do Katarzyny, ta prawie nie usiłowała podtrzymywać konwersacji, kierując całą swą uwagę w drugi kąt pokoju; słuchała, o czym drugi pan Townsend mówił z ciotką. Spoglądał na nią raz po raz i uśmiechał się, jakby chciał pokazać, że to, co mówi, jest również przeznaczone dla niej. Katarzyna chętnie by zmieniła miejsce i usiadła przy nich, aby lepiej widzieć go i słyszeć, lękała się wszakże, iż może to być peczytane za zbytęcną śmiałość, za nadmiar gorliwości. Zresztą, nie byłoby to uprzejme względem młodego konkurenta jej kuzynki. Dziwiła się, dlaczego tamten wybrał ciotkę – jak to się dzieje, że tyle ma do powiedzenia pani Penniman, której młodzi ludzie szczególną sympatią nie darzyli; nie żeby była zazdrosna o

Lawinie, troszkę jej tylko sama zadrościła, przede wszystkim jednak nie mogła oprzeć się zdziwieniu. Dla niej Maurycy Townsend przedstawiał nieskończenie wdzięczny obiekt wyobraźni. Tymczasem jego kuzyn rozprawiał o domu, który nabył z myślą o swym przyszłym związku, i udogodnieniach, jakie zamierza tam wprowadzić. Opowiadał, jak to Marianna chciała większy, a pani Almond zalecała mniejszy, i jak on sam jest przekonany, że posiada najporządniejszy dom w całym Nowym Jorku.

— Zresztą, wszystko jedno — dowodził. — To tylko na trzy, cztery lata, potem się przeprowadzimy. Tak się teraz żyje w Nowym Jorku — co trzy, cztery lata powinno się zmieniać mieszkanie. Wtedy człowiek dostaje zawsze to, co nowe. Miasto rozrasta się tak szybko, że trzeba się do tego dostosować. Rośnie prosto w górę, do dzielnicy willowej, ot, gdzie zmierza Nowy Jork. Gdybym się nie bał, że Mariannie będzie się przykrzyło, przeniósłbym się tam, aż na sam koniec, i poczekałbym, aż miasto się przybliży. Starczy\ poczekać tylko dziesięć lat, a wszyscy za tobą zjadą. Alf Marianna mówi, że chce mieć sąsiadów, nie ma zamiaru być pionierem. Mówi, że jeśli już ma być pierwszą osadniczką; to woli przenieść się do Minnesoty. Myślę, że po troszeczk będziemy się 'przeprowadzać coraz wyżej; jak nam się znu dzi jedna ulica, to się przeniesiemy dalej w gón W ten sposób zawsze będziemy mieli nowy dom; nowy dor-to czysty zysk: człowiek ma wszystkie najnowsze ulepszenia. Co pięć lat mniej więcej wymyślają wszystko od początku, a nadażać za nowościami to coś znaczy. Zawsze starań się śledzić wszelkie nowości, jakie się tylko pokazały. Cz; nie uważasz, że młoda para powinna żyć pod hasłem: „piał się coraz wyżej''? Jak się nazywa ten poemat... co to o nin mówią... Excelsior!

Katarzyna poświęciła swemu młodemu gościowi tylko te uwagi, by stwierdzić, że inaczej prowadził rozmowę Maurycy Townsend tamtego wieczoru czy choćby teraz, gdy siedział z jej szczęśliwą ciotką. Lecz nagle jego przedsiębiorczy krewny bardziej ją zainteresował. Zrozumiał chyba, że obecność towarzysza nie dawała spokoju Katarzynie, gdyż uznał za właściwe wytłumaczyć:

— Kuzyn prosił mnie, żeby go zabrać z sobą, inaczej byir. się nie odważył. Zdaje się, że miał na to wielką chętkę. Doprawdy, on jest okropnie towarzyski. Powiedziałem mu, że wolę wprzód zapytać, ale mówił, że pani Penniman go zaprosiła. Mówi, co tylko przyjdzie mu dc głowy, jeśli ma ochotę gdzieś się wybrać, ale zdaje się, że pani Penniman nie ma nic przeciwko tej wizycie.

— Bardzo nam miło — powiedziała Katarzyna. Chciała jeszcze o nim porozmawiać, lecz nie bardzo umiała znaleźć słowa, — Nigdy go przedtem nie spotkałam — rzekła wreszcie.

Artur Townsend spojrział na nią ze zdumieniem.

— Jak to, przecież mówił, że tamtego wieczora rozmawiał z tobą przeszło pół godziny?

— Chcę powiedzieć: przedtem. Tamtego wieczoru widziałam go po raz pierwszy.

— Och, nie było go w Nowym Jorku — jeździł po całut-lum świecie. Niewiele ma tu znajomych, za to jest bardzo towarzyski i każdego chciałby poznać.

— Każdego? — powtórzyła Katarzyna.

— No, to znaczy wszystkich odpowiednich ludzi. Wszystkie piękne młode damy... jak na przykład pani Penni-man! — i Artur zaśmiał się dyskretnie.

— Pan Townsend bardzo się podoba mojej ciotce.

— Wielu ludziom się podoba. Jest taki błyskotliwy.

— Robi wrażenie cudzoziemca — podsunęła Katarzyna.

— Nie wiem, nigdy nie znałem żadnego cudzoziemca — odparł młody Townsend tonem, który zdawał się wskazywać na to, iż odpowiada mu ta ignorancja.

— Ja też nie — wyznała skromniej Katarzyna. — Podobno oni są w ogóle błyskotliwi — dodała niezdecydowanie.

— Dla mnie tutejsi mają dostatecznie dobrze w głowie. Znam paru takich, co myślą, że są za mądrzy dla mnie, lecz się mylą.

— Nie można chyba być za mądrym — odparła z tą samą skromnością Katarzyna.

— Nie wiem. Znam takich, co mówią, że mój kuzyn jest za mądry.

Katarzyna słuchała tego z najwyższym zainteresowaniem; uznała, że jeśli Maurycy Townsend ma w ogóle jakąś wadę, byłoby nią naturalnie to, o czym mówili. Nie zdradziła się z tym wszakże, tylko po chwili zapytała:

— A skoro wrócił, czy pozostanie tu na zawsze?

— O, jeśli nie znajdzie niczego do roboty...

— Do roboty?

— Jakiejś posady, tu czy tam. Jakiegoś interesu.

– To on nic takiego nie ma? – zdziwiła się Katarzyna, która nigdy nie słyszała, żeby młody mężczyzna, zwłaszcza z wyższej sfery, znajdował się w tej sytuacji.

– Nie, rozgląda się. Ale nic nie może znaleźć.

– Jakże mi przykro – pozwoliła sobie wyznać Katarzyna.

– Och, jemu to nie przeszkadza – zapewnił młody Town-send. – On się tym nie przejmuje. Nie spieszy mu się. To człowiek bardzo osobliwy.

Katarzynie przyszło na myśl, że to zupełnie oczywiste, i przez parę chwil oddawała się kontemplacji różnych aspektów tego określenia.

– A czy jego ojciec nie może zatrudnić go u siebie... w swoim biurze? – zapytała wreszcie.

– On nie ma ojca. Ma tylko siostrę. A siostra wiele nie pomoże.

Katarzyna wyobraziła sobie, że gdyby była jego siostrą, obaliliby ten aksjomat.

– Czy... czy ona jest sympatyczna? – zapytała.

– Nie wiem. Sądzę, że jest bardzo poważna – powiedział młody Townsend. Spojrzał teraz na kuzyna i roześmiał się. – Hej, o tobie mowa! – dorzucił.

Maurycy Townsend przerwał rozmowę z panią Penniman i zapatrzył się w nich lekko uśmiechnięty. Nagle wstał, jakby zbierał się do wyjścia.

– Co do ciebie, nie mogę ci odwzajemnić tego komplementu – rzucił kuzynowi. – Jednakże co się tyczy panny Sloper, a, to całkiem inna sprawa.

Ta krótka riposta wydała się nadzwyczaj zręczna Katarzynie, lecz-wprawiła ją w zakłopotanie, więc i ona wstała z miejsca. Maurycy stał i uśmiechał się patrząc na nią: wyciągnął rękę na pożegnanie. A więc odchodzi, nie zamieniwszy z nią ani słowa! Mimo wszystko jednak cieszyła się, że go widziała.

– Powtórzę jej, co pan mówił... jak pan wyjdzie! – obiecała pani Penniman i zaśmiała się znacząco.

Katarzyna zapłonila się, jakby podejrzewała, że bawia się jej kosztem. Cóż, u licha, ten piękny młody człowiek mógł powiedzieć? Patrzył na nią ciągle mimo jej rumieńca, lecz w spojrzeniu jego widziała życzliwość i szacunek.

– Nie rozmawiałem z panią – zwrócił się do Katarzyny – choć po to tu przyszedłem. Lecz skorzystam z tego, by przyjść znowu; taki mały pretekst... jeśli muszę go podawać. Nie boję się o to, co powie pani ciotka, kiedy wyjdę.

I z tym obaj młodzi ludzie pożegnali się. Katarzyna, jeszcze trochę zapłoniona, zwróciła teraz poważny, pytający wzrok na panią Penniman. Nie znała się na wymyślnych sztuczkach i choć mogła udać, że podejrzewa ciotkę o obmowę, nie uciekała się do forteli, by wydobyć od niej to, co chciała wiedzieć. Zapytała więc tylko:

– O czym to miałaś mi, ciociu, opowiedzieć?

Pani Penniman podeszła do niej uśmiechając się i kiwając lekko głową; obrzuciła ją spojrzeniem i przekreśliła kokardę na jej szyi.

– To wielka tajemnica, moje drogie dziecko, ale on wybiera się tu w konkury!

– Czy ci to mówił? – zapytała wciąż jeszcze poważnie Katarzyna.

– Nie powiedział tego tak dokładnie, ale pozwolił się domyślić. A ja potrafię być domyślna.

– Chcesz powiedzieć, że w konkury... do mnie?

– Na pewno nie do mnie, moja panno. Choć muszę powiedzieć, że dla osoby, która nie może się już pochwalić najpierwszą młodością, jest tysiąc razy uprzejmiejszy, niż większość innych młodych ludzi. On myśli o kimś innym. – Tu pani Penniman obdarzyła Katarzynę leciutkim pocałunkiem. – Musisz dla niego bardzo być łaskawa.

Katarzyna wlepiła w nią zdumione oczy.

– Nie rozumiem ciebie, ciociu – powiedziała. – Przecież on mnie nie zna

– Zna, a jakże, i to bardziej, niż ci się wydaje. Wszystko mu o tobie powiedziałam.

– Och, ciociu! – wykrztusiła dziewczyna, jakby pani Penniman dopuściła się sprzeniewierzenia. – On jest dla nas kimś zupełnie obcym, przecież go nie znamy.

– W tym: „dla nas” kryła się nieskończona skromność biednej Katarzyny.

Uszło to wszakże uwagi pani Penniman; rzuciła nawet z uszczypliwą nutką:

Moja miła Katarzyno, wielbisz go i wiesz o tym doskonale.

– Och, ciotko Lawinio! – zdołała wykrztusić po raz

wtóry Katarzyna. Jeśli go nawet uwielbiała, to nie uważała tego za odpowiedni temat do rozmowy, ale żeby ten cudowny nieznanomy, to nagłe zjawisko, człowiek, który zaledwie słyszał dźwięk jej głosu, zainteresował się nią tak, jak to określiła -ciotka wyrażając się tak romantycznie – nie, to mógł tylko wymyślić

niespokojny duch Lawinii, którą wszyscy uważali za kobietę o potężnej wyobraźni.

ROZDZIAŁ 6

Pani Penniman niekiedy nawet była przekonana, że inni obdarzeni są podobną wyobraźnią, toteż kiedy w pół godziny później nadszedł doktor, rzekła mu opierając się na tej podstawie:

– Dopiero co tu był, Augustynie. Szkoda, że go nie spotkałeś.

– Kogóż, u Boga Ojca, nie spotkałem? – zdziwił się doktor.

– Był pan Maurycy Townsend. Cóż za cudowne odwiedziny!

– A kimże, u Boga Ojca, jest pan Maurycy Townsend?

– Ciotka Lawinia ma na myśli tego dżentelmena... tego pana, którego nazwiska nie zapamiętałam – wyjaśniła Katarzyna.

– Tego pana na przyjęciu u Elżbiety, który tak był oczarowany Katarzyną – dorzuciła pani Penniman.

– Ach, więc on się nazywa Maurycy Townsend? I przyszedł prosić cię o rękę? }

– Ojczy! – wymamrotała w odpowiedzi Katarzyna odwracając się do okna, w którym zmierzch przechodził powoli w gęsty mrok.

– Spodziewam się, że nie uczyni tego bez twojego zezwolenia – zauważyła bardzo łaskawie pani Penniman.

– Za to twoje, moja droga, bodajże już otrzymał – odparował jej brat.

Lawinia zrobiła wdzięczną minkę, jakby jej tego było mało, a Katarzyna, z czołem wspartym o szybę, słuchała tej wymiany sarkastycznych żartów z taką rezerwą, jakby nie Tahaczały o jej własne losy.

– Na przyszły raz, gdy przyjdzie, lepiej mnie zaważ-i- – uzupełnił doktor. – Może chciałby się zobaczyć

ze mną- r . , , .

Maurycy Townsend ponowił wizytę w jakieś pięć ani później, lecz doktor Sloper nie został poproszony, gdyż przebywał o tej porze poza domem. Katarzyna siedziała z ciotką, gdy zaanonsowano młodego kawalera, i pani Penniman, wycofując się pośród min i gestów, nakłaniała bratanicę, aby sama przeszła do salonu.

– Tym razem przyszedł do ciebie, tylko do ciebie – oświadczyła. – Przedtem, gdy rozmawiał ze mną, czynił to tylko gwoli wprowadzenia... po to, aby pozyskać moje zaufanie. Doprawdy, moja droga, nie miałabym odwagi pokazać mu się dzisiaj.

Mówiła świętą prawdę. Nie należała do odważnych kobiet, a Maurycy Townsend zrobił na niej wrażenie młodzieńca o wielkiej sile charakteru i nad wyraz rozwiniętym zmysłem satyrycznym – bystry z natury, rezolutny, błyskotliwy, wymagał wiele taktu, by mu sprostać. Stwierdziła w duchu, że jest „władczy”, i słowo to spodobało jej się zarówno w swojej treści, jak i brzmieniu. Nie była, broń Boże, zazdrosna o bratanicę, zaznała przecież szczęścia z panem Pennimanem, lecz w głębi serca pozwoliła sobie zauważyć: „Oto byłby mąż jak stworzony dla mnie!” Albowiem pan Townsend był na pewno bardziej władczy – wszechwładny, jak to na koniec określiła – od pana Pennimana.

Tak więc Katarzyna przyjęła go sama i ciotka nie weszła nawet wtedy, gdy wizyta dobiegała końca. A wizyta trwała długo, pan Townsend bowiem przeszło godzinę spędził w największym fotelu salonu frontowego. Zdawało się, że tym razem czuje się swobodniej – był już nie tak oficjalny i rozparłszy się nieco na fotelu, klepał laską poduszkę, którą miał pod ręką, wodził wzrokiem po pokoju i przyglądał się bez skrępowania zarówno przedmiotom wokół siebie, jak i Katarzynie. Uśmiech życzliwego poważania błakał się w jego ładnych oczach, które wydały się. Katarzynie nie-

3 – Dom na placu Waszyngtona mał że dostojnie piękne; przywodziły na myśl rycerza z pop. matu. Konwersacja z nią wszakże nie miała tak wyraźne cech rycerskich: była lekka, swobodna, przyjacielska; obracała się wokół spraw praktycznych; pan Townsend bowiem chciał wiedzieć o Katarzynie wiele rzeczy – pytał o jej upodobania, czy lubi to lub owo, jakie ma zwyczaje. Uśmiechając się czarownie, proponował:

– Opowiedz mi o sobie, pani. Naszkicuj własny wizerunek.

Katarzyna niewiele miała do opowiedzenia, brakowało jej też umiejętności szkicowania, zdążyła jednak mu się zwierzyć ze swej tajonej namiętności do teatru – namiętności zresztą prawie nie zaspokojonej – jak również zamiłowania do muzyki operowej, zwłaszcza Belliniego i Donizettiego (trzeba przypomnieć na usprawiedliwienie tej prościutkiej panny, że zdradzała te

upodobania w czasach powszechnego braku oświecenia), muzyki, której słuchać nie miała często sposobności, chyba że odtwarzano ją na katarynce. Przyznała się, że nie przepada za literaturą. Maurycy zgodził się, że książki nużą, dodał jednak, że trzeba przeczytać ich niemało, aby dojść do tego przekonania. On sam odwiedzał miejscowości, o których ludzie pisywali książki, lecz nie były one w niczym podobne do opisu. Samemu się przekonać – to coś warte. Zawsze wierzył tylko własnym oczom. Widział też wszystkie gwiazdy sceny – bywał w najlepszych teatrach Londynu i Paryża. Ale aktorzy – tak jak i pisarze – zawsze przesadzają. On zaś lubi wszystko to, co naturalne. Zamilkł nagle i spojrzał na Katarzynę uśmiechając się po swojemu. – Dlatego właśnie lubię panią – rzekł. – Jesteś pani taka naturalna. Wybacz mi, proszę – dodał – jak widzisz, i ja jestem naturalny. Nie zdążyła jeszcze powiedzieć sobie, że mu wybaczyła – bo uświadomiła sobie to dopiero później, w wolnej chwili – gdy ją rozprawiać o muzyce; muzyka to największa przyjemność w jego życiu. Słyszał wszystkich wielkich śpiewaków w Paryżu i Londynie – Pastę, Rubiniego i Labla-che'a – a dopiero ten, kto ich posłucha, może powiedzieć, że wie coś o śpiewie.

— Sam trochę śpiewam – wyznał. – Kiedyś pani się Drzekona. Nie dzisiaj, innym razem.

Przy tych słowach wstał, by się pożegnać. Zapomniał iakcś nadmienić, że zaśpiewa jej, jeśli ona jemu zagra, lecz przyszło mu to do głowy dopiero na ulicy. Mógł sobie jednak oszczędzić skrupułu, gdyż Katarzyna nie spostrzegła tego zaniedbania. Wiedziała tylko jedno: że słowa „innym razem” brzmią cudownie; zdawały się wykraczać w przyszłość.

Tym bardziej jednak należało powiadomić ojca, że pan Maurycy Townsend przyszedł znowu – rozmyślała, choć nie w smak jej to było i czemuś się wstydziła.

Oznajmiła mu o tym krótko, wręcz porywczo, ledwie przekroczył próg domu; po czym, dopełniwszy swego obowiązku, zamierzała wyjść z pokoju. Nie zdążyła wszakże, gdyż ojciec zatrzymał ją przy drzwiach.

— No i cóż, moja miła, czy oświadczył ci się dzisiaj? – spytał.

Tego się właśnie obawiała; a jednak nie przygotowała odpowiedzi. Pragnęła, rzecz jasna, przyjąć to za żart, bo ojciec z pewnością tak samo to rozumiał, lecz zaprzeczając, chciała także coś potwierdzić, powiedzieć coś bardziej stanowczego, a wtedy może by jej więcej o to nie zapytał. Nie życzyła sobie takich pytań – wprawiały ją w zakłopotanie. Ale Katarzyna nie potrafiła być stanowcza, chwilę więc stała z ręką na klamce i patrząc na swego drwiącego rodzica odpowiedziała tylko krótkim śmiechem.

„Zaiste – rzekł sobie w duchu doktor – moja córka nie jest nadto błyskotliwa.” Ledwie jednak myśl ta przemknęła mu przez głowę, Katarzyna znalazła wyjście postanawiając – tak czy owak – potraktować całą sprawę żartobliwie:

•— Może zrobi to następnym razem – zawołała i z tym samym śmieszkiem wymknęła się z pokoju.

Doktor stał jak oniemiały; zastanawiał się, czy córka powiedziała to poważnie. Jej zaś, ledwie znalazła się u siebie, Przyszło na myśl, że należało powiedzieć coś innego – coś lepszego. Pragnęła teraz niemal, żeby ojciec powtórzył to

3«
pytanie i żeby mogła odpowiedzieć: „A jakże, pan Mau.; c-, Townsend oświadczył mi się, a ja mu odmówiłam.”

Doktor tymczasem gdzie indziej zaczął rozpytywać, uznał bowiem naturalnie, że powinien zasięgnąć właściwych informacji o tym przystojnym młodzieniaszku, który nabrał zwyczaju swobodnego odwiedzania jego domu. Zwrócił się więc do starszej z sióstr, pani Almond, lecz nie odwiedził jej od razu – nie było potrzeby tak się spieszyć; zanotował sobie tylko, by przy pierwszej okazji poruszyć z nią tę sprawę. Doktor nie robił nic pochopnie, nigdy się nie niecierpliwił i nie denerwował, natomiast wszystko skrzętnie zapisywał i regularnie sprawdzał swe notatki. W notatkach tych znalazła się przeto informacja, jaką uzyskał od swej siostry.

— Była już tu Lawinia, żeby mnie zapytać – powiedziała pani Almond. — Lawinia jest okropnie podniecona. Nie rozumiem tego. Przecież jeśli ten młody człowiek robi jakieś plany, to nie ją ma na uwadze. Doprawdy, jest bardzo osobliwa.

— Ach, moja droga – odparł doktor – przez te dwanaście lat mieszkania w jednym domu zdążyłem to zauważyć.

— Wszystko w niej jest takie wymyślane – ciągnęła dalej pani Almond, która lubiła porozmawiać z bratem o osobliwościach siostry, gdy tylko nadarzała się okazja. — Nie chciała, byś wiedział, że pytała o Townsenda, ale jej

powiedziałam, że powtórzę. Zawsze wszystko chce ukrywać.

– A przecież niekiedy potrafi jak nikt inny wygarnąć prawdę bez osłonek. Jest jak ta latarnia morska: raz oslepiająca jasność, to znów czarny mrok. 'Ale co to jej powiedziałaś?

– To samo co i tobie: że wiem o nim bardzo mało.

– Lawinia musiała być rozczarowana. Wolałaby, żeby popełnił jakąś romantyczną zbrodnię. Trzeba wszakże patrzeć na ludzi od najlepszej strony. Podobno ów dżentelmen jest kuzynem chłopca, któremu wkrótce powierzysz przyszłość swojej małej.

– Artur nie jest chłopcem; on jest bardzo stary. Ani ty,

– • n;e będziemy nigdy tacy starzy! Jest dalekim krew-^{alU} ^ protegowanego naszej siostry. Nazwisko to samo, ale dano mi d<Trozumienia, że są rozmaici Townsendowie.' Tak twierdzi matka Artura; mówiła mi coś o „gałęziach” – młodszych, starszych, lepszych, gorszych... jakby to był ród królewski. Artur, jak się okazuje, pochodzi z linii panującej, lecz młodzian biednej Lawinii do niej nie należy. Poza tym matka Artura wie o nim bardzo mało; słyszała tylko coś niecoś o tym, że był „szalawiką”. Ale znam trochę jego siostrę, niewiasta bardzo miła. Nazywa się pani Montgomery, jest wdową, ma skromny majątek i pięcioro dzieci. Mieszka na Drugiej Alei.

– A co o nim mówi pani Montgomery?

– Że ma zdolności i mógłby się wybić.

– Tylko że jest leniwy, hę?

– Tego nie powiedziała.

– Honor rodziny jej zabrania. A jaki on ma zawód?

– Nie ma żadnego; szuka czegoś. Zdaje się, że był kiedyś w marynarce.

– Kiedyś? Ile on ma lat?

– Przypuszczam, że ma z górą trzydzieści. Musiał wstąpić do marynarki bardzo młodo. Artur bodajże mi mówił o nim, że odziedziczył jakąś sumkę – może dlatego rzucił marynarkę – no i przepuścił ją w ciągu paru lat. Jeździł po świecie, mieszkał za granicą, bawił się. Myślę, że się kierował jakąś własną filozofią, miał swoją teorię na ten temat. A ostatnio wrócił do Ameryki z zamiarem, jak powiedział Arturowi, rozpoczęcia życia na poważnie.

– I stąd jego poważne zamiary wobec Katarzyny?

– Nie widzę, dlaczego' miałbyś mu nie dowierzać. Mam wrażenie, że nigdy nie doceniałeś Katarzyny. Pamiętaj, że ma na widoku trzydzieści tysięcy.

Doktor popatrzył chwałę na siostrę i rzekł cokolwiek gorzko:

– Za to ty ją doceniasz.

Pani Almond zaczerwieniła się.

– Nie chcę powiedzieć, że to jedyna jej zaleta; po prostu tylko myślę, że zaleta jest niemała. Tak uważa bardzo wielu młodych ludzi, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś nie zdawaj sobie z tego dobrze sprawy. Zawsze mimochodem jej napomykałeś, że jest dziewczyną nie nadającą się do zamaż-pójścia.

– Moje napomknienia są nie mniej życzliwe niż twoje, Elżbieto – rzekł otwarcie doktor. – Iluż to konkurentów miała Katarzyna ze wszystkimi jej widokami? Kto kiedy zabiegał o jej względy? Katarzyna nie jest dziewczyną, która się nie nadaje do małżeństwa, jest tylko zupełnie niepo-ciągająca. Gdyby nie to, Lawinia nie byłaby tak zachwycona pojawieniem się w domu wielbiciela. Dotąd nie było nikogo takiego, a Lawinia, z uczuciową, życzliwą swą naturą, nie przywykła do takiej możliwości. Wielbiciel działa na jej wyobraźnię. Muszę oddać sprawiedliwość nowojorskim młodym ludziom i stwierdzić, że uderza mnie ich wielka bezinteresowność. Wolałby ładne dziewczyny – żywe – dziewczyny takie jak twoje. A Katarzyna nie jest ani ładna, ani żywa.

– Katarzyna bardzo dobrze się rozwija, ma swój styl, czego nie można powiedzieć o Mariannie; biedactwo w ogóle nie ma stylu – dowodziła pani Almond.

– A młodzi ludzie niezbyt zabiegają o jej względy dlatego, że robi wrażenie, jakby była od nich wszystkich starsza. Jest taka potężna i ubiera się tak bogato. Myślę, że jej się trochę boją; wygląda, jakby już była mężatką, a wiesz, że oni nie lubią zamężnych kobiet. Jeśli nasi chłopcy wydają się być bezinteresowni – wywodziła mądrzejsza z sióstr doktora – to dlatego, iż żenia się na ogół bardzo młodo, przed dwudziestym piątym rokiem życia, czyli w wieku niewinności i szczerości, zanim jeszcze osiągną wiek wyrachowania. Gdyby tylko trochę poczekali, Katarzyna byłaby w lepszym położeniu.

– Jako obiekt ich wyrachowania? Dziękuję ci uprzejmie – odparł doktor.

– Poczekaj, aż się zjawi jakiś inteligentny czterdziestolatek; będzie zachwycony

Katarzyną.

— Pan Townsend zatem jeszcze nie dorósł do wyrachowania? Może mieć czyste intencje?

— Całkiem możliwe; przykro byłoby przesądzać z góry, • tak nie jest. Lawinia nie ma żadnych wątpliwości. Poza Tm jest młodzieńcem bardzo ujmującym, więc mógłbyś przynajmniej dać mu kredyt zaufania.

Doktor Sloper rozważał coś przez chwilę.

— A z czego on teraz żyje?

— Pojęcia nie mam. Mieszka, jak powiadam, z siostrą. — 2 wdowa, która ma pięcioro dzieci? Chcesz powiedzieć, że jest na jej utrzymaniu? Pani Almond wstała i zniecierpliwiona odrzuciła:

— Czy nie lepiej, żebyś zapytał o to ją samą?

— Może i do tego dojdzie — rzekł doktor. — Mówiłaś: Druga Aleja? — I zapisał Drugą Aleję w notatniku.

ROZDZIAŁ 7

Doktor wszakże nie spieszył się wcale tak, jak by na to mogła wskazywać ich rozmowa, bo w gruncie rzeczy cała ta sytuacja przede wszystkim go bawiła. Nie popadł bynajmniej w stan napięcia ni czujności mającej na względzie przyszłość Katarzyny. Czuwał raczej nad tym, by uniknąć ośmieszenia, jakie mogłoby towarzyszyć widokowi domu wprawionego w zamęt przez jego córkę i dziedziczkę, przyjmującą konkury nie notowane dotąd w kronice domowej. Więcej nawet, doktor posunął się tak daleko, że obiecywał sobie niejaką rozrywkę po tym małym dramaciku — o ile w ogóle był to dramat — w którym pani Pennirnan pragnęła przedstawić zmyślnego pana Townsenda jako bohatera. Nie zamierzał na razie pokierować akcją. Był zdecydowany okazać młodemu człowiekowi — jak radziła Elżbieta — pełne zaufanie. Żadnego większego niebezpieczeństwa w tym nie widział, bo na dobrą sprawę Katarzyna mimo swych dwudziestu dwu lat była kwiatem poniekąd już dojrzałym, takim, który można by zerwać jedynie mocnym szarpnięciem. Fakt, że Maurycy Townsend był ubogi, niekoniecznie przemawiał przeciw niemu, doktor bowiem nigdy nie wyrażał przekonania, że jego córka powinna wyjść za człowieka bogatego. Majątek, który miała odziedziczyć, na j zupełniej wystarczył jego zdaniem na zabezpieczenie egzy. stencji dwóch rozsądnych osób, toteż gdyby jakiś zakochany golec, zdolny wykazać się czymkolwiek, wszedł w szranki, byłby oceniony wyłącznie na podstawie swoich osobistych zalet. Ponadto wchodziły w grę inne rzeczy: doktor widział coś niezmiernie trywialnego w niewczesnym posądzaniu ludzi o wyrachowanie, gdyż łowcy posagu nigdy jeszcze nie oblegali progu jego domu. I wreszcie sam bardzo był ciekawy, .czy ktoś może naprawdę kochać Katarzynę dla jej moralnych zalet. Uśmiechał się na myśl o tym, że biedny pan Townsend odwiedził jego dom ledwie dwa razy, i polecił pani Penniman zaprosić go na obiad, gdy przyjdzie następnym razem.

Przyszła niezabawem i pani Penniman, rzecz jasna, z wielką przyjemnością tę misję wypełniła. Maurycy Townsend równie chętnie przyjął zaproszenie i obiad odbył się w ' parę dni później. Doktor uznał nie bez racji, że młody człowiek nie powinien być jedynym gościem, gdyż mogłoby to wyglądać na zachętę. Zaproszono przeto jeszcze parę osób. Pan Townsend wszakże był na tej uczcie honorowym gościem, choć bynajmniej tego nie okazywano. Istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że chciał zrobić dobre wrażenie, jeśli więc mu się nie powiodło, to nie dlatego, iżby nie przyłożył starań. Doktor niewiele do niego mówił przy obiedzie, za to obserwował go uważnie i kiedy panie opuściły pokój, podsunął mu wino i zagadnął o to i owo, Maurycy nie należał do młodzieńców, których trzeba zachęcać do rozmowy, znalazł też dostateczną otuchę w przednim winie. Bordeaux doktora było znakomite i tu czytelnik niech się dowie, że sącząc je Maurycy zauważył w duchu, iż piwniczka pełna dobrych trunków — bo najwyraźniej doktor miał taką piwniczkę — mogłaby być najbardziej atrakcyjną manią teścia. Doktor był zaskoczony znanstwem gościa; widział, że ma do czynienia z nieprzeciętnym chłopcem. „Zdolny młody człowiek — przyznał — zdecydowanie utalentowany. I głowę rna na karku, byleby tylko zechciał zrobić z niej użytek. Prezentuje się też niezgorzej — typ, 40

którv bardzo odpowiada damom. Mnie jednak chyba do gunie przypada." Refleksje te wszakże zachował dla siebie, tymczasem opowiadał gościom o obcych krajach, o

których Maurycy pośpieszył dodać więcej informacji, niż doktor zdołał wchłonać, jak to w duchu sformułował. Sam trochę podróżował, teraz więc pozwolił sobie nie dawać wiary wszystkiemu, co opowiadał jego elokwentny gość. Poza tym doktor chlubił się tym, że po trosze jest fizjonomista, .toteż gdy młody człowiek ómiac cygaro i dolewając sobie wina rozprawiał z wielką swadą, doktor siedział z oczyma utkwionymi spokojnie w jego jasnej, wyrazistej twarzy. „Jest pewny siebie jak sam diabeł! – stwierdził. – Nigdy chyba takiego tupetu nie widziałem. A ta potęga inwencji też zasługuje na uwagę. I bardzo jest oblatany. Za moich czasów takich się nie spotykało. Co zaś się tyczy dobrej głowy, a jakże, to się zgadza... po butelce madery i półtorej czerwonego wina!”

Po obiedzie Maurycy Townsend podszedł do Katarzyny, która stała przed kominkiem w swojej czerwonej, atłasowej sukni.

– Nie podobam mu się... Nie podobam mu się wcale – oświadczył.

– Komu pan się nie podoba? – zapytała.

– Pani ojcu. To zadziwiający człowiek.

– Nie wiem, skąd panu przyszło to do głowy – odparła Katarzyna czerwieniejąc.

– Czuję to. Ja bardzo łatwo wyczuwam takie rzeczy.

– Może pan się myli.

– Skądże, niech pani go zapyta i sama się przekona. ~ Wolę nie pytać, jeśli istnieje jakakolwiek obawa, że powie mi to samo.

Maurycy spojrział na nią z wyrazem drwiącej melancholii. Nie sprawiłoby pani przyjemności, gdybyś mu pani zaprzeczyła?

~– Nigdy mu nie zaprzeczam – odparła Katarzyna.

I słysząc, jak mnie obraża, nie otworzysz pani ust obronie?

– Mój ojciec pana nie obrazi. Nie zna pana der nie.

Maurycy wybuchnął głośnym śmiechem i Katarzyn:.. stanęła w pasach.

– Nie wspomnę o panu ani słowem – powiedziała, chc ratować się jakoś przed zmieszaniem.

– Doskonale, tylko że niezupełnie to chciałbym -usłyszeć. Wolałbym, żebyś pani powiedziała: „To nie gra roli. że mój ojciec nie ma o panu dobrego mniemania.”

– Ależ gra rolę! – zaproponowała Katarzyna. – Nie mogłabym tak powiedzieć.

Spoglądał na nią przez chwilę uśmiechając się nieznacznie. I gdyby doktor obserwował go w tej chwili, dostrzegłby w przyjaznej łagodności jego wzroku leciutki błysk zniecierpliwienia. Nie było wszakże zniecierpliwienia w jego odpowiedzi, chyba że można by się go doszukać w lekkim, przymilnym westchnieniu kawalera.

– Cóż, w takim razie nie wolno mi tracić nadziei, że go udobrucham.

Za to później bardziej otwarcie dał mu wyraz w rozmowie z panią Penniman.

Zanim to jednak nastąpiło, zaśpiewał parę pieśni na nieśmiałą prośbę

Katarzyny, choć nie pochlebiał sobie, że udobrucha tym jej ojca. Głos miał

nieduży, lecz przyjemny, tenorowy, i gdy skończył, sypnęły się pochwały, to

znaczy, wszyscy coś wykrzykiwali oprócz Katarzyny, która milczała jak zakłeta.

Pani Penniman oświadczyła, że pan Townsend śpiewa jak artysta, a doktor Sloper

orzekł, że był to śpiew „bardzo ujmujący, doprawdy bardzo ujmujący”. Powiedział to głośno i wyraźnie, choć cokolwiek oschle.

– Nie podobam mu się. Wcale mu się nie podobam – rzekł Maurycy, zwracając się do ciotki tymi samymi słowy co do bratanicy. – Nie widzi we mnie nic dobrego!

Pani Penniman w przeciwieństwie do bratanicy nie prosiła o wyjaśnienia.

Uśmiechnęła się tylko bardzo słodko, jakby wszystko rozumiała; i w

przeciwieństwie do~Katarzy-ny, nie usiłowała mu zaprzeczyć.”

– Ech, cóż to ma za znaczenie – szepnęła kojąco. 42

___ Otóż to, pani ma rację! – zgodził się ku wielkiej

tysfakcji pani Penniman, która szczyliła się tym, że zawsze miała rację.

Doktor tymczasem powiadomił przy najbliższej okazji swą drugą siostrę, Elżbietę, iż poznał protege Lawinii.

_ Fizycznie nadzwyczaj jest udany – opowiadał; – Jako anatom, z prawdziwą przyjemnością patrzę na tak wspaniałą budowę, chociaż gdyby wszyscy ludzie byli tacy, nie bardzo potrzebowano by doktorów.

– Czy ty nic nie widzisz w ludziach oprócz kości? – odparowała pani Almond. – Co o nim sądzisz jako ojciec?

– Jako ojciec? Dziękować Bogu, nie jestem jego ojcem!

– Nie, ale jesteś ojcem Katarzyny. Lawinia twierdzi, że ona jest zakochana.

– Musi go przeboleć. On nie jest džentelmenem.

– Och, bądź ostrożny! Pamiętaj, że on wywodzi się z Townsendów.

– On nie jest tym, co ja nazywam dżentelmenem; nic nie ma w sobie z dżentelmena. Jest wprawdzie nad wyraz ujmujący, ale grubiańską ma naturę. Przejrzałem go w jednej chwili. A w ogóle jest zanadto poufały; nie znoszę tego. Obludny zeń pyszałek.

– No cóż – odparta pani Almond – można ci tylko pozazdrościć, że tak łatwo wyrabiasz sobie o kimś zdanie.

– Nie wyrabiam sobie łatwo zdania. To, co ci mówię, jest wynikiem trzydziestoletnich obserwacji i żeby móc wyrobić sobie ten sąd w ciągu wieczora, musiałem spędzić życie na badaniach.

•– Bardzo możliwe, że masz rację. Ale rzecz w tym, żeby Katarzyna sama to dostrzegła.

– Dostarczę jej okulary! – zapowiedział doktor.

ROZDZIAŁ 8

Jeśli prawdą jest, że była zakochana, to w każdym razie nie napomknęła o tym ani słowem; doktor jednak liczył się z tym naturalnie, że jej milczenie może znaczyć bardzo wiele. Zapowiedziała Maurycemu Townsendowi, że nie wspomni o nim ojcu, i nie widziała powodu, dla którego miałaby cofnąć owo zapewnienie. Zwykła grzeczność dyktowała, by Maurycy, po obiedzie na Placu Waszyngtona, odwiedził ich ponownie; było również rzeczą całkiem naturalną, że zaznawszy gościnności domu ponawiał-swoje odwiedziny. Dysponował bez ograniczeń wolnym czasem; a w Nowym Jorku przed trzydziestu laty nie pracujący młody człowiek miał powody do wdzięczności, gdy nie musiał być skazany na własne towarzystwo. Katarzyna nie wspomniała ojcu o tych odwiedzinach, mimo że stały się one nieoczekiwane czymś najważniejszym, najbardziej ją absorbującym w życiu. Była bardzo szczęśliwa. Nie wiedziała jeszcze, co zgotuje przyszłość, za to teraźniejszość nagle się wzbogaciła, zyskała na powadze. Gdyby jej wówczas powiedziano, że jest zakochana, bardzo by ją to zaskoczyło; wyobrażała sobie bowiem, że miłość to uczucie zapalczywe i zaborcze, podczas gdy jej własne serce w owych dniach przepełniała gotowość do wyrzeczeń i ofiary. Ilekroć Maurycy wychodził z ich domu, dziewczyna całą swoją wyobraźnię skupiała wokół myśli, że wkrótce ją odwiedzi znowu, a jednak, gdyby jej w tym momencie powiedziano, że wróci za rok lub że nie wróci wcale, nie skarżyłaby się i nie buntowała, tylko pokornie przyjęłaby ów wyrok, szukając pociechy w rozpamiętywaniu czasów, gdy go widywała, słów, które wypowiedział, jego głosu, kroków i wyrazu twarzy. Miłość ma swoje wymagania i to jest jej prawo; lecz Katarzyna nieświadoma była własnych praw. Wiedziała tylko, że spłynęła na nią jakaś ogromna, nieoczekiwana łaska. Taiła w sobie nawet wdzięczność za te dary, mniemając, że zuchwalstwem byłoby wystawiać na pokaz swoją tajemnicę. Ojciec domyślał się tych wizyt kawalera i dostrzegł jej powściągliwość. Zdawała się prosić go o przebaczenie. Spoglądała na niego w milczeniu, jakby chciała wytłumaczyć, że nie mówi nic, gdyż boi się, by go nie zirytować. Ta niema gadatliwość nieszczęsnej dziewczyny irytowała go najbardziej i nieraz zdarzyło mu się mruknąć, że jego jedynaczką jest głuptasem. Sarkania te wszakże były niesłyszalne i przez jakiś czas doktor Sloper nikomu nic nie mówił. Wprawdzie wolałby dokładnie wiedzieć, jak często młody Townsend – kładą wizyty w jego domu, postanowił jednak nie zadawać lorce żadnych pytań – nie mówić jej nic, co by świadczyło o tym, że ją śledzi. Doktor zawsze pragnął być głęboko sprawiedliwy; chciał więc zostawić jej swobodę i nie ingerować, jeśli niebezpieczeństwo nie zostanie dowiedzione. Nie miał także zwyczaju zasięgać języka okrężnymi drogami, toteż nie przyszło mu do głowy pytać służbę. Co do Lawinii, za nic nie chciał z nią rozmawiać o tej sprawie; drażniła go swym groteskowym romantyzmem. W końcu jednak zmuszony był to zrobić. Przekonania pani Penniman co do stosunków bratanicy z jej inteligentnym młodym gościem, który dla pozorów udawał, że odwiedza obie damy, przekonania te wkroczyły już w dojrzałą i pełniejszą fazę. Pani Penniman nie zamierzała być niedelikatna w takiej sytuacji, toteż stała się równie małomówna jak i Katarzyna. Spowita w woal tajemnicy, kosztowała słodczy przemilczania. „Byłaby zachwycona, gdyby mogła dowieść samej sobie, że jest prześladowana” – stwierdził doktor i kiedy wreszcie ją wy badał, nie miał wątpliwości, że siostra znajdzie sposób, by wycisnąć z jego słów uzasadnienie dla tej wiary.

– Bądź tak dobra i powiedz mi, co się dzieje w tym domu – zwrócił się do niej tonem, który w tych okolicznościach sam uznał za dobrotliwy.

– Co się dzieje, Augustynie? – zdziwiła się pani Penni-Bian. – Skąd mam wiedzieć? Zdaje się, że ubiegłej nocy ta stara bura kotka nam się okociła.

– W tym wieku? Aż dziw bierze, to wprost niesłychane, jądź tak dobra i dopilnuj, żeby wszystkie małe potopiono. A co jeszcze się zdarzyło?

– O, maleństwa ukochane – wykrzyknęła pani Penniman. – Za nic w świecie nie kazałabym ich topić!

Doktor przez parę sekund w milczeniu ćmił cygaro.

Twoje współczucie dla kociąt, Lawinio – podjął zaraz – wynika z kocich właściwości twej natury.

– Koty mają mnóstwo wdzięku i są bardzo czyste ^_ przekonywała z uśmiechem pani Penniman.

– I podstępne. Ty sama jesteś wcieleniem zarówno wdzięku, jak schludności. Nie jesteś tylko dostatecznie szczerą.

– Za to ty jesteś szczerą, mój kochany.

– Ja nie mam pretensji do wdzięku, choć staram się być schludny. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że pan Maurycy Townsend cztery razy na tydzień przychodzi do naszego domu?

Pani Penniman uniosła brwi.

– Cztery razy na tydzień?!

– No to trzy albo i pięć, jak wolisz. Przebywam poza domem cały dzień i nic nie widzę. Ale jak się zdarza coś takiego, powinnaś mnie powiadomić.

Pani Penniman, z podniesionymi jeszcze brwiami, rozważała coś z przejęciem.

– Mój drogi Augustynie – rzekła w końcu – ja nie potrafię zawieść zaufania. Wolałabym raczej cierpieć męki.

– Nie ma obawy, ty nie będziesz cierpieć. Czyje zaufanie masz na myśli? Czy Katarzyna kazała ci poprzysiąc wieczystą tajemnicę?

– Skądże znowu. Katarzyna nie powiedziała mi wszystkiego. Nie ma do mnie zaufania.

– A więc to ten młody człowiek uczynił z ciebie swoją powiernicę? Pozwól sobie powiedzieć, że to bardzo nierozważnie z twojej strony zawierać potajemne przymierze z młodymi mężczyznami; nie wiesz, dokąd cię one mogą zaprowadzić.

– Nie wiem, co rozumiesz przez przymierze – obruszyła się pani Penniman. – Pan Townsend bardzo mnie interesuje, tego nie ukrywam. Ale to wszystko, nic więcej.

– Zważywszy okoliczności, to wystarczy. Skąd takie zainteresowanie tym młodzieńcem?

– Stąd, że... – namyślała się pani Penniman i nagle twarz jej się rozjaśniła: – że jest taki interesujący!

Doktor czuł, że musi przywołać na pomoc swą cierpliwość.

___ Dlaczego jest interesujący? Czy z racji swej urody? ___ Z racji swoich nieszczyść, Augustynie. ___ Ach, więc nieszczyścia też go spotykały? To, naturalnie jest zawsze interesujące. A czy możesz mi przytoczyć ___ j^ie wiem, czyby to pochwalił – zwątpiła pani Penni- _ Wiele mi o sobie opowiadał; właściwie, to mi opowiedział całe swoje dzieje. Nie sądzę jednak, by należało je powtarzać. Jestem pewna, że sam by ci je opowiedział, gdyby był przekonany, że wysłuchasz go życzliwie. Życzliwością można z nim zrobić wszystko.

Doktor roześmiał się.

– W takim razie poproszę go życzliwie, żeby zostawił w spokoju Katarzynę.

– O! – zachnęła się pani Penniman grożąc bratu wskazującym palcem i zaginając serdeczny – Katarzyna powiedziała mu pewnie coś bardziej życzliwego!

– Powiedziała, że go kocha? O to ci chodziło? Pani Penniman utkwiała wzrok w podłozie.

– Mówiłam ci przecież, że'mi się nie zwierza.

– Sądzę jednak, że masz o tym swoje zdanie. I o to cię pytam; choć nie ukrywam, że nie będę uważał go za ostateczne.

Wzrok pani Penniman nadal spoczywał na dywanie. Wreszcie podniosła go na brata i doktor uznał, iż wzrok ten mówi wiele.

– Myślę, że Katarzyna bardzo jest szczęśliwa. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Townsend stara się o jej rękę, czy to chciałaś powiedzieć?

– Bardzo się nią interesuje.

– Czyżby była dla niego aż tak pociągająca?

– Katarzyna ma cudowny charakter, Augustynie •– wywodziła pani Penniman. – A pan

Townsend był na tyle bystry, że to zauważył.'

– W czym troszeczkę mu pomogłaś, jak przypuszczam. Moja droga Lawinio – zawołał doktor – jesteś cudowną ciotką!

– Pan Townsend też tak utrzymuje – zauważyła iinlie_ chając się Lawinia.

– I sadzisz, że jest szczerzy?

– Gdy to mówi?

– Nie, to jest oczywiste. Ale czy jest szczerzy adorując Katarzynę?

– Jak najszczerzy. Mówił mi o niej najpochlebniejsze wprost zachwycające rzeczy. Powiedziałby ci to samo, gdy-by był pewien, że wysłuchasz go... łaskawie.

– Wątpię, czybym się tego podjął. Mam wrażenie, że on wymaga bardzo wiele łaskawości.

– Czują, wrażliwą naturę ma ten chłopiec – zapewniła pani Penniman.

Doktor znów umilkł, wypuszczając dym z cygara.

– I te subtelne przymioty zwyciężyły nad przeciwnościami losu, he? Ciągle jeszcze nie powiedziałaś mi o jego klęskach.

– To długa historia – odrzekła pani Penniman – i dochowam świętej tajemnicy. Myślę jednak, że nie ma co ukrywać, iż był szalawilą; przyznaje się do tego szczerze. Ale zapłacił za to.

– I to go tak zubożyło, co?

– Nie chodzi tylko o pieniądze. On jest bardzo osamotniony na tym świecie.

– Chcesz powiedzieć, że tak sobie źle poczynął, iż odsunęli się od niego przyjaciele?

– Miał fałszywych przyjaciół, którzy go oszukali i zdradzili. 4

– Dobrych, zdaje się, też mu nie brakuje. Ma oddaną siostrę i pół tuzina siostrzeńców i siostrzenic. Pani Penniman milczała chwilę.

– Siostrzeńcy i siostrzenice to są dzieci, a siostra nie jest osobą nadto atrakcyjną.

– Mam nadzieję, że nie mówi ci o niej nic obraźliwego, bo jak słyszałem, jest na jej utrzymaniu.

– Na jej utrzymaniu?

– Mieszka u niej, a sam nic nie robi; to prawie na jedno wychodzi.

48

Szuka bardzo pilnie jakiegoś stanowiska – wyjaśniła i Penniman. – Spodziewa się je znaleźć lada dzień. ' Istotnie. Szuka go tutaj, to znaczy tam, w salonie. ;s,ko męża kobiety mało rozgarniętej, lecz mającej, pasowałoby do niego jak ulał! -ny tym miejscu pani Penniman, zwykle bardzo ugrzecz-iona zaczęła zdradzać uniesienie. Poderwała się żywo z miejsca i stała chwilę, spoglądając na doktora.

_ Drogi Augustynie – oznajmiła – jeśli uważasz Katarzynę za kobietę mało rozgarniętą, to jesteś w wielkim błędzie! – co powiedziawszy, oddaliła się majestatycznie.

ROZDZIAŁ, 9

W domu na Placu Waszyngtona panował zwyczaj, że niedzielny wieczór spędzano zawsze u Almondów. Zwyczaju tego nie zaniedbano więc w niedzielę po rozmowie, o której właśnie tu opowiedziałem. Tam też, gdzieś w środku wieczoru, doktor Stoper uznał za właściwe przejść do biblioteki ze swym szwagrem, by pomówić z nim o jakiejś sprawie. Nie było go ze dwadzieścia minut i gdy powrócił do swojego grona, ożywionego obecnością paru osób zaprzyjaźnionych z Almondami, spostrzegł, że przyszedł również Maurycy Townsend i że nie tracąc czasu usadowił się na małej sofie obok Katarzyny. W tym dużym pokoju, w którym utworzyły się teraz rozmaite grupki napełniając go śmiechem i gwarem, tych dwoje mogło sobie gruchać, jak to nazwał doktor, nie zwracając na siebie uwagi. Po chwili wszakże dostrzegł, że córka ma przykrą świadomość, iż on sam ją obserwuje. Siedziała nieruchomo spuściwszy oczy na otwarty wachlarz, purpurowa, skurczona w sobie, jakby chciała pomniejszyć nierozwagę, o którą siebie obwinała.

Doktor nieomal współczuł córce. Biedna Katarzyna nie była wojownicza; nie miała w sobie bojowego ducha i czu-Jąc, że ojciec nieprzychylnym okiem patrzy na umizgi jej amanta, z przykrością myślała o tym, że ojciec może to poczytać za wyzwanie. Doktorowi w rzeczy samej tak było żal dziewczyny, że odwrócił się, aby nie miała poczucia ;• jest obserwowana; a jako człowiek wnikliwy, przyznawał w duchu, że jej sytuacja nie pozbawiona jest poetyczności

„Takiej skromnej, bezbarwnej dziewczynie musi być diablo przyjemnie mieć obok siebie urodziwego kawalera, który siada przy niej i szepcze jej do ucha. że jest

jej niewolnikiem – jeśli to właśnie szeptce ów kawaler. Nic dziwnego, że jej się to podoba i że uważa mnie za okrutnika – bo przecież tak uważa, choć boi się, nie ma dość animuszu, żeby się do tego przyznać. Biedna, poczciwa Katarzyna! – rozmyślał doktor. – Zaiste, wierzę, że skłonna jest mnie bronić, gdyby Townsend mi ubliżał!"

Był o tym tak niezbitnie przekonany w owej chwili, że pojmując naturalną różnicę zapatrywań pomiędzy nim a jego ' zaślepionym dzieckiem, zastanowił się, czy w istocie nie podchodzi do życia zbyt surowo i czy nie wyprzedza faktów. Nie powinien skazywać Townsenda, dopóki go nie przesłucha. Doktor wzdragał się przed surowością uważając, że jest ona przyczyną połowy udręk i wielu rozczarowań na tym świecie, toteż przez chwilę nawet zapytywał siebie, czy nie wydaje się przypadkiem śmieszny temu inteligentnemu młodemu człowiekowi, który – jak podejrzewał – łatwo dostrzegał niestosowne poczynania. Nie minął kwadrans, a Katarzyna uwolniła się od swego towarzysza i Townsend stał teraz przy kominku pogrążony w rozmowie z panią Almond.'

„Trzeba go jeszcze wypróbować” – zdecydował doktor i przemierzwszy pokój przyłączył się do nich, dając znak siostrze, by pozostawiła ich na osobności. Odeszła więc, jak sobie życzył, podczas gdy Maurycy patrzył z uśmiechem na doktora bez siadu zmieszania w spojrzeniu pełnym ugrzecz-nienia.

„On jest zdumiewająco pewny siebie” – pomyślał doktor, po czym, już głośno, zwrócił się do Townsenda:

– Słyszałem, że rozglądasz się pan za stanowiskiem.

– Och, stanowisko to za wiele, nie ośmieliłbym się tak tego nazywać – odparł Maurycy. – To brzmi bardzo wyie Chciałbym mieć jakąś spokojną pracę... coś, żeby uczciwie trochę grosza

__ A co byś pan chciał robić?

__ Chce pan zapytać, do czego się nadaję? Obawiam się, do niewielu rzeczy. Posiadam tylko tę zdatną prawicę, iak mówią w melodramatach.

__ Jesteś pan zanadto skromny – zauważył doktor. – VV dodatku do zdatnej prawicy posiadasz bystry umysł. Nie wiem o panu nic prócz tego, co sam widzę; a pańska fizjonomia zdradza nadzwyczajną przenikliwość.

_ Aeh – wymamrotał Townsend – nie wiem, co na to odpowiedzieć. Zatem radzi mi pan, żebym nie rozpaczał?

Spojrzał przy tym na swego rozmówce, jakby pytanie to mogło mieć dwojaki sens. Doktor podchwycił to spojrzenie i ważył je przez chwilę w duchu, zanim odpowiedział:

– Byłoby mi niezmiernie smutno przyznać, że dobrze rozwinięty, uzdolniony młody człowiek ma jakiegokolwiek powody do rozpacy. Jeśli nie wiezie mu się w jednym, może próbować drugiego. Dodam tylko, że powinien z rozwagą obierać sobie drogę.

– A właśnie, z rozwagą – powtórzył za nim zgodnie Maurycy. – Otóż dawniej bywałem nierozważny. Sądzę jednak, że już się z tym uporałem. Jestem bardzo zrównoważony ostatnimi czasy. – Co rzekłszy, stał chwilę wpatrując się w swoje niezwykle wypielęgnowane buty. Wreszcie, podniósłszy głowę, uśmiechając się zapytał: – Czy pan zamierzał mi łaskawie przedłożyć jakąś korzystną propozycję? „Niech diabli wezmą taki tupet!” – zakrzyknął doktor w głębi ducha. Po chwili wszakże spostrzegł się, że to on przecież poruszył ten drażliwy temat i że pan Townsend fflogł wziąć jego słowa za ofertę.

~ Nie mam dla pana żadnej konkretnej propozycji – o parł – iecz przyszej0 mi na myśl, żeby pana powiadomić, będę miał go na uwadze. Czasem słyszy się o różnych . iwościach. ^z^ na przykład nie miałbyś pan nic przeciwko ternu, żeby opuścić Nowy Jork... wyjechać gdzieś dalej?

– Obawiam się, że to mi się nie uda. Muszę szuka* szczęścia tutaj albo nigdzie. Widzi pan – dorzucił – jestem związany, mam tu obowiązki. Mam siostrę, wdowę, z ^tó rą rozstałem się na długi czas, a dla której jestem niemal wszystkim. Nie r.hciałbym jej powiedzieć teraz, że muszę j= zostawić. Jestem poniekąd jej oparciem, pan rozumie.

– A, to się chwali. Poczucie więzi rodzinnej jest chwalebne – odrzekł doktor. – Często myślę, że mamy jej niedostatek w naszym mieście. Ale ja chyba słyszałem coś o pańskiej siostrze.

– Być może, choć wydaje mi się to wątpliwe. Ona żyje na uboczu, bardzo skromnie.

– Chciał pan powiedzieć – zaśmiał się doktor – że żyje skromnie, jak przystało damie z kilkorgiem małych dzieci.

– Otóż to! Moi rlnali siostrzeńcy i siostrzenice! O nich właśnie chodzi! Pomagam jej wychować dzieci. Jestem czymś w rodzaju nauczyciela-amatora; udzielam im lekcji.

– To się bardzo chwali, jak powiadam. Ale nie nazwiesz pan tego karierą.

– Fortuny mi to nie przysporzy – przyznał młody człowiek.

– Nie należy zbyttnio się rozglądać za fortuną – przestrzegł doktor. – Zapewniam pana wszakże, iż będę go miał w swej pamięci; nie stracę pana z oka.

– Pozwolę sobie może panu się przypomnieć, w razie gdybym się znalazł w rozpaczliwej sytuacji – podchwycił Mauryey, podnosząc nieco głos i rozjaśniając twarz uśmiechem w chwili, gdy jego rozmówca się oddalał.

Doktor Sloper na odchodnym zamienił jeszcze parę słów z Elżbietą Almond.

– Chciałbym się zobaczyć z jego siostrą – powiedział. Jak ona się nazywa... pani Montgomery? Chciałbym z nią pomówić.

– Spróbuję to zaaranżować – odparła pani Almond. – Skorzystam z pierwszej okazji, żeby ją zaprosić, a wtedy przyjdiesz i ją poznasz... Chyba że – dorzuciła – pozwoli sobie wmówić, że jest chora, i sama cię poprosi.

– Co to, to nie; ona ma pewnie i bez tego dość kłopotów

OSZ'

im

bv to wszakże swoje dobre strony, bo wtedy bym °ł dzieci. Bardzo bym je chciał zobaczyć. P°™ Jesteś wielce dociekliwy. Chcesz je wypytać, aby do-wiedzieć się czegoś o ich wuju?

– A jakże. Ich wuj twierdzi, że zajmuje się ich edukacją dzając tym siostrze wydatków na szkołę. Chciałbym i zadać parę pytań z ogólniejszych dziedzin. On istotnie nie wygląda na nauczyciela" – pomyślała sobie wkrótce potem pani Almond widząc, jak Maurycy Townsend pochyła się nad jej siedzącą w kącie bratanicą.

Dyskurs, jaki prowadził w owej chwili, także w niczym nie przypominał konwersacji pedagoga.

– Czy spotkasz się gdzieś pani ze mną jutro lub pojutrze? – spytał półgłosem Katarzynę.

– Spotkać się z panem? – powtórzyła podnosząc ku niemu zatrwożone oczy.

– Mam pani do powiedzenia coś... bardzo szczególnego.

– Nie może pan przyjść do nas? Powiedzieć tego u nas w domu? Townsend markotnie potrząsnął głową.

– Nie mogę już więcej przekroczyć progu pani domu.

– Och, panie Townsend! – wyszeptwała Katarzyna. Drżąc, rozważała, co się wydarzyło; czyżby ojciec mu zabronił?

– Nie mogę, z szacunku dla samego siebie – wyjaśnił młody człowiek. – Pani ojciec mnie obraził.

– Obraził pana?

– Naigrawał się z niego ubóstwa.

– O, pan się myli... pan go nie zrozumiał! – przekonywała żywo Katarzyna wstając z krzesła.

– Może jestem zbyt dumny... zbyt wrażliwy. Ale inaczej nie chciałaby pani mówić ze mną – dodał tkliwie.

– Co się tyczy mego ojca, nie powinien pan się uprzedzać. Ojciec pełen jest dobroci – zapewniła.

Śmiał się ze mnie, że nie mam żadnego stanowiska.

rzyjałem to spokojnie, ale tylko dlatego, że jest bliskim Pani.

~ Nie wiem – powiedziała Katarzyna – nie wiem, co on myśli. Jestem pewna, że intencje ma najlepsze. Nie nien pan być zanadto dumny.

– Będę więc dumny tylko z pani – odparł Maurycy -^ Czy spotkamy się na Placu po południu?

Krwisty rumieniec był odpowiedzią Katarzyny na dekla rację, którą tu przed chwilą przytoczyłem. Odwróciła się ignorując to pytanie.

– Spotkamy się? – powtórzył. – Tam tak zacisznie. o zmroku nikt nas nie dostrzeże.

– To pan jesteś nieżyczliwy, to pan się naigrawasz mówiąc takie rzeczy.

– Moja miła! – wymamrotał młody człowiek.

– Pan wie, jak niewiele mam zalet, z których można by być dumnym. Jestem brzydka i głupia.

Maurycy skwitował tę uwagę żarliwym szeptem, z którego zrozumiała tylko to, że

jest jego ukochaniem. Ciągnęła jednak dalej:

– Brak mi nawet... brak mi nawet... – i zamilkła.

– Czego ci brak, pani?

– Brak mi nawet odwagi.

– A, skoro tak, skoro się pani boisz, cóż zrobimy? Wahała się chwilę i wreszcie oświadczyła:

– Musi pan przyjść do nas do domu. Tego się nie boję.

– Wolałbym przyjść na Plac – nalegał młody człowiek. – Wiesz pani, jak tam jest zazwyczaj pusto. Nikt nas nie zobaczy.

– Nie dbam o to, czy nas kto zobaczy. Ale teraz proszę mnie zostawić.

Opuścił ją zrezygnowany; miał za swoje. Na szczęście nie wiedział o tym, że w pół godziny później, wracając do domu z ojcem i czując jego obecność blisko siebie, nieszczęsna dziewczyna, mimo niespodziewanej manifestacji swej odwagi, znów zadrżała. Ojciec nie odzywał się, lecz miała wrażenie, że czuje na sobie jego wzrok w ciemności. Pani Penniman także milczała. Maurycy Townsend zwierzył jej się, że bratanica przedkłada tak nieromantycznie rozmowę w salonie z perkalowymi pokrowcami nad sentymentalną

54 przy fontannie obsypanej pożółkłymi liśćmi, toteż schadzKę P . dziwic temu niezwykłemu – wprost opa-nie mogła się cznemu-wyborowi.

ROZDZIAŁ 10

Nazajutrz Katarzyna podejmowała młodego człowieka na oruncie, który wybrała – wśród czcigodnych obić nowojorskiego salonu, urządzonego podług mody sprzed lat pięćdziesięciu. Maurycy schował dumę do kieszeni i zdobył się na wysiłek, jakiego wymagało przekroczenie progów jej uszczypliwego ojca – a ów akt wielkoduszności niechybnie uczynił go podwójnie interesującym.

– Musimy coś postanowić... obrać jakąś drogę – oświadczył przeczesując ręką włosy i zerkając w podłużne, wąskie lustro, które zdobiło przestrzeń pomiędzy dwoma oknami; u jego podstawy stała pozłacana konsolka z cienkim, białym marmurowym blatem, ten zaś z kolei podtrzymywał szachownicę, złożoną w kształt oprawy dla dwóch tomów – dwóch lśniących foliałów z wytłoczonymi na nich zielonka-wo-złocistymi literami: Historia Anglii. Jeśli Maurycemu spodobało się nazwać pana domu bezdusznym szydercą, to dlatego, iż uważając go za człowieka zbyt czujnego dawał w ten sposób najprostsze ujście swemu niezadowolaniu – niezadowoleniu, które postanowił za wszelką cenę ukryć przed doktorem. Czytelnik wszakże pewnie zauważy, że doktor bynajmniej nie przesadzał w swej czujności i że tych dwoje młodych cieszyło się swobodą. Zażyłość ich znacznie teraz wzrosła i może się wydawać, że jak na osobę nieśmiałą i zamkniętą w sobie, nasza bohaterka nie skąpiła młodzieńcowi względów. W ciągu paru dni skłonił ją do wysłuchania rzeczy, na które, jak sądziła, nie była przygotowana; wiedziony wyraźnym przecuciem czekających go

rudności czynił jak największe postępy korzystając z chwili.

arniętał o tym, że fortuna sprzyja śmiałkom, zresztą, nawet

suyby zapomniał, pani Penniman by mu o tym przypomnia-

a- Bo pani Penniman uwielbiała nade wszystko dramat, teraz zaś obiecywała sobie, że dramat wkrótce się rozegra. Łącząc gorliwość suflerki z niecierpliwością

widza, dawno już uczyniła wszystko, co było w jej mocy, by podnieść kurtynę.

Sama także miała nadzieję wystąpić w owym przedstawieniu – grać w nim

powiernicę, chór, wygłosić epilog. Można rzec, że niekiedy nawet traciła z oczu skromną bohaterkę sztuki, zapatrzona w wizję wzniosłych scen, które oczywista miały się rozegrać pomiędzy nią a bohaterem.

Wreszcie Maurycy powiedział po prostu Katarzynie, że ją kocha albo raczej, że ją wielbi. Właściwie dał jej to do zrozumienia już przedtem – wizyty jego były jednym ciągiem wymownych tego znaków. Teraz wszakże potwierdził to wyznaniem wielbiciela i dla upamiętnienia tego faktu objął wpół dziewczynę i skradł jej pocałunek. To radosne poświadczenie przyszło wcześniej, niż się tego spodziewała, toteż całkiem naturalne, że uważała je za skarb bezcenny. Wątpliwe nawet, czy kiedykolwiek naprawdę się spodziewała skarb ten posiadać, bowiem nigdy nań nie czekała, nigdy nie pomyślała o tym, że ta chwila musi nadejść. Albowiem, jak próbowałem wytłumaczyć, dziewczyna nie była zapalczywa ani też wymagająca, brała z dnia na dzień to, co jej dawano, i gdyby jej umiłowany zaprzestał nagle swoich wizyt, to choć ów cudowny zwyczaj napawał ją szczęściem, w którym ufność i uległość dziwnie się z sobą przeplatały, nie tylko nie mówiłaby o sobie jako o jednej z porzuconych, ale nawet nie uważałaby siebie

w duchu za jedna z zawiedzionych. Gdy Maurycy za ostatnią bytnością pocałował ją dając tym niezbity dowód swego przywiązania, błagała go, żeby poszedł, żeby ją zostawił samą i pozwolił jej pomyśleć. Maurycy wyszedł odebrawszy przedtem jeszcze jeden pocałunek. Wszelako rozmyślaniom Katarzyny brakowało pewnej konsekwencji. Długo jeszcze czuła na wargach i policzkach jego pocałunki, a uczucie to stanowiło raczej przeszkodę niż pomoc w rozważaniach. Wolałaby wyraźnie widzieć własną sytuację i zdecydować, co począć, w razie gdyby ojciec potwierdził jej obawy oświadczając, że jest przeciwny panu Townsendarowi. Zamiast tego jednak widziała wyraźnie tylko jedno: wydawało jej się mianowicie czymś zupełnie niepojętym, by ktoś mógł mieć coś za złe Maurycemu Townsendarowi; a jeśli tak, to musiała zająć jakąś pomyłkę, gdzieś tu tkwiła jakaś tajemnica, która niebawem powinna się wyjaśnić. Katarzyna zrezygnowała w końcu z decyzji i wyboru; wyobrażając sobie konflikt z ojcem, spuszczała oczy i siedząc nieruchomo, z zapartym tchem, czekała. Serce jej łomotało – dziewczyna przeżywała męki. Kiedy Maurycy całował ją i mówił te wszystkie rzeczy, wtedy też serce jej biło mocno; ale to, teraz, było gorsze, przejmowało trwogą. A jednak dziś, gdy jej młody przyjaciel proponował, żeby coś ustalić, obrać jakąś drogę, uważała to za słuszne i odpowiedziała bardzo prosto, bez wahania:

– Spełnimy naszą powinność i pomówimy z moim ojcem. Zrobię to dziś wieczorem. A ty musisz to zrobić jutro.

– Bardzo poczciewie z twojej strony, że pierwsza z nim porozmawiasz – odparł Maurycy. – Zazwyczaj robi to młody człowiek... szczęśliwy adorator. Ale rób, jak ci się podoba.

Katarzynie zaś podobała się myśl, że dla jego dobra zdobędzie się na tę odwagę, i z satysfakcji nawet się lekko uśmiechnęła.

– Kobiety mają więcej taktu – wyjaśniła. – Powinny to czynić pierwsze. Są bardziej pojednawcze i lepiej potrafią przekonywać.

– Będziesz musiała wezwać na pomoc całą swoją moc przekonywania. Zresztą – dodał – tobie się nie można oprzeć.

– Proszę cię, nie mów tak... i obiecaj mi jedno: że jutro będziesz rozmawiał z moim ojcem bardzo grzecznie i z uszanowaniem.

– W miarę możliwości – obiecał Maurycy. – Niewiele to da, ale spróbuję.

Wolałbym, rzecz jasna, pozyskać ciebie bez trudności niż być zmuszonym staczać walkę.

– Nie mów o walce; nie będziemy przecie walczyć.

– O, musimy się na to przygotować – odparł – zwłaszcza ty, bo ciebie dotknie to najmocniej. Czy wiesz, co ci ojciec powie już na wstępie?

– Nie, Maurycy, powiedz, proszę.

– Powie ci, że jest interesowny.

– Interesowny!

– To duże słowo, ale oznacza coś małego. Oznacza, że dybię na twój majątek.

– Och! – obruszyła się cicho Katarzyna.

Wykrzyknik ten wyrażał taką niechęć i tak był wzruszający, że Maurycy pozwolił sobie na jeszcze jedną małą demonstrację swego uwielbienia.

– Ale powie to niewątpliwie – dorzucił.

– Łatwo się na to przygotować – odparła Katarzyna. – Po prostu powiem, że się myli... że może inni są tacy, ale ty do nich nie należysz.

– Musimy na to położyć duży nacisk, bo i on będzie obstawał przy swej tezie.

Katarzyna patrzyła chwilę na ukochanego, wreszcie rzekła:

– Przekonam go. – I dodała: – Wszelako rada jestem, że będziemy mieć pieniądze.

Maurycy odwrócił się i utkwiał wzrok w rondzie swego kapelusza.

– Nie, to jest nieszczęście – odrzekł w końcu. – Stąd właśnie przyjdą kłopoty.

– Ech, jeśli to nasze największe nieszczęście, nie jesteśmy tacy nieszczęśliwi.

Wielu ludzi nie miałoby nic przeciwko temu. Przekonam go, a potem będziemy bardzo radzi z tych pieniędzy.

Maurycy Townsend słuchał tego krzepiącego wywodu w milczeniu.

– Moją obronę pozostawiam tobie. Bronić się przed takim oskarżeniem jest dla mężczyzny upokarzające.

Teraz milczała chwilę Katarzyna. Spoglądała na kochanka, podczas gdy on patrzył przez okno z miną wręcz zdecydowaną.

– Maurycy – odezwała się zniecierpliwiona – czy jesteś zupełnie pewien, że mnie kochasz?

Odwrócił się i po chwili już stał pochylony nad dziewczyną.

– Czy możesz w to wpaść, moje ukochanie?

– Wiem o tym dopiero od pięciu dni – powiedziała – ale dziś wydaje mi się, że nie potrafiłabym bez tego żyć.

– Nawet nie próbuj. Nigdy nie będzie tej potrzeby. – I zaśmiał się czule, uspokajająco. Po chwili zaś dorzucił: – Ale i ty także musisz mi coś przyrzec. Katarzyna przy ostatnich swoich słowach przymknęła oczy, teraz zaś, nie otwierając powiek, skinęła głową.

– Musisz mi przyrzec – wciągnął – że pozostaniom mi wierna nawet wtedy, jeśli twój ojciec będzie stanowczo mi przeciwny, jeśli zdecydowanie nam zabroni ślubu. Katarzyna otworzyła oczy i popatrzyła na niego przeciągle, nie umiejąc dać innej obietnicy prócz tej, którą wyczytał w jej spojrzeniu.

– Pozostaniesz przy mnie? – pytał. – Wiesz, że jesteś panią siebie – jesteś dorosła, Katarzyno.

– Ach, Maurycy! – wyszeptła, co było jedyną odpowiedzią, choć może nie jedyną, gdyż położyła przy tym dłoń na jego ręce. Przytrzymał ją chwilę i pocałował dziewczynę jeszcze raz. To wszystko, co można powiedzieć o ich dialogu, ale gdyby była przy nim pani Penniman, przyznałaby zapewne, że- lepiej, niż nie toczył się on przy fontannie na Placu Waszyngtona.

ROZDZIAŁ 11

Tego wieczora Katarzyna nadśluchiwała, gdy ojciec wszedł do domu, i usłyszała, jak przechodził do swego gabinetu. Jeszcze z pół godziny siedziała cichutko, choć serce jej łomotało; wreszcie wstała i zapukała do drzwi – ceremoniał, bez którego nigdy nie przekraczała tego progu. Zastała go siedzącego w fotelu przy kominku z cygarem i gazetą.

– Mam ci coś do powiedzenia – zaczęła bardzo delikatnie, siadając na pierwszym z brzegu miejscu.

– Bardzo będę rad posłuchać, moja droga – odparł i czekał; czekał patrząc na nią, podczas gdy ona, milcząc długą chwilę, wpatrywała się w ogień na kominku. Doktor był zaciekawiony; niecierpliwił się, gdyż nie miał wątpliwości, że córka chce z nim pomówić o Townsendzie, pozwolił jej wszakże spokojnie zebrać myśli, postanowił bowiem być łagodny.

– Zamierzam wyjść za mąż i jestem po słowie! – oznajmiła wreszcie, ciągle wpatrując się w kominek.

Doktor był zaskoczony. Nie spodziewał się usłyszeć o fakcie dokonanym, lecz i nie zdradził zdziwienia.

– Słusznie robisz, że mi o tym mówisz – odparł tylko. – A kimże jest ten szczęśliwiec, którego zaszczyciłaś swym wyborem?

– Pan'Maurycy Townsend. – Patrzyła na ojca wymawiając ukochane imię. Ujrzała tylko jego niezmacone szare oczy i uśmiech wyraźny, pewny swego. Badała chwilę te oczy i ten uśmiech, lecz zaraz znów się zapatrzyła w ogień; o ileż ogień był cieplejszy!

– Kiedy to nastąpiło? – spytał doktor.

– Dziś po południu – dwie godziny temu.

– Czy pan Townsend był tutaj?

– Tak, ojczu. W dużym salonie. – Cieszyła się, że nie musiała mu powiedzieć, iż ceremonia ich zaręczyn odbyła się gdzieś na dworze, pod nagimi ailantami.

– Czy traktujesz to poważnie?

– Bardzo poważnie, ojczu. Doktor milczał chwilę.

– Pan Townsend powinien był mi to powiedzieć.

– Zamierza ci powiedzieć jutro.

– Wtedy, kiedy już wszystko od ciebie będę wiedział? Powinien był mi to powiedzieć przedtem. Czy myśli, że mnie to nie obchodzi, bo zostawiłem ci tyle swobody?

– O. nie – zaprzeczyła Katarzyna – wie, że cię to obchodzi. I jesteśmy ci tak bardzo wdzięczni za... za tę swobodę.

Doktor zaśmiał się krótko.

– Mogłabyś zrobić z niej lepszy użytek, Katarzyno.

– Nie mów tak, ojczu, proszę cię! – przekonywała go łagodnie, wlepiając weń swoje pozbawione blasku, dobrotliwe oczy. Przez jakąś chwilę ćmił cygaro, rozważając.

– Pospieszyliscie się – zauważył wreszcie.

– Tak – odparła krótko. – Chyba tak.
Ojciec zerknął na nią kątem oka, odwracając wzrok od paleniska.

– Nie dziw, że się podobasz panu Townsendowi. Jesteś taka prostoduszna i tak dobra.

– Nie wiem dlaczego, ale lubi mnie naprawdę. Jestem tego pewna.

– A czy ty pana Townsenda także bardzo lubisz?

– Lubię go bardzo, oczywiście, inaczej bym nie przystała na małżeństwo.

– Przecież znasz go od niedawna, moja złota.

– Och, jak się kogoś raz polubi... – odpowiedziała z niejakim zapalem Katarzyna

– nie trzeba wiele czasu, żeby polubić go naprawdę.

– Musiałaś go polubić bardzo prędko. Czy to było wtedy, gdy go zobaczyłaś po raz pierwszy... u ciotki na przyjęciu?

– Nie wiem, ojczy. Nie potrafię ci powiedzieć.

– Naturalnie, to twoja prywatna sprawa. Zauważ, że postępowałem zgodnie z tą zasadą. Nie ingerowałem; pozostawiłem ci swobodę. Pamiętałem, że nie jesteś już małą dziewczynką – że osiągnęłaś wiek dojrzały.

– Czuję się tak, jakbym była bardzo stara... i bardzo doświadczona – powiedziała z nikłym uśmiechem Katarzyna.

– Obawiam się, że niezadługo poczujesz się jeszcze starsza i jeszcze bardziej doświadczona. Nie podobają mi się twoje zaręczyny.

– Ach! – wykrzyknęła cicho, podnosząc się z krzeselka.

– Nie, moja droga; przykro mi, że ci sprawiam ból, ale to mi się nie podoba. Powinnaś była zasięgnąć mojej rady, zanim się zdecydowałaś. Za mało od ciebie wymagałem i teraz mam wrażenie, że skorzystałaś z mej pobłażliwości. Stanowczo należało pomówić .ze mną przedtem.

Katarzyna zawahała się.

– Bałam się, że tego nie pochwalisz – wyznała w końcu.

– Otóż to! Miałaś nieczyste sumienie.

– Nie, nie miałam nieczystego sumienia, ojczy! – zaprzeczyła żarliwie. – Nie posądzaj mnie, proszę, o takie okropności.! – Albowiem słowa ojca istotnie przedstawiały się w jej wyobraźni jako coś bardzo okropnego, coś podłego, okrutnego, co kojarzyło się ze złoczyńcami i więźniami.

– To dlatego, że się bałam... bałam... – bąkała.

– Jeśli się bałaś, to znaczy, że postąpiłaś nierozsądnie.

– Bałam się, że pan Townsend ci się nie podoba.

– I miałaś rację. Nie podoba mi się.

– Ojczulku, ty go nie znasz – zapewniała Katarzyna z tak nieśmiałym przekonaniem w głosie, że powinien był się wzruszyć.

– Całkiem słusznie, nie znam go tak blisko. Ale znam go dostatecznie dobrze i mam o nim swoje zdanie. Ty także go nie znasz.

Katarzyna stała przed kominkiem splótłszy przed sobą ręce i doktor, wsparty o wezgielowie fotela, spoglądając na nią poczynił tę uwagę ze spokojem, który mógł ją zirytować. Wątpię wszakże, czy Katarzynę to zirytowało, choć jęła namiętnie protestować:

– Ja go nie znam? Znam go... lepiej, niż znałam kogokolwiek!

– Znasz go tylko z jednej strony – z tej, którą ci chciał • pokazać. Ale nie znasz reszty.

– Reszty? A jaka jest ta reszta?

– Jakakolwiek by była, na pewno jest tego jeszcze bardzo wiele.

– Wiem, co masz na myśli – odparła Katarzyna przypominając sobie przestrożę Maurycyego. – Chcesz powiedzieć, że on jest interesowny.

Doktor utkwiał w niej nieruchomo swoje zimne, spokojne i rozważne oczy.

– Gdybym chciał to powiedzieć, moja droga, przecież bym powiedział! Pragnę wszakże uniknąć jednego zwłaszcza błędu: nie chcę mówić o panu Townsendzie przykrych rzeczy, bo to uczyniłoby go jeszcze bardziej interesującym w twoich oczach.

– Dla mnie nie będą przykre, o ile są prawdziwe – odparła Katarzyna.

_ Jeśli tak, to by znaczyło, że jesteś nad wyraz rozsądną młodą damą.

_ Ale ty, ojczy, i tak masz swoje racje i zechcesz mi je przedłożyć.

Doktor uśmiechnął się nieznacznie.

– Całkiem słusznie. Masz wszelkie prawo o nie pytać. – Przez chwilę wypuszczał

tylko dym z cygara, wreszcie zaczął: – A więc dobrze; nie oskarżając pana Townsenda o to, że kocha jedynie twe pieniądze – pieniądze, których słusznie oczekujesz – powiem, że istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, iż te walory odgrywają w jego kalkulacjach znacznie większą rolę, niżby tego wymagała wyłącznie troska o twe szczęście. Nie można naturalnie wykluczyć, że inteligentny młody człowiek zapałał do ciebie uczuciem bezinteresownym; jesteś uczciwą, miłą dziewczyną i inteligentny młody człowiek łatwo to odkryje. Jednakże najważniejsze, co wiemy o tym kawalerze – który zaiste niemałą odznacza się inteligencją – prowadzi nas do przypuszczenia, że bez względu r.a to, jak sobie ceni twoje zalety osobiste, jeszcze bardziej ceni sobie twój majątek. Najważniejsze, co o nim wiemy, to że wiódł hulaszczkę życie i że roztrwonił na nie swą fortunę. Mnie to wystarczy, moja droga. Pragnę, byś wyszła za młodzieńca o innych anteceden-
cjach – młodzieńca, który dawałby gwarancje pozytywne. Skoro Maurycy Townsend roztrwonił swoją własną fortunę na hulanki, istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że roztrwoni także twoją.

Doktor wypowiadał te uwagi bez pośpiechu, z rozmysłem czyniąc tu i ówdzie pauzy i akcenty, co nie pomogło zbyt biednej Katarzynie doszukać się konkluzji. Usiadła w końcu, z pochyloną głową i oczyma ciągle jeszcze w niego wpatrzonymi. I co szczególne – nie wiem wprost, jak to określić, bo dziewczyna czując, jak okrutnie słowa ojca zostały wymierzone przeciw niej, podziwiała w nim jednocześnie skądny i dostoyny sposób wyrażania swoich myśli. Podejmować sprzeczkę z ojcem było czymś beznadziejnym i przytłaczającym; przecież jednak i ona musiała spróbować jasno swoje zdanie wypowiedzieć. Ojciec był tak spokojny, nie objawił najmniejszego gniewu; przeto i ona musi być spokojna. Ale już sam wysiłek, by zachować spokój, przyprowadził ją do drżenia.

– To nie jest najważniejsza rzecz, jaką o nim wiemy – oświadczyła głosem, który zdradzał owo drżenie. – Są jeszcze inne rzeczy... wiele rzeczy. Jest wybitnie uzdolniony i tak bardzo pragnie czymś się zająć. Jest uprzejmy, wspaniałomyślny, prawdomówny – zapewniała nieszczęsna Katarzyna, która nie posadzała siebie dotąd o takie zasoby elokwencji. – A ten jego majątek... majątek, który roztrwonił... był bardzo skromny.

– Tym bardziej nie powinien był go roztrwonić – zakrzyknął doktor i ze śmiechem wstał z fotela. Widząc, iż Katarzyna także się podniosła i stała teraz dość nieporadna w swojej żarliwości, pragnąc tak wiele, a tak mało wyrażając, przygarnął ją i pocałował. – Nie będziesz uważała mnie za okrutnika? – spytał, wciąż trzymając ją w objęciach.

Pytanie to nie pokrzepiło Katarzyny. Przeciwnie, zda- , wało się zapowiadać rozwiązania, od których robiło jej się słabo. Odpowiedziała jednak nie bez związku:

– Nie, ojczulku; bo gdybyś wiedział, co czuję – zresztą, musisz wiedzieć, ty wiesz wszystko – jakże byłbyś dobry i życzliwy!

– Zdaje mi się też, że wiem, co czujesz – przyznał doktor. – Będę bardzo życzliwy – o tym możesz być przekonana. I jutro zobaczę się z panem Townsendem. A tymczasem bądź tak dobra i na razie nie wspominaj nikomu o swoich zaręczynach.

ROZDZIAŁ 12

Nazajutrz po południu doktor pozostał w domu oczekując wizyty konkurenta Katarzyny, co uważał za wielki zaszczyt okazany panu Townsendowi (może i słusznie, skoro tak bardzo był zapracowany), tym bardziej więc nie dawał młodej parze powodów do narzekań. Maurycy pojawił się z miną wręcz pogodną – najwyraźniej zapomniał o „obrażę”, za którą jeezcie przed dwoma dniami domagał się współczucia Katarzyny – i doktor z miejsca mu oznajmił, iż na tę wizytę jest przygotowany.

– Katarzyna powiedziała mi wczoraj, co zaszło między wami – rzeki. – Pozwoli pan sobie powiedzieć, że byłoby stosowniej z pańskiej strony powiadomić mnie o swych zamiarach, zanim tak daleko się sprawy posunęły.

– Uczyniłbym to – odparł Maurycy – gdyby nie stwarzał pan pozorów, że pozostawia pełną swobodę swojej córce. Katarzyna zdaje się być całkowicie panią siebie.

– I jest nią, biorąc rzecz dosłownie. Jednakowoż ufam, że moralnie nie wyemancypowała się na tyle, by wybrać sobie męża nie zasięgając mojej rady. Pozostawiłem jej swobodę, lecz nie jest mi bynajmniej obojętna. Prawdę mówiąc, wasza mała przygoda dojrzała do rozstrzygnięcia z szybkością, która mnie zaskakuje. Katarzyna przecież dopiero co pana poznała.

– Istotnie, było to niedawno temu – odrzekł z wielką powagą Maurycy. – Przyznają, że od razu doszliśmy do... do porozumienia. Ale to było bardzo

naturalne od chwili, gdyśmy się upewnili co do własnych uczuć i co do siebie nawzajem. Panną Sloper zainteresowałem się od pierwszego wejrzenia.

– Czy przypadkiem nie zainteresował się pan nią, jeszcze zanim pan ją ujrzał? – spytał doktor.

Maurycy popatrzył na niego przez ułamek chwili.

– Oczywiście słyszałem już przedtem, że jest czarująca.

– Czarująca... czy naprawdę tak pan sądzisz?

– Niewątpliwie/Inaczej bym tu nie siedział. Doktor rozważał coś przez chwilę.

– Mój drogi młody człowieku – powiedział wreszcie – musisz pan być bardzo wrażliwy. Ja, będąc jej ojcem, żywię, jak miemam, szczerze, serdeczne uznanie dla jej licznych zalet; wszelako nie waham się wyznać panu, że nigdy nie uważałem jej za dziewczynę czarującą i nigdy się nie spodziewałem, by ktokolwiek inny tak uważał.

5 – Dom na Dlacu Waszvnstna fcr

Maurycy Townsend przyjął to oświadczenie ze śmiechem niezupełnie pozbawionym grzecznej uległości.

– Nie wiem, co bym o niej myślał, gdybym był jej ojcem – rzekł. – Nie potrafię siebie postawić na tym miejscu. Mówię tak, jak ja to widzę.

– I mówisz pan bardzo ładnie – przyznał doktor. – Tylko że to nie wszystko, czego się wymaga. Powiedziałem wczoraj Katarzynie, że nie popieram jej zaręczyn.

– To jedno 'mi powtórzyła i bardzo mi ibyło przykro to usłyszeć. Jestem niezmiernie zawiedziony. – I Maurycy siedział chwilę milcząc i wpatrując się w podłogę.

– Czy pan doprawdy oczekiwał, że wyrażę zachwyt i rzucę ją w pańskie ramiona?

– O nie, podejrzewałem, że się panu nie podobam.

– A skąd to podejrzenie?

– Stąd, że jestem biedny.

– To brzmi przykro, choć jest bliskie prawdy... gdy rzecz dotyczy ściśle pana jako zięcia. Pański brak środków, zawodu, widocznych źródeł dochodu lub perspektyw umieszcza pana w kategorii ludzi, spośród których byłaby nierozważnie z mojej strony wybierać męża dla córki, słabej młodej kobiety ze znaczną fortuną. W każdym innym charakterze ze wszech miar gotów jestem pana lubić. W roli zięcia budzisz pan we mnie nieodpartą niechęć.

Maurycy słuchał z uszanowaniem.

– Nie sądzę, aby panna Sloper była kobietą słabą – zauważył.

– Oczywiście, że musisz pan jej bronić – tyle przynajmniej możesz zrobić. Ale ja znam swoje dziecko od dwudziestu lat, pan zaś znasz ją sześć tygodni. Zreszta, nawet jeśli nie jest słaba, to pan tak czy owak jesteś golcem.

– Ach tak, więc to jest moja słabość! I dlatego pan uważa, że jestem interesowny – że chcę tylko pieniędzy pańskiej córki.

– Tego nie mówię; nie jestem obowiązany tego mówić; a poza tym zwrot taki, użyty bez przymusu, świadczyłby o złym guście. Po prostu mówię tylko, że pan należysz do niewłaściwej kategorii.

.._ Lecz pańska córka nie zaślubia kategorii – nastawa! Townsend uśmiechając się wdzięcznie po swojemu. – Zaślubia człowieka... człowieka, któremu w swej dobroci wyznaje, że go .kocha.

– Człowieka, który tak niewiele ofiaruje w zamian.

– Czy można ofiarować więcej niż najtkliwszy afekt i dozgonne przywiązanie? – zapytał młody człowiek.

– Zależy, jak to pojmujemy. Można ofiarować jeszcze parę innych rzeczy, nie tylko można, ale jest to we zwyczaju. Dozgonne przywiązanie ocenia się po fakcie; tymczasem zaś w takich wypadkach daje się zazwyczaj nieco gwarancji materialnych. A jakie są pańskie gwarancje? Nader urodziwa postać i oblicze, świetne maniery. Gwarancje wyborne tylko na krótką metę, daleko wszakże z tym nie zajdziesz.

– Powinien pan dodać jeszcze jedno – wtrącił Maurycy. – Słowo dżentelmena.

– Słowo dżentelmena, że zawsze będziesz pan kochał Katarzynę? Musisz pan być nie byle jakim dżentelmenem, skoro jesteś o tym przekonany.

– Słowo dżentelmena, że nie jestem interesowny, że mój afekt do panny Sloper jest uczuciem najczystszyim i najbardziej bezinteresownym, jakie się kiedykolwiek zrodziło w ludzkim sercu. Jej majątek obchodzi mnie tyle co popiół na tym palenisku.

– Słucham uważnie... słucham uważnie – odrzekł doktor. – Lecz konotując to w pamięci, wracam jeszcze do naszej kategorii. Otóż należysz pan do niej mimo tej

uroczystej przysięgi, jaką tu złożyłeś. Przeciw panu świadczy tylko przypadek, jeśli tak pan wolisz, ale ja ze swoją trzydziestoletnią praktyką lekarską przekonałem się, że przypadki mogą mieć daleko idące konsekwencje. Maurycy wygładził swój kapelusz – już zresztą nadzwyczaj starannie wygładzony – nie przestając panować nad sobą, co nawet zdaniem doktora przynosiło mu największą chlubę. Wyraźnie jednak czuł się srodze zawiedziony.

– Czy jest coś, co mógłbym uczynić, aby pan we mnie uwierzył?

– Jeśli jest, to nieraż bym panu wskazać, ponieważ ' czy pan tego nie rozumiesz?... nie chcę w pana wierzyć ^ z uśmiechem odparł doktor.

– Poszedłbym kopać w polu.

– To byłoby nierozsądne.

– Podejmę jutro pierwszą pracę, jaka się nawinie.

– Zróbże pan to koniecznie! Ale dla własnego dobra, nie mojego.

– Rozumiem, pan ma mnie za próżniaka! – zawołał Maurycy tonem, który trochę za bardzo kojarzył się z odkryciem. Spozrzegł się jednak zaraz i spasował.

– To, co ja sędzę, nie ma znaczenia, skoro raz już panu powiedziałem, że nie widzę w nim swego przyszłego zięcia. Maurycy wszakże nie dawał za wygraną.

– Pan sądzi, że roztrwonię jej pieniądze? Doktor uśmiechnął się.

– To nie ma znaczenia, jak powiadam; choć przyznają się, że tak sędzę.

– Pewnie dlatego, że roztrwoniłem swoje własne? Otwarcie to wyznaję. Byłem głupim szalałwą. Jeśli wola, mogę panu opowiedzieć o wszystkich wariactwach, jakie popełniłem. Były w tej liczbie i szaleństwa – nigdy tego nie ukrywam. Ale już się wyszumiałem. Zdaje się, że jest takie przysłowie o nawróconym rozpustniku; nie byłem wprawdzie rozpustnikiem, ale zapewniam pana, że się nawróciłem. Lepiej pohulać sobie jakiś czas i mieć to poza sobą. Pańska córka nigdy by nie poślubiła maminsynka; a pozwolę sobie zauważyć, że i pan by w kimś takim nie gustował. Poza tym to wielka różnica, czy w grę wchodzi jej pieniądze, czy też moje; wydałem swoje i zrobiłem to, bo były m^ własnością. Nie zaciągnąłem żadnych długów, a gdy Pie~ niądze się skończyły, skończyłem z tym i ja. Nikomu nie jestem winien ani pensa.

– Pozwoli pan, że zapytam, z czego pan żyjesz teraz... choć przyznaję – dodał doktor – że nie jestem konsekwentny zadając to pytanie.

– Żyję z resztek mej fortuny – wyjaśnił Maurycy.

– Dziękuję – posępnie odparł doktor.

nowanie młodzieńca z pewnością zasługiwało na pochwa a.^ nawet przyznam, że przywiązuję zbytnią wagę majątku panny Sloper – podjął znowu – czyż samo to est zapewnieniem, że zatroszczę się o niego należycie? " ^ Pańska przesadna troska o to byłaby równie niepo-• dana jak brak zainteresowania z pana strony. Katarzyna ucierpiałaby na pańskiej oszczędności nie mniej niż na jego rozrzutności.

_ Myślę, że jest pan bardzo niesprawiedliwy! – Młody Townsend wypowiedział tę opinię w sposób grzeczny, układny, tonem pozbawionym gwałtowności.

_ Pańskie prawo myśleć o mnie, co się panu podoba! Nie pochlebiam sobie, rzecz jasna, że spełniam pańskie życzenia.

– A czy nie obchodzą pana ani trochę życzenia pańskiej córki? Czy cieszy pana myśl, że ją pan unieszczęśliwi?

– Jestem najzupełniej przygotowany na to, że przez jakiś rok będzie mnie uważała za tyrana.

– Przez rok! – wykrzyknął ze śmiechem Maurycy.

– No to przez całe życie. Będzie nieszczęśliwa tak czy owak. Tu już Maurycy wyszedł z siebie.

– O, pan jest niegrzeczny, proszę pana! – wykrzyknął. Pan mnie do tego zmuszasz

– zanadto pan mnie chcesz przekonać.

– Mam bardzo wiele do stracenia.

– Już pan straciłeś, cokolwiek by to było. ~ Czy jest pan tego pewien? Czy jest pan pewien, że Pańska córka ze mnie zrezygnuje?

Chcę powiedzieć, oczywiście, że przegrałeś pan, jeśli o mnie chodzi. Co zaś do tego, czy Katarzyna z pana zre- ygnuje... nie, tego nie jestem pewien. Ponieważ jednak ęć usilnie jej to radził i ponieważ mogę liczyć na jej wiel- zacunek dla mnie i oddanie, a zarazem wysoko rozwi- S e poczucie obowiązku, mniemam, że to najzupełniej 3est możliwe.

aurycy znów zaczął wygładzać swój kapelusz.
 – Ja również mogę liczyć na jej przywiązanie – zauważył wreszcie.
 W tym miejscu doktor po raz pierwszy zaczął zdradzać oznaki irytacji.
 – Czy tak dalece, by mi się przeciwstawić?
 – Niech pan to nazywa, jak pan chce, łaskawy panie. Ja nie zamierzam zrezygnować z pańskiej córki. Doktor pokręcił głową.
 – Nie ma obawy, że pan zmarnujesz sobie życie. Jesteś pan stworzony do tego, by czerpać zeń garściami. Maurycy zaśmiał się.
 – Tym okrutniejszy jest więc pański sprzeciw co do mojego małżeństwa z Katarzyną. Czy zamierza pan zabronić córce mnie widywać?
 – Katarzyna przekroczyła już wiek, w którym otrzymuje się zakazy, i nie jestem ojcem ze staromodnej powieści. Będę wszakże stanowczo ją nakłaniał do zerwania z panem.
 – Nie sądzę, żeby to uczyniła.
 – Może i nie; ale zrobię, co będzie w mojej mocy.
 – Posunęła się już za daleko... – ciągnął Maurycy.
 – Żeby się wycofać? To proszę ją zatrzymać i nie pozwolić jej pójść dalej.
 – ...Chcę powiedzieć, że za daleko, aby się zatrzymać. Doktor przyjrzał mu się chwilę. Młodzieniec stał przy drzwiach z ręką na klamce.
 – Mówisz pan zbyt zuchwale.
 – Nie powiem już nic więcej – odparł Maurycy i skłoniwszy się, opuścił pokój.

ROZDZIAŁ 13

Można sądzić, że doktor zanadto upierał się przy swoim, i to właśnie pani Almond mu wypominała. Wszelako, jak powiadał, miał na ten temat swoje zdanie; uważał, że wyczerpuje ono sprawę, i nie zamierzał go korygować. Życie całe strawił na ocenie ludzi (wymagał tego medyczny zawód) i w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia trafiał należycie.

– A może pan Townsend jest tym dwudziestym – podpowiedziała pani Almond.

– Może i jest, choć wcale mi nie wygląda na ten dwudziesty przypadek. Jednakże dam mu jeszcze szansę i żeby się upewnić, pomówię z jego siostrą. Prawie na pewno powie mi, że słusznie postąpiłem. Ale możliwe też, że mi dowiedzie, iż popełniłem największy błąd swojego życia. Jeśli tak, to poproszę go o przebaczenie. Nie potrzebujesz jej zapraszać, jak uprzejmie mi proponowałaś, gdyż napiszę jej otwarcie, jak się sprawy mają, i zapytam, czy wolno mi będzie ją odwiedzić.

– Obawiam się, że głównie ty będziesz tu szczerzy. Ta nieszczęsna kobiecina opowie się za swoim bratem bez względu na to, czym on jest.

– Bez względu na to, czym jest? Wątpię. Ludzie nie zawsze tak miłują swoich braci.

– G! – zaprotestowała pani Almond – gdy w grę wchodzi trzydzieści tysięcy rocznego dochodu dla rodziny...

– Jeśli opowie się za nim ze względu na pieniądze, jest oszustką. A jeśli jest oszustką, nie ujdzie to mojej uwagi. A jeśli to zauważę, nie będę tracił czasu na rozmowy.

– Ona nie jest oszustką, jest przykładną damą. I nie będzie chciała spłatać figla bratu tylko dlatego, że jest samolubem.

– Jeśli zasługuje na to, żeby z nią rozmawiać, prędzej spłata figla bratu aniżeli Katarzynie. A propos, czy ona widziała Katarzynę? Poznała ją?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Panu Townsendowi nie zależało może zbyttnio na tym, żeby się poznały.

– Jeśli jest przykładną damą. Ale przekonamy się, jak dalece ta kobieta odpowiada twojemu opisowi.

– Ciekawa jestem, co ona o tobie powie – zaśmiała się pani Almond. – A skoro już o tym mowa, jak to przyjmuje Katarzyna?

– Tak jak wszystko – jako rzecz zwyczajną.

– Nie złości się? Nie robi scen?

– Ona nie ma skłonności teatralnych.

– Sądziłam, że beznadziejnie zakochana panna ma za s»s skłonności teatralne.

– A jeszcze bardziej śmieszna wdowa. Lawinia wygłogjj mi przemowę. Uważa, że jestem bardzo arbitralny.

- Ona ma talent do fałszywych wniosków - zauważyła pani Almond. - Niemniej, żal mi bardzo Katarzyny.
- I mnie także. Ale ona się z tym upora.
- Myślisz, że z niego zrezygnuje?
- Liczę na to. Tak bardzo wielbi swego ojca.
- O, to wiemy. Ale tym bardziej jej współczuję, bo stanęła wobec jeszcze cięższego dylematu i dokonać wyboru pomiędzy tobą a kochankiem przekracza wprost jej siły.
- Jeśli nie potrafi wybrać, to tym lepiej.
- Tak, ale on będzie tkwił przy niej i zmuszał ją do wyboru, a Lawinia stanie po jego stronie.
- Rad jestem, że nie po mojej; ona potrafi zepsuć każdą sprawę. Kiedy Lawinia wejdzie do twojej łodzi, łódź zatoni. A jeśli niechaj ma sędę na baczości - przestrzegł doktor - bo nie będę tolerować zdrady w swoim domu.
- Podejrzewam, że będzie się miała na baczości, bo w głębi duszy bardzo się ciebie boi.
- Obie się mnie boją - odparł doktor - choć jestem tak łagodny. Zresztą, tylko na to liczę - na ten zbawienny lęk, jaki w nich budzę.

ROZDZIAŁ 14

Doktor napisał swój otwarty list do pani Montgomery, która też niezwłocznie mu odpowiedziała podając godzinę, o której mógłby zawitać na Drugą Aleję. Mieszkała w schludnym domku z wypalanej cegły, świeżo pomalowanym w taki sposób, że brzegi cegieł odznaczały się od reszty wyrazistą bielą. Domek ów, wraz z innymi podobnymi sobie, ginał teraz w szeregu budowli bardziej okazałych. Zielone żaluzje w oknach miały zamiast listewek niewielkie otwory, przewiercone po kilka w różnych miejscach. Miniaturowy „deiedriniec” zdobiły tajemniczo go zarastające krzewy, okolone niskim, drewnianym parkanikiem, pomalowanym na sam zielony kolor co żaluzje. Cała ta rezydencja 113 1 dała jak powiększony dom dla lalek, który można by wygłaskać w sklepie z zabawkami. Ogarnawszy wzrokiem wszystkie te szczegóły, które wyliczyłem, doktor Sloper Tużażył w duchu, że pani Montgomery jest najwyraźniej gospodarną i szanującą się osobką - znikome proporcje jej mieszkania zdawały się wskazywać na jej drobną postać - osobką, która znajdowała chwalebna satysfakcję w schludności swego otoczenia i która nie mogąc zdobyć się na okazałość postanowiła być przynajmniej nienagannie czysta. Przyjęła doktora w małym saloniku, dokładnie takim, jakim go sobie wyobrażał: był to wychuchany budurek, tu i ówdzie przystrojony bibułkowym listowiem i kłębami szklanej rosy, a temperaturę tej liściastej pory - żeby ciągnąć dalej ową analogię - podtrzymywał żeliwny piecyk, buchający zimnym, niebieskim płomieniem i wydający ostrą woń lakieru. Ściany zdobiły grawiury spowite w różową gazę, zaś dekorację stołów stanowiły tomy najcelniejszych wierszy, oprawne przeważnie w czarne płótno z jaskrawożółtymi, kwietnymi deseniami. Doktor miał wiele czasu, żeby dostrzec wszystkie te szczegóły, bowiem - Dani Montgomery kazała mu na siebie czekać jakieś dziesięć minut, co zważywszy okoliczności uznał za niewybaczalne. W końcu jednak pojawiła się szeleszcząc, wygładzając po-pelinową, sztywną suknię, z lekkim rumieńcem zaafierowania na zaokrąglonym wdzięcznie licu.

Była to drobna, pulchna blondynka o jasnych, żywych oczach, tchnąca zarówno nadzwyczajną starannością, jak i werwą. Zalety te wszakże łączyła wyraźnie z nieudawaną pokorą, co doktor ocenił na pierwszy rzut oka. Dzielna mała osobka o żywej wyobraźni, a przecież pozbawiona wiary we własny talent do przedsięwzięć towarzyskich w odróżnieniu praktycznych - tak oto podsumował szybko w myślach swą ocenę. Spostrzegł też zaraz, że pani Montgomery pochlebiał zaszczyt, za jaki uważała tę wizytę. Dla niej - mieszkanki małego czerwonego domku na Drugiej Alei doktor Sloper należał do osobistości - był jednym z wytwor-nowojorskich dżentelmenów; i wpatrując się w niego podnieconym wzrokiem, splatając odziane w rękawiczki ręce na łonie obleczonym w gładką popeline, wyglądała, jakby przyznawała w duchu, że tak właśnie wyobrażała sobie niepospolitego gościa. Przeprosiła za spóźnienie, lecz doktor nie pozwolił jej dokończyć: .

- Nic nie szkodzi - rzekł - bo siedząc tutaj miałem czas przemyśleć to, co pani chce powiedzieć, i zastanowić się, od czego zacząć.
- O, proszę, niechże pan mówi! - powiedziała cichym głosem pani Montgomery.
- To nie takie łatwe - uśmiechając się tłumaczył doktor. - Musiała pani wyczytać z mego listu, że pragnę jej zadać kilka pytań, i może niezręcznie będzie ci, pani, na nie odpowiedzieć.

– Tak, rozmyślałam nad tym, co powiedzieć. To niezbyt łatwe.

– Ale musisz pani zrozumieć moją sytuację – stan mojego ducha. Brat twój, pani, pragnie poślubić moją córkę, a ja chciałbym się dowiedzieć, co to za młodzieniec. Zdawało mi się, że dobrze byłoby przyjść i spytać panią, co właśnie uczyniłam.

Pani Montgomery z całą powagą odniosła się do sytuacji, co było widoczne w jej skupieniu. Nie spuszczała swych ładnych oczu z twarzy gościa – oczu jaśniejących cudowną wprost skromnością – śledząc z natężeniem każde jego słowo. Wyraz jej twarzy zdradzał, że choć uważa, iż doktor zdobył się na szczytny krok, zaiste, składając jej wizytę, jednakowoż ona boi się doprawdy wypowiadać w kwestiach osobliwych.

– Ogromnie cieszę się, że pana widzę – powiedziała tonem, który zdawał się zarazem sugerować, iż nie ma to nic wspólnego z jego zapytaniem. Doktor skorzystał z tej sugestii.

– Nie przyszedłem, żeby sprawić ci, pani, przyjemność swą wizytą; przyszedłem, żeby usłyszeć od niej rzeczy nieprzyjemne, co zapewne ci się, pani, nie spodoba. Jafcim typem džentelmena jest brat pani?

Jasne spojrzenie pani Montgoanery zmętniało i poczęło 74 wędrować po pokoju. Uśmiechała się blado i przez jakiś czas nie odpowiadała, aż doktor się zniecierpliwił. Odpowiedź jej, gdy wreszcie ją posłyszał, też go nie zadowoliła.

– Trudno mówić o własnym bracie.

– Ale nie wtedy, gdy się go darzy najlepszymi uczuciami i gdy się ma dużo dobrego do powiedzenia.

– Nawet i wtedy, skoro od tego zależy tak wiele – odparła pani Montgomery.

– To nie o pani dobro idzie.

– Ale o dobro... dobro... – i pani Montgomery zawahała się.

– O dobro pani brata. Rozumiem.

– O dobro panny Sloper – rzekła pani Montgomery. Doktorowi spodobała się ta odpowiedź; zdradzała pewną szczerość.

– Otóż to – zgodził się. – Rzecz w tym, że jeśli moja nieszczęsna córka wyjdzie za twego brata, pani, wszystko, całe jej szczęście będzie zależeć od tego, czy jest to człowiek prawy. Katarzyna jest najlepszą istotą na tej ziemi i nie potrafiłaby mu zrobić najmniejszej nawet krzywdy. Co zaś do niego, to jeśli nie przedstawia sobą tego wszystkiego, czego my dla niej pragniemy, może ją uczynić wielce nieszczęśliwą. Dlatego życzyłbym sobie, byś zechciała pani rzucić nieco światła na jego charakter, wiesz, do czego zmierzam. Naturalnie, nie jesteś pani obowiązana tego czynić. Córka moja, której nigdy nie widziałas, nic dla ciebie, pani, nie przedstawia, ja zaś, być może, jestem dla pani tylko wścibskim i zuchwałym starcem. Możesz pani z całą swobodą mi powiedzieć, że ta wizyta jest w bardzo złym guście i że lepiej, abym zajął się swymi sprawami. Nie sądzę jednak, abyś to pani uczyniła, bo chyba powinniśmy panią zainteresować – ja i to biedactwo. Jestem pewien, że gdybyś ją pani zobaczyła, wzbudziłaby twe zainteresowanie; nie dlatego, że jest interesująca w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz byłoby ci jej żal. Jest tak uległa, tak prostoduszna, że łatwo może paść ofiarą! Zły mąż bez najmniejszego trudu mógłby ją unieszczęśliwić, bowiem zabrakłoby jej roztropności i rozważli, by mu się przeciwstawić, a zarazem potrafiłaby cierpieć ponad miarę. Widzę – dodał doktor z tym swoim najbardziej sugestywnym, zawodowym śmiechem – widzę, że jest pani już zainteresowana.

– Interesuję się tym od chwili, gdy mi wyznał, że jest zaręczony – rzekła pani Montgomery.

– Ach, więc mówi o tym? Nazywa to zaręczynami?

– O, powiedział mi, że panu się to nie podoba.

– Czy mówił pani, że to on mi się nie podoba?

– Tak. i to także. Powiedziałam, że nic na to nie poradzę – dorzuciła.

– Rozumie się. Ale możesz mi pani przyznać rację, dać mi atest, że się tak wyrażę. – I doktor wsparł tę uwagę jeszcze jednym uśmiechem zawodowym. Pani Montgomery jednak bynajmniej się nie uśmiechała; najwyraźniej nie widziała w jego prośbie nic śmiesznego.

– Prosisz pan o bardzo wiele – rzekła w końcu.

– Bez wątplenia; muszę też uczciwie panią uświadomić o korzyściach, jakie wyniesie młody człowiek żeniąc się z moją córką. Otóż w spadku po matce przysługuje jej dziesięć tysięcy dolarów dochodu własnego, a jeśli wyjdzie za

człowieka, którego bym pochwalał, blisko dwakroć tyle otrzyma po mej śmierci. Pani Montgomery z wielką powagą słuchała tej oszałamiającej relacji finansowej; nigdy dotąd nie słyszała, by o tysiącach dolarów mówiono tak bezceremonialnie. Zarumieniła się lekko z podniecenia.

– Pańska córka będzie ogromnie bogata – rzekła spokojnie.

– Istotnie; i w tym cała bieda.

– I jeśliby Maurycy ją poślubił, to... to... – zawahała się bojaźliwie.

– To rozporządzałyby całym tym majątkiem? W żadnym razie. Rozporządzałyby tymi dziesięcioma tysiącami rocznie, które ma po matce, ja zaś całą swą fortunę, zgromadzoną w ciężkim trudzie, całą co do grosza, pozostawiłbym swym siostrzeńcom i siostrzenicom.

Posłyszawszy to pani Montgomery spuściła oczy i siedziała jakiś czas wpatrując się w słomianą matę na podłodze.

– Sądziś pani zapewne – rzekł ze śmiechem doktor – iż takim uczynkiem spletałbym twemu bratu paskudnego figła.

– Wcale nie. Zbyt duża to suma, by tak łatwo wejść w jej posiadanie przez ożenek. Nie uważam tego za właściwe.

– Właściwe jest, by człowiek dostał to wszystko, co dostać zdoła. Wszelako w tym wypadku brat twój, pani, nie mógłby tego osiągnąć. Jeśli Katarzyna wyjdzie za mąż bez mojego przyzwolenia, nie dostanie ani grosza z mojej kiesy.

– Czy to pewne? – spytała pani Montgomery podnosząc oczy.

– Jak tu siedzę.

– Nawet gdyby usychała z żalu?

– Nawet gdyby miała uschnąć na wiórek, co nie wydaje się prawdopodobne.

– Czy Maurycy wie o tym?

– Rad bym wielce o tym go powiadomić! – wykrzyknął doktor.

Pani Montgomery zbierała myśli, podczas gdy gość, zdecydowany dać jej nieco czasu do namysłu, zapytywał siebie w duchu, czy dama ta, wyglądająca przecież na osobkę dość rzetelną, nie działa na korzyść swego brata. Wstyd mu było poniekąd, że poddawał ją tym torturom, a jednocześnie wzruszała go łagodność, z jaką to znosiła. „Gdyby była oszustką – mówił sobie – wpadłaby w gniew, chyba że bardzo jest przebiegła. Niemożliwe, żeby aż tak była .przebiegła.”

– Dlaczego Maurycy tak bardzo się panu nie podoba? – • zapytała ocknąwszy się z rozważań.

– Nie mam mu nic do zarzucenia jako znajomemu albo współtowarzyszowi; wydaje się czarującym jegomościem i mniemam, że wyborny z niego byłby kompan. Nie podoba mi się wyłącznie jako zięć. Gdyby jedyną powinnością zięcia było obiadować przy ojcowskim stole, wysoko bym sobie cenił pani brata: ucztuje w sposób niezrównany. Jest to wszakże znikoma część jego obowiązku, bo przede wszystkim winien być opiekunem i obrońcą mego dziecka, które wyjątkowo nie potrafi zatroszczyć się o siebie. W tym też względzie ów młody człowiek mnie nie zadowala. Przyznaję, że powoduję się tylko wrażeniem, wszelako mam zwyczaj polegać na swych wrażeniach. Pani naturalnie masz prawo stanowczo się temu przeciwstawić. Na mnie on robi wrażenie samolubnego i płytkiego. Pani Montgomery otworzyła szerzej oczy i doktorowi zdawało się, że dostrzegł w nich błysk podziwu.

– Ciekawam, jak pan odkryłeś, że on jest samolubny? – zawołała.

– Sądziś pani, że on tak dobrze to ukrywa?

– W rzeczy samej, doskonale. Zresztą – dodała szybko – myślę, że wszyscy jesteśmy trochę samolubni.

– I ja jestem tego zdania, lecz widziałem ludzi, którzy to lepiej ukrywają. Mnie w tym wypadku pomaga nawyk dzielenia ludzi na typy, kategorie. Mogę się też mylić co do pani brata jako indywiduum, wszelako całą swą osobą zdradza przynależność do określonej kategorii.

– Jest bardzo urodziwy – zauważyła pani Montgomery. Doktor przyjrzał jej się chwilę.

– Wy, kobiety, jesteście wszystkie takie same! Tymczasem brat twój, pani, należy do mężczyzn stworzonych po to, aby was rujnować, podczas gdy wy macie być ich ofiarami i służebnicami. Dla tego typu mężczyzn znamienne jest postanowienie – niekiedy straszliwe w swej milczącej sile – by czerpać z życia same przyjemności, a zapewnić je sobie głównie z pomocą waszej płci uległej. Młodzi ludzie tej kategorii nigdy sami nie zdobywają tego, co mogą dla nich zdobyć inni, i tylko zaślepienie, oddanie i przesady innych pozwalają im prosperować. Ci inni w dziewięćdziesięciu • dziewięciu przypadkach na sto to są kobiety.

Młodzieńcy owi żądają zwykle, by ktoś inny cierpiał za nich, a kobiety, jak pani musi być wiadomym, czynią to nader umiejętnie. – Tu doktor umilkł na chwilę, lecz zaraz dodał bez ogródek: – Pani niemało wycierpiałaś dla swojego brata!

Wybuch ten był, jak powiadam, obcesowy, ale też doskonale wykalkulowany. Doktor czuł się nieco zawiedziony, że jego jędrna, pogodna mała gospodyni nie zdradzała bardziej widocznych śladów nieprawości swego brata. Uznał wszakże, iż działo się tak nie dlatego, że Maurycy Town-send ją oszczędzał, tylko dlatego, że potrafiła zaklejać plastrem swoje rany. Dawały one znać o sobie tam, za polakie-rowanym piecem, za przystrojonymi w festony grawiura-mi, pod jej własnym, kształtnym popelinowym gorsecikiem, i gdyby tylko mógł dotknąć owego czułego miejsca, zdradziłaby się jakimś nagłym ruchem. Słowa, które tu zacytowałem, były właśnie próbą niespodziewanego przyłożenia palca do takiego miejsca i w części spełniły swe zadanie. Oczywiście pani Montgomery na chwilę zaszły łzami i mimo woli podrzuciła dumnie głową.

– Nie wiem, jak pan to odkryłeś! – zawołała.

– Przy pomocy filozoficznej sztuczki... tego, co nazywa się indukcją. Wiesz pani, iż zawsze imasz prawo mi zaprzeczyć. Ale proszę mi łaskawie odpowiedzieć na pytanie: Czy nie dajesz pieniędzy swemu bratu? Sądzę, że winnaś mi pani na to odpowiedzieć.

– Tak, daję mu pieniądze – potwierdziła.

– A sama nie masz ich za wiele? Milczała chwilę.

– Jeśli pan chcesz, abym wyznała swe ubóstwo, to nietrudna sprawa. Jestem bardzo uboga.

– Nikt by się tego nie domyślił, sądząc po... pani czarującym domu – zapewnił doktor. – Siostra mówiła mi, że dochód twój, pani, jest umiarkowany, zaś rodzina liczna.

– Mam pięcioro dzieci – objaśniła pani Montgomery – lecz rada jestem, iż mogę je wychować jak należy.

— Oczywiście, z pani umiejętnościami i oddaniem. Wszelako brat twój, pani, porachował je, jak sądę?

– Porachował?

– To znaczy, wie, że ich jest pięcioro. Powiada nawet, że to on je wychowuje.

Pani Montgomery zrobiła wielkie oczy, lecz szybko się otrząsnęła:

– A tak, uczy je... hiszpańskiego. Doktor roześmiał się.

– To musi być nie lada odciążenie! Brat twój, pani, wie także naturalnie, że masz bardzo skąpe środki?

– Mówiłam mu o tym wielokrotnie – wykrzyknęła pani Montgomery znacznie mniej powściągliwie niż dotychczas. Widać znajdowała jakąś pociechę w jasnowidztwie swego gościa.

– Co oznacza, że miałaś pani wiele ku temu okazji i że on żyje twoim kosztem. Wybacz, pani, moje szorstkie słowa, po prostu stwierdzam fakty. Nie pytam, ile wziął od ciebie, to nie moja sprawa; potwierdziłem tylko słuszność swych podejrzeń... to właśnie stwierdzić chciałem. – I doftar wstał, wygładzając miękkim ruchem swój kapelusz. – Brat twój, pani, jest na twoim utrzymaniu – rzekł na odchodnym.

Pani Montgomery poderwała się z krzesła śledząc ruchy doktora niby urzeczona. Po czym, nie całkiem konsekwentnie, zapewniła:

– Nigdy się na niego nie skarżyłam.

– Nie musisz pani mnie zapewniać, wcale go nie zdradziłaś. Radziłbym jednak więcej pieniędzy mu nie dawać.

– Czy nie rozumie pan, że w moim interesie jest, żeby ożenił się bogato? – zapytała. – Jeśli brat, jak pan powiadasz, jest na moim utrzymaniu, mogę tylko życzyć sobie, aby się go pozbyć. Piętrząc przeszkody na jego drodze do małżeństwa, przysporzyłabym kłopotów samej sobie.

– Znacznie bym wolał, abys pani przyszła do mnie ze swymi kłopotami – odparł doktor. – Rozumie się, że jeśli odrzucę go z powrotem w twoje ręce, to pozostaje mi przynajmniej pomóc pani znieść ten ciężar. Przeto, pozwól pani, że ośmielę się tymczasem złożyć na twe ręce pewną kwotę na utrzymanie twego brata.

Pani Montgomery oniemiała; najwidoczniej sądziła, że doktor zażartował. Nie żartował jednak i kobieta spostrzegłszy to, doznała przykrych, sprzecznych uczuć.

– Sądzę, że powinnam bardzo się obrazić – wybałała.

– Dlatego że proponuję ci, pani, pieniądze? To jest przesad – przekonywał

doktor. – Pozwoli pani, że przyjdę tu jeszcze i że o tym pomówimy. Przypuszczam, że wśród pani dzieci są

– Mam dwie córeczki – potwierdziła pani Montgomery.

– Otóż właśnie, gdy dorosną i zaczną się rozglądać za mężami, przekonasz się pani, jak bardzo ci będzie zależało na moralności owych mężów. Zrozumiesz wtedy moje dzisiejsze odwiedziny.

– Ależ pan chyba nie dopuszcza myśli, że Maurycy jest człowiekiem niemoralnym! Doktor spoglądał na nią chwilę, splótłszy ramiona.

– Chciałbym bardzo otrzymać od pani pewną moralną satysfakcję. Chciałbym usłyszeć z pani ust, że to człowiek odrażająco samolubny.

Słowa te doktor wypowiedział ze złowieszczą dykcją i zmaczonej jaźni biednej pani Montgomery ukazał się niejako materialny wizerunek, w który wpatrywała się przez chwilę; wreszcie odwróciła oczy.

– Pan mnie przyprawiasz o udrękę! – zawołała. – Przecież to mój brat i jego zdolności, jego zdolności... – tu głos jej się załamał i nim doktor się spostrzegł, wybuchnęła płaczem.

– Zdolności ma nadzwyczajne – przyznał doktor. – Musimy znaleźć dla nich odpowiednie ujście. – Co rzekłszy, z całym szacunkiem wyraził swe ubolewanie, iż tak ją skonfundował. – Wszystko dla dobra mojej nieszczęsnej Katarzyny – tłumaczył. – Musisz ją pani poznać, a sama się przekonasz.

Pani Montgomery otarła łzy i zapłoniła się na ich wspomnienie.

– Chciałabym poznać pańską córkę – odpowiedziała i niespodziewanie dorzuciła: – Niech pan jej nie pozwoli go poślubić!

Doktor Sloper wyszedł mając ciągle jeszcze w uszach delikatny szmer słów: „Niech pan jej nie pozwoli go poślubić!” Dały mu one 2wą moralną satysfakcję, o której właśnie mówił, a wartość ich była tym większa, że biedna mała pani Montgomery zadała nimi wyraźny cios swej rodowej dumie.

– Dom na placu Waszyngtona

ROZDZIAŁ 15

Doktor nie mógł się nadziwić postawie Katarzyny, kto w tym kryzysie uczuciowym wydawała mu się wprost ni naturalnie bierna. Po scenie w bibliotece w przeddzień igg rozmowy z Maurycym dziewczyna nie powróciła więcej do tej sprawy i minął tydzień, a w jej zachowaniu nie zaszła żadna zmiana. Nie było w nim nic, co by wzbudzało litość i doktor czuł się nawet po trosze zawiedziony, że córka nie dała mu sposobności do okazania większej tolerancji, którą by mógł jej wynagrodzić poprzednią swą surowość. Prze-myśliwał trochę nad tym, czyby nie zaproponować córce, że zabierze ją do Europy, jednak postanowił to zrobić tylko wtedy, gdy wyczyta w jej zachowaniu niemy wyrzut. Wyobrażał sobie bowiem, że Katarzyna przejawia talent do niemych wyrzutów, i zdumiewał się, że nie został wystawiony na ten milczący ostrzał. Tymczasem dziewczyna nie mówiła nic – dosłownie czy w przenośni – a że nigdy nie była zbyt rozmowna, jej obecna powściągliwość nie miała szczególnej wymowy. Dąsać się też biedactwo nie umiała – dla takich manier nie dostawało jej talentów histrionicz-nych – po prostu tylko bardzo była cierpliwa. Rozważała naturalnie swoją sytuację, lecz czyniła to bez popłochu, beznamietnie, szukając możliwie najlepszego rozwiązania. „Postąpi tak, jak ją prosiłem” – orzekł doktor, dopowiadając sobie jeszcze, że jego córka nie jest kobietą nadto przedsiębiorczą. Nie wiem, czy gwoli większej uciechy miał nadzieję na nieco większy opór, stwierdził wszakże, nie po raz pierwszy zresztą, że ojcostwo, acz narażone na momenty trwogi, nie jest w gruncie rzeczy pasjonującym powołaniem. Katarzyna tymczasem zrobiła odkrycie zgoła innej treści, olśniła ją bowiem myśl, jak bardzo pasjonujące może być usiłowanie dochowania posłuszeństwa ojcu. Doznawała teraz zupełnie nowych uczuć, które można by określić jako sta wyczekującego zawieszenia własnych działań. Obserwowała siebie jak inną osobę i ciekawa była, co uczyni. Było tak, jakby ta inna osoba, ona i nie ona, pojawiła się naS.-idowni wzbudzając w niej naturalną ciekawość, jak 113 będą wyglądały jej przedsięwzięcia na gruncie dotąd Irzez nią nie zbadanym.

– Cieszę się, że mam taką posłuszną córkę – rzekł po upływie paru dni doktor całując Katarzynę.

– 1 Staram się być posłuszną – powiedziała odwracając twarz, bo jej sumienie

wcale nie było takie czyste.

_ jeśli masz mi coś do powiedzenia, możesz to zrobić bez wahania. Nie żądam, żebyś milczała jak zaklęta. Nie zależy mi na tym, żeby pan Townsend był ustawicznym tematem konwersacji, ilekroć jednak będziesz miała coś do powiedzenia w tej materii, bardzo chętnie cię wysłucham.

– Dziękuję – odparła Katarzyna. – W tej chwili nie mam nic takiego.

Nie zapytał jej wcale, czy widziała się ponownie z Maurycym, był bowiem przekonany, że powiedziała mu o tym. Zresztą, rzeczywiście się z nim nie widziała, napisała tylko do niego długi list. List ów był długi w jej mniemaniu, a trzeba dodać, że i Maurycemu tak się wydawało, składał się bowiem z pięciu stron wypełnionych nadzwyczaj starannym, ładnym pismem. Katarzyna miała piękny charakter pisma i trochę się nawet tym chlubiła. Uwielbiała przepisywać i posiadała całe tomy wypisanych fragmentów rozmaitych dzieł, świadczące o jej uzdolnieniach; tomy te pokazała któregoś dnia Maurycemu w przypływie ołogłego przeświadczenia, że przedstawia sobą coś w oczach kochanka. Pisząc do niego teraz, przekazała mu wiadomość, że ojciec życzy sobie, aby więcej go nie widywała, błaga Przeto, by jej nie odwiedzał, póki ona sama „czegoś nie zadecyduje”. Maurycy odpowiedział żarliwą epistołą, w której zapytywał, co, na miłość boską, Katarzyna chce zadecydować. Czyż nie zdecydowała się już przed dwoma tygodniami i czy możliwe, by dopuszczała myśl o odrzuceniu swego wybranka? Czyżby zamierzała zerwać z nim już na początku ich ciernistej drogi, po wszystkich zapewnieniach o wierności, jakie mu składała i jakie od niego odebrała? Tu apiła jego własna relacja z rozmowy odbytej z ojcem rzyny – relacja nie w każdym szczególe zgodna z tą,

którą na tych stronkach przedłożono. „Był okropnie napastliwy – pisał Maurycy – lecz znasz moje opanowanie. Przywołuję je na pomoc, gdy uświadamiam sobie, że w mojej mocy jest oswobodzić Cię z okrutnej Twej niewoli.” Katarzyna posłała mu w odpowiedzi tylko parę słów zawartych w trzech liniijkach: „Jestem w ciężkich opałach. Nie powątpiewaj o moim przywiązaniu, lecz pozwól mi poczekać trochę i rozważyć.” Myśl, że może będzie musiała stoczyć walkę z ojcem, przeciwstawić się jego woli, ciążyła jej na sercu nie dopuszczając do działania, tak jak wielki ciężar fizyczny nas unieruchamia. Katarzynie nie przyszło nawet na myśl, żeby odrzucić kochanka; od początku jednak usiłowała przekonać samą siebie, że znajdą jakieś pokojowe wyjście z trudnej sytuacji. Chwiejne to było przekonanie, nie podparte żadnym rzeczowym argumentem wskazującym, że ojciec może zmienić pogląd na tę sprawę. Wyobrażała sobie tylko, że jeśli będzie bardzo mu posłuszna, sytuacja w jakiś tajemniczy sposób się poprawi. Chcąc być posłuszną, musiała być cierpliwa i na pozór mu ulegać, a zarazem nie sądzić go zbyt pochopnie i nie popełnić żadnego jawnego wykroczenia. Może zresztą ojciec ma swoje racje, wyraża taki pogląd – rozważała. – Nie znaczy to, że słusznie ocenia motywy, jakie powodują Maurycym w staraniach o jej rękę, ale może to rzecz naturalna i właściwa, by sumienni rodzice byli podejrzliwi, a nawet niesprawiedliwi. Być może, są na świecie tacy źli ludzie, do jakich ojciec zalicza jej ukochanego, i gdyby cokolwiek wskazywało na to, że Maurycy jest jednym z owych niegodziwców, ojciec miałby wszelkie prawo wziąć to pod uwagę. Nie może on oczywiście wiedzieć tego, co wie ona – że oczy młodzieńca adradzają najczystsza miłość i mówią samą prawdę; może jednak w swoim czasie niebios nakierują ojca na właściwą drogę. Katarzyna wiele oczekiwała od niebios i, jak mówią Francuzi, niebu powierzała rozstrzygnięcie swego dylematu. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogła w czymkolwiek oświecić swego ojca; posiadał on bowiem jakąś wyższość, nawet gdy był niesprawiedliwy, a błędy jego nie podlegały krytyce. Jednakże ona, Katarzyna, może przynajmniej być

posłuszna, a jeśli tylko będzie dość posłuszna, moce niebieskie znajdą jakiś sposób, by wszystko to uładzić – srogie omyłki ojca złagodzi słodycz jej ufności i ściśle dopełnienie obowiązków córki, i radość z miłości jej wybranka.

Biedna Katarzyna chętnie by widziała w ciotce Penni-man światłą pośredniczkę, lecz dama ta w istocie nie była odpowiednio przygotowana do tej roli. Znajdowała ona bowiem zbyt wiele radosnych podniet w łzawych mrokach tego dramaciku, by w owej chwili zależało jej szczególnie na ich rozproszeniu. Życzyła sobie natężenia akcji, toteż rady, jakich udzielała bratanicy, zmierzały w jej mniemaniu właśnie w tym kierunku. Porady te były dość niekonsekwentne, przeczyły sobie z dnia na dzień. Dyktowało je wszakże żarliwe pragnienie, aby Katarzyna dokonała czegoś niezwykłego. „Musisz działać, moja droga; w twojej sytuacji najważniejsze jest działanie” – przekonywała bratanicę, która jej zdaniem zgoła

nie dorastała do swych obecnych możliwości. W rzeczy samej bowiem pani Penniman żywiła nadzieję, że dziewczyna weźmie potajemny ślub, w którym ona, jej ciotka, będzie występowała jako drużna albo przy-zwoitka. Oczywiście wyobraźni -widziała, jak ceremonia ta odbywa się w kapliczce gdzieś w podziemiu – podziemne kaplice w Nowym Jorku należały do rzadkości, lecz takie drobiazgi nie studziły wyobraźni pani Penniman – i jak ową parę winowajców – albowiem nieszczęsną Katarzynę i jej konkurenta upodobała sobie nazywać w duchu parą winowajców – jak zatem wywożą ich w pośpiechu rączym wehikułem do jakiegoś nędznego mieszkanka na przedmieściu, gdzie później (mocno zawoalowana) odwiedzałyby ich potajemnie; tam, w romantycznym ubóstwie przeżyliby pewien okres czasu, by wreszcie – mając w niej swoją opatrność ziemską, orędowniczkę, adwokatkę, a zarazem istotę, która łączy ich z tym światem – pojednaliby się z doktorem w artystycznym toble.au, w którym ona grałaby niejako główną rolę. Na razie jeszcze wahała się, czy doradzić obranie tej drogi Katarzynie, próbowała jednak nakreślić tę ponętą perspektywę przed oczyma kawalera. Z Maurycym bowiem komunikowała się codziennie, informując go

listownie o tym, Jak się sprawy mają na Placu Waszyngtona. Nie widziała go od czasu, gdy został wypędzony z domu. Jak to określiła, lecz dopisywała w końcu listu, że marzy o spotkaniu. Spotkanie takie mogłoby się odbyć tylko na gruncie neutralnym, toteż wybór miejsca bardzo zaprzętał jej uwagę. Najodpowiedniejszy byłby cmentarz w Green-wood, lecz zważywszy odległość, poniechała tego; nie mogła przecież – jak stwierdziła – oddalać się od domu na tak długo, gdyż obudziłoby to podejrzenia. Park Battery też wchodził w rachubę, ale tam znów było zimno, wietrznie, nie mówiąc o tym, że człowiek narażał się na zaczepki złańionych wrażeń irlandzkich imigrantów, którzy w tym miejscu stawiają pierwsze kroki w Nowym Świecie. Wreszcie wybrała tawernę ostrygową prowadzoną przez Murzyna – firmę, o której nie wiedziała nic prócz tego, że kiedyś, na Siódmej Alei, zauważyła ją przechodząc. Umówiła się tam z Maurycym i o zmierzchu wyruszyła na spotkanie, szczelnie owinięta w nieprzejrzysty woal. Kazał jej na siebie czekać pół godziny – musiał przemierzyć prawie całe miasto – lecz zdawała się być z tego rada, bo czekanie potęgowało wagę tego wydarzenia. Zamówiła herbatę, która się okazała wyjątkowo obrzydliwa, co przekonało ową damę, że cierpi dla sprawy romantycznej. Wreszcie nadszedł Maurycy i zasiedli w najciemniejszym kącie z tyłu baru, gdzie spędzili pół godziny, a niewiele przesadzę, jeśli powiem, że dla pani Penniman było to najszcześniejsze pół godziny, jakie przeżyła w ciągu całych lat. Sytuacja była wprost podniecająca, toteż nawet gdy towarzysz pani Penniman zamówił potrawkę z ostryg i na jej oczach przystąpił do ich spożywania, nie wydało jej się to żadnym zgrzytem. Prawdę mówiąc Maurycy potrzebował pełnej satysfakcji, jakiej mogły dostarczyć mu ostrzygi, bo trzeba tu czytelnikowi zdradzić tajemnicę, iż młodzian ten uważał panią Penniman za piątą kołko u swojego wozu. Był on poirytowany, co jest rzeczą naturalną dla obdarzonego talentami dżentelmena, który spotkał się z odprawą próbując łaskawie obdarzyć wyróżnieniem pannę o pośledniejszych właściwościach, zaś wymowne współczucie tej cokolwiek wyschniętej matrony najwyraźniej nie przynosiło mu konkretnej ulgi. Uważał ją za rnataczkę, a matakcy rozróżniał bez ochyby. Wysłuchiwał zrazu owej damy, zaskarbiając sobie jej sympatię, aby zyskać punkt oparcia na Placu Waszyngtona, teraz wszakże potrzebował całej swej samokontroli, żeby okazać jej uprzejmość. Najchętniej by jej wyjawiał, że jest niesamowitą starą babą i że z satysfakcją wsadziłby ją do omnibusu, by zawróciła do domu; wiemy jednak, że Maurycy posiadał dar samokontroli, a ponadto miał zwyczaj zaskarbiania sobie ludzkich względów; toteż, choć poczynania pani Penniman jeszcze bardziej drażniły jego rozstrojone nerwy, słuchał jej z posępnym ugrzeczniem, w czym dopatrywała się wielu cnót godnych podziwu.

ROZDZIAŁ 16

Rozmowa ich, rzecz fasma, od razu dotyczyła Katarzyny.

– Gzy przysłała mi jakąś wiadomość albo... albo coś takiego? – spytał Maurycy. Sądził najwyraźniej, że Katarzyna mogła była mu posłać jakiś bibelot albo kosmyk włosów.

Pani Penniman nieco się zmieszała, bowiem nie powiadomiła bratanicy o zamierzonej wyprawie.

– Ściśle biorąc, nie jest to wiadomość – wyjaśniła. – Nie prosiłam jej o to w obawie, że... że się zbyt podnieci.

– Obawiam się, że ona niełatwo się podnieca. – I Maurycy uśmiechnął się cokolwiek gorzko.

– Ważniejsze, że jest szczerą i wytrwałą.

– Zatem uważasz pani, że będzie się trzymała?

– Aż do grobu!

– Och, mam nadzieję, że sprawy nie zajdą tak daleko – zauważył.

– Musimy się przygotować na najgorsze i o tym właśnie chcę z panem pomówić.

– A co według ciebie, pani, jest najgorsze?

– Myślę, że... twarda, rozumująca ściśle natura mego brata.

– O, do diabła!

– Głuchy jest na wszelki głos litości – dodała pani Penniman jakby dla wyjaśnienia.

– Chcesz pani powiedzieć, że on nie ustąpi?

– Żaden argument jego nie przekona. Obserwuję go od dawna. Tylko fakt dokonany może go przekonać.

– Fakt dokonany?

– Ustąpi dopiero potem – ciągnęła pani Penniman bardzo znacząco. – Liczy się tylko z faktami, przeto należy go stawiać wobec faktów...

– Przecież – podjął Maurycy – to fakt, że chcę się ożenić z jego córką. Parę dni temu postawiłem go przed tym faktem, lecz wcale nie dał się przekonać. Pani Penniman milczała chwilę, a jej uśmiech – ocieniony rozłożystym czepkiem, na którego brzegach woal udra-powany został jak kurtyna – uśmiech ten zwrócił się na twarz Maurycego mieniając się jeszcze tkliwszym blaskiem.

– Ożeń się pan najprzód z Katarzyną, a potem z nim pogadaj! – wykrzyknęła.'

– Tak pani radzisz? – zdziwił się młody człowiek, ponuro marszcząc brwi. >

Troszkę się przestraszyła, lecz mimo to ciągnęła dalej nader śmiało:

– Widzę tylko takie rozwiązanie. Związek zawarty potajemnie... ślub sekretny. – Zdanie to przypadło jej do gustu, więc je z lubością powtarzała.

– Chcesz pani powiedzieć, że powinienem uprowadzić Katarzynę? Zbiec z nią... zdaje się, że tak to nazywają?

– To nie jest zbrodnia, jeśli ktoś został do tego przymuszony – zapewniła. – Mąż mój, jak panu wspominałam, był duchownym niepospolitych zalet, jednym z najbardziej elokwentnych mężczyzn swoich czasów. Udzielił on kiedyś ślubu młodej parze, która uciekła z domu ojca młodej damy, tak bardzo go obeszły dzieje tamtych dwojga. Nie wahał się ani chwili i wszystko pięknie się potem ułożyło. Ojciec pogodził się z nimi i do młodzieńca nabrał wielkiego przekonania. Pan Penniman dał im ślub wieczorem, koło siódmej. W kościele panował taki mrok, że ledwie można było coś zobaczyć, i mąż ogromnie był wzruszony – taką współczująca miał naturę. Nie wierzę, by mógł to zrobić po raz drugi.

– Niestety, nie mamy z Katarzyną pana Pennirnana, który by nam udzielił ślubu – westchnął Maurycy.

– Nie, ale macie mnie! – podchwyciła pani Penniman z naciskiem. – Nie mogę odprawić takiej ceremonii, ale mogę pomóc. Mogę czuwać!

„Zidiociąła baba” – pomyślał Maurycy, czuł się jednak w obowiązku powiedzieć coś innego, choć w rzeczy samej nie wypadło to uprzejmie: – Czy wzywałaś mnie pani na schadzki po to, by mi to powiedzieć?

Pani Penniman zdawała sobie sprawę z dość mglistego charakteru swego posłannictwa, jak i z tego, że nie jest w stanie dość rzeczowo wynagrodzić młodzieńcowi jego długiej drogi.

— Sądziłam, że może zechcesz pan zobaczyć kogoś tak bliskiego Katarzynie – rzekła z godnością. – A ponadto – dodała – że byłbyś mi pan wdzięczny za okazje przesłania jej czegokolwiek.

Maurycy z melancholijnym uśmiechem wyciągnął puste ręce.

– Jestem ci, pani, wielce zobowiązany, lecz nie mam nic do przesłania.

– Ani jednego słowa? – zapytała jego towarzysząca, a znaczący uśmiech z powrotem zawitał na jej twarzy. Maurycy znów się nachmurzył.

– Powiedz jej, pani, żeby się nie poddawała – powiedział dosyć szorstko.

– To dobre słowa... szlachetne słowa. Sprawiają jej radość na długo. Ona jest naprawdę wzruszająca, bardzo dzielna – wywodziła pani Penniman poprawiając na sobie mantylę i zbierając się do odejścia. Podczas tych czynności zaświtała jej w głowie myśl, którą mogła bez wahania wypowiedzieć na usprawiedliwienie swego kroku: – Jeśli ożenisz się pan z Katarzyną, ryzykując nawet wszystko,

dowiedziesz memu bratu, że posiadasz w sobie to, w co on zdaje się powątpiewać.

– A w co on powątpiewa?

– Czyżbyś pan nie wiedział? – odrzuciła pani Pennimans niemal przekornie.

– Wcale nie pragnę wiedzieć – odparł wyniośle Maurycy;

cy-

– Rozumie się, że to pana złości.

– Napawa mnie wzgardą – oświadczył Maurycy.

– Ach, zatem wiesz pan, o co chodzi? – zapytała pani Penniman grożąc mu paluszkami. – Brat mój stwarza pozory, że pan lubisz... lubisz pieniądze.

Maurycy wahał się przez moment, po czym rzekł jakby rozmyślnie:

– Bo ja lubię pieniądze!

– Och, ale nie tak... nie tak, jak to on pojmuję: Nie przedkładaś pan ich nad Katarzynę? Oparł łokcie na stole i ukrył głowę w dłoniach.

– Pani mnie torturujesz! – wymamrotał. Bo w istocie taki nieomal był rezultat zbytnej dociekliwości tej nieszczęsnej damy.

Uparła się jednak, by wypowiedzieć swoją myśl do końca:

– Jeżeli ożenisz się pan z nią wbrew jego woli, stania się dla niego oczywiste, że niczego się od niego nie spodziewasz i że gotów jesteś obejść się bez niego; przekona wtedy, że nie jesteś pan interesowny.

Maurycy uniósł głowę rozważając ten argument.

– A co przez to zyskam? – spytał.

– Jak to? Zrozumie, że był w błędzie sądząc, iż pragniesz mieć jego pieniądze.

– Bo widząc, że ich pragnę, poszedłby z nimi do samego diabła, przekazałby je na jakiś szpital. Czy to pani chcesz powiedzieć? – spytał Maurycy.

– Nie, nie o to mi chodziło... aczkolwiek – dodała szybko – ko pani Penniman – byłby to gest wielkopański. Sądzę, że wyrządziwszy panu te niesprawiedliwości, uzna w końcu – co za swój obowiązek jakoś to zrekompensować.

Maurycy zaprzeczył ruchem głowy, choć trzeba stwierdzić, że myśl ta nieco go poruszyła.

– Sądziś pani, że na tyle jest sentymentalny?

– Nie jest sentymentalny – orzekła pani Penniman – ale, jeśli mam być całkiem sprawiedliwa, uważam, że na swój ciasny sposób ma pewne poczucie obowiązku.

Maurycyego nieco poruszyła ta idea; zastanowił się mianowicie, co też – choć w dalekiej przyszłości – mógłby zawdzięczać praktycznemu działaniu zasad, którym hołduje doktor Sloper, zagadkę tę wszakże rozwiązał z miejsca w poczuciu jej śmieszności.

– Brat twój, pani, nie ma wobec mnie żadnych obowiązków – rzekł jej w odpowiedzi

– i ja nie mam ich wobec niego.

– O, ale ma je wobec Katarzyny.

– Tak, tylko że na tej zasadzie Katarzyna ma również obowiązki wobec niego.

Pani Penniman wstała wzdychając żałośnie, jakby uważała go za człowieka pozbawionego wyobraźni.

– Katarzyna zawsze je wiernie wypełniała. A czy nie sądziś pa», że ma teraz obowiązki wobec ciebie? – Pani Penniman zawsze, nawet w rozmowie, podkreślała zaimki osobowe.

– W moich ustach brzmiałoby to może zbyt surowo – odparł Maurycy i dorzucił: – Jakże sobie cenię jej uczucie.

– Powtórzę jej to. A teraz proszę pamiętać, że jestem tam, gdybyś mnie pan potrzebował – i pani Penniman, nie wiedząc, co jeszcze mu powiedzieć, zrobiła nieokreślony ruch głową w stronę Placu Waszyngtona.

Maurycy wpatrywał się jakiś czas w zapiaszczoną podłogę kafeterii. Zdawało się, że ma ochotę zatrzymać ją jeszcze chwilę. Wreszcie zniechęcony podniósł głowę i zapytał:

– Czy sądziś pani, że jeśli ona mnie poślubi, to on ją wydziedziczy?

Pani Penniman spojrzała nieco zdziwiona, ale uśmiechnęła się.

– Przecież tłumaczyłam panu, co ja przewiduję: że w rezultacie byłaby to najlepsza rzecz, jaką można zrobić.

– Chcesz pani powiedzieć, że Katarzyna, bez względu na to, co uczyni, ostatecznie i tak otrzyma te pieniądze?

– To nie zależy od niej, lecz od pana. Odważ się pan pokazać tak

beźinteresownym, jakim pan w istocie jesteś – podsunęła zmyślnie pani Penniman.

Maurycy znów spuścił wzrok na zapiaszczoną podłogę medytując, gdy tymczasem ona rozwijała dalej swoją myśl: – Pan Penniman i ja nic nie posiadaliśmy, a byliśmy bardzo szczęśliwi. Poza tym Katarzyna ma pieniądze matki, a w czasie gdy bratowa

wychodziła za mąż, stanowiły one wcale ładną sumkę.

– Och, nie mów pani o tym! – obruszył się Maurycy; i w rzeczy samej było to zbyt ciche, jako że rozważył już ten fakt w każdym szczególe.

– Augustyn poślubił majątną pannę, dlaczegóż więc pan miałbyś tego nie uczynić?

– Tak, ale brat twój, pani, był lekarzem – argumentował młody człowiek.

– Przecież nie wszyscy młodzi ludzie mogą być lekarzami.

– Zawód ten uważałbym za wyjątkowo obrzydliwy – stwierdził Maurycy z wyrazem intelektualnej odrębności; zaraz jednak wrócił do sprawy dość niekonsekwentnie:

– Sądzisz pani, że sporządzono już testament na korzyść Katarzyny?

– Tak przypuszczam... nawet lekarze umierają; może też i o mnie trochę pamiętano

– dodała szczerze.

– I pani mniemasz, że na pewno by go zmienił... w części, która się tyczy Katarzyny?

– Tak, a potem przepisałby go z powrotem.

– O, ale nie można na to liczyć – rozważał głośno Maurycy.

– A czy pan chcesz .na to liczyć? – odparowała pani Penniman. Maurycy zaczerwienił się nieznacznie.

– Boję się, rzecz jasna, żeby nie przyczynić się do krzywdy Katarzyny.

– Och, nie trzeba się obawiać. Nie obawiaj się pan o nic, a wszystko pójdzie jak z płatka.

Powiedziawszy to pani Penniman zapłaciła za herbatę, Maurycy zapłacił za swoją potrawkę z ostryg • i wyszli oboje w skąpo oświetlone pustkowie Siódmej Alei.

Panował już zupełny mrok, a w chodniku, który wypełniał szerokie odstępy między latarniami, znacznie przeważały rysy i szczeliny. Omnibus przyozdobiony dziwnymi obrazkami przejechał podskakując na wyszczerbionym bruku.

– Jak pani wrócisz do domu? – spytał Maurycy odprowadzając ów wehikuł pożądanym wzrokiem. Pani Penniman ujęła go pod ramię.

– Myślę, że tak będzie przyjemniej – rzekła po chwili wahania starając się, by odczuł, jak wielką wagę ma jego oparcie.

Pomaszerowali więc okrężną drogą, zachodnią stroną miasta, poprzez ludne ulice z ich krzątaniną przed nadejściem nocy, aż po zacisze Placu Waszyngtona.

Zatrzymali się chwilę u stóp białych marmurowych schodów, ponad którymi nieskazitelnie białe drzwi, ozdobione lśniąca srebrną tabliczką, zamajaczyły przed młodzieńcem niczym zamknięte wrota raju. Zaraz też jego smętny wzrok spoczął na oświetlonym oknie w górnej części domu.

– To mój pokój. Mój miły budurek! – zauważyła pani Penniman.

Maurycy ocknął się.

– W takim razie nie muszę obchodzić placu, żeby nań popatrzeć.

– Jak pan wolisz. Ale pokój Katarzyny mieści się od tyłu. Dwa wspaniałe okna tam, na drugim piętrze. Myślę, że zobaczyłbyś je pan z tamtej ulicy.

– Nie chcę ich oglądać, pani. – I Maurycy odwrócił się od domu.

– W każdym razie powiem jej, żeś pan był tutaj – rzekła pani Penniman wskazując miejsce, gdzie stali – i powtórzę jej, co pan powiedział: że ma nie ustępować.

– O tak, naturalnie. Zresztą, piszę jej to wszystko.

– Te słowa zdają się więcej znaczyć, gdy się je wypowiada. I pamiętaj pan, jeśli mnie będziesz potrzebował, jestem tam – co mówiąc pani Penniman zerknęła na trzecie piętro.

Z tym się rozstali i pozostawiony sobie Maurycy stał jeszcze chwile przyglądając się domowi. W końcu odwrócił się i z marsową miną obszedł plac .po przeciwnej stronie, tuż przy drewnianym ogrodzeniu. Wrócił potem i przystanął przed frontem doktorowej rezydencji. Powiódł po niej oczyma nie omijając nawet czerwono oświetlonych okien apartamentu pani Penniman. Uznał, że to diablo wygodny dom.

ROZDZIAŁ 17

Tego wieczora pani Penniman – siedząc z Katarzyną w salonie z tyłu domu – powiedziała bratanicy, że odbyła rozmowę z Maurycym. Posłyszawszy to dziewczyna drgnęła, jakby ja coś zabolalo. W pierwszej chwili rozgniewała się – chyba po raz pierwszy w życiu Katarzyna się gniewała. Jej zdaniem, ciotka wścibiała nos w nie swoje sprawy i w dziewczynie zrodził się jakiś niejasny lęk. że mogłaby coś zepsuć.

– Nie pojmuję, ciociu, dlaczego musiałaś się z nim spot-tkać. Nie uważam tego za właściwe – powiedziała.

– Tak mi go było żal... zdawało mi się, że ktoś powinien się z nim widzieć.

– Jeżeli, to tylko ja – odparła Katarzyna czując, że wygłasza najbardziej

zarozumiała przemowę w swoim życiu, choć jednocześnie instynkt jej podpowiadał, że ma rację.

– Ale ty byś tego nie zrobiła, kochanie.– broniła się ciotka Lawinia – a nie wiedziałam, co też się z nim stało.

– Nie widziałam się z nim dlatego, że ojciec mi zabronił – odparła z największą prostotą Katarzyna.

Prostota ta jednak mocno zbulwersowała panią Pen.ni-man.

– Gdyby ci ojciec zabronił pójść spać, pewnie też byś się nie położyła! – skomentowała. Katarzyna popatrzyła na nią.

– Nie rozumiem ciebie, ciociu. Wydajesz mi się bardzo dziwna.

– Cóż, moja droga, kiedyś mnie zrozumiesz! – I pani Penniman powróciła do swej wieczornej gazety, którą czytywała co dzień od deski do deski. Pograżyła się w milczeniu; postanowiła czekać, aż Katarzyna poprosi ją, by opowiedziała jej o rozmowie z Maurycym. Katarzyna jednak milczała tak długo, że pani Penniman prawie straciła już cierpliwość. Właśnie miała wypomnieć bratanicy, że jest istotą najzupełniej pozbawioną serca, gdy dziewczyna nareszcie przemówiła:

– Co on powiedział? – zapytała.

– Powiedział, że gotów jest cię poślubić każdej chwili, wbrew wszystkiemu.

Katarzyna nie odpowiedziała i pani Penniman znów omal nie straciła cierpliwości, wobec czego już z własnej woli poinformowała bratanicę, że Maurycy wygląda bardzo urodziwie, lecz okropnie jest zmizerowany.

– Czy wydał ci się zasmucony? – zapytała ciotkę.

– Miał –podkrążone oczy. Jakżeż się zmienił od czasu. gdy go po raz pierwszy zobaczyłam; choć nie wiem, czy gdybym go zobaczyła w tym stanie po raz pierwszy, nie zrobiłby na mnie jeszcze większego wrażenia. N*.wet w jego zgrzyocie jest coś podniosłego.

Obraz ten żywo podziałał na wyobraźnię Katarzyny; czuła, że ma go w oczach mimo żalu. Po chwili zapytała;

– Gdzie się z nim widziałas, ciociu?

– W... w Bowery, w cukierni – odparła pani Penniman, która przyjęła za zasadę nieco przeinaczać fakty.

– W którym miejscu? – dopytywała Katarzyna odczekawszy znowu chwilę.

– Czy chcesz się tam wybrać, kochanie?

– O, nie. – I Katarzyna, podniósłszy się, podeszła do kominka. Stała teraz patrząc na rozżarzone węgle.

– Czemu jesteś taka oschła, Katarzyno? – odezwała się wreszcie pani Penniman.

– Oschła?

– Taka zimna... niewzruszona. Dziewczyna odwróciła się co prędzej.

– Czy to o n powiedział?

Pani Penniman wahała się przez chwilę.

– Powiem ci, co on powiedział. Powiedział, że boi się tylko jednego: bod się, że ty będziesz się bała.

– Czego?

– Że będziesz się bała ojca.

Katarzyna znów zwróciła się twarzą do kominka i po chwili milczenia powiedziała:

– Bo ja się boję ojca.

Pani Penniman pospiesznie wstała z krzesła i zbliżyła się do bratanicy.

– Czy zamierzasz tedy zrezygnować?

Dziewczyna stała bez ruchu dłuższą chwilę, wpatrując się w węgle. Wreszcie podniosła głowę i popatrzyła na ciot-kę.

– Dlaczego tak przypierasz mnie do muru? – zapytała.

– Wcale nie przypieram. Kiedy ostatnio z tobą o tym rozmawiałam?

– Zdaje się, że mówiłaś ze mną o tym parę razy.

– W takim razie obawiam się, że to konieczne, .Katarzyno – rzekła pani Penniman z wielką powagą. – Obawiam się, że nie przywiązujesz dostatecznej wagi... – tu, pani Penniman na chwilę zawiesiła głos; Katarzyna wciąż na nią patrzyła – ...nie przywiązujesz wagi do tego, by nie zawieść młodego, rycerskiego serca! – Z tymi słowy po-, wróciła na swoje krzesło koło lampy i wzruszywszy ramionami, ponownie ujęła gazetę.

Katarzyna ciągle jeszcze stała przed kominkiem i splótłszy z tyłu ręce patrzyła na ciotkę, której zdawało się, że spojrzenie dziewczyny nigdy dotąd nie było tak zagadkowo niewzruszone.

– Sądzę, że mnie nie rozumiesz albo nie znasz – powiedziała ciotce.

– Jeśli nie, to nic w tym nie ma zadziwiającego; tak mało masz do mnie zaufania.

Katarzyna nie próbowała nawet zaprzeczyć temu oskarżeniu i znów przez jakiś czas żadna z nich nie powiedziała słowa. Wszelako panią Penniman prześladowała wyobraźnia, której wieczorna gazeta tym razem ujarzmić nie zdołała.

.- Jeśli ulegniesz groźbie gniewu swego ojca – oświadczyła – nie wiem, co się z nami stanie. .- Czy to o n prosił cię, żebyś mi to powiedziała? .- Prosił, żebym użyła swego wpływu. .- Chyba się mylisz – zwątpiła Katarzyna. – On mi ufa.

— Oby tego nigdy nie żałował! – i pani Penniman nerwowo trzepnęła dłonią o gazetę. Nie wiedziała, jak postępować z bratanicą, która niespodziewanie pokazała jej pazurki i zaczęła się sprzeciwiać.

Tymczasem ów zwrot, jaki się dokonał w Katarzynie, dał znać o sobie z jeszcze większą siłą:

– Znacznie lepiej byś zrobiła, ciociu, gdybyś nie umawiała się więcej z panem Townsendem na spotkania – przestrzegła ciotkę. – Nie uważam tego za właściwe. Pani Penniman podniosła się z miejsca pełna dostojeństwa.

– Moje biedne dziecko – zwróciła się do bratanicy – czyżbyś była zazdrosna?

– Och, ciotko Lawinio! – bąknęła czerwieniąc się Katarzyna.

– Nie sądzę, żeby ci wypadało mnie pouczać o tym, co właściwe.

W tej kwestii wszakże Katarzyna nie poszła na ustępstwo.

– Oszukiwanie nie może być rzeczą właściwą.

– Nie oszukuję przecież ciebie!

– Nie, ale obiecałam ojcu...

– Nie wątpię, że mu obiecałaś. Ale ja mu nie składałam żadnej obietnicy.

Katarzyna musiała się z tym zgodzić i uczyniła to w milczeniu.

– Sądzę, że i pan Townsend nie patrzy na to chętnym okiem – rzekła w końcu.

– Nie patrzy chętnym okiem na spotkania ze mną?

– Na spotkania potajemne.

– Wcale nie potajemne; tam było pełno ludzi.

– Ale miejsce było potajemne... gdzieś tam daleko, w Bowery.

7 – Dom na placu Waszyngtona Q7

Pani Penniman zająknęła się odrobinę.

– Mężczyźni lubią takie rzeczy – zauważyła po ci-,,... leczce. – Ja wiem, co im odpowiada.

– Ojciec nie pochwaliliby tego, gdyby wiedział.

– Ho! ho! czyżbyś zamierzała go o tym powiadomić?

– Nie, ciociu. Ale proszę cię, nie rób tego więcej.

– Jeśli to zrobię jeszcze raz, to go powiadomisz – czy tak mam to. rozumieć? Ale ja nie podzielałam twego l-żU przed nim; zawsze wiedziałam, jak bronić swej nozycji Na pewno jednak nie zrobię już żadnego kroku w twojej sprawie; jesteś na to stanowczo zbyt niewdzięczna. Wiedziałam, że nie masz natury wybuchowej, lecz sądziłam żeś jest stała, i powiedziałam twemu ojcu, że sam o tym się przekona. Zawiodłam się na tobie, za to twój ojciec nie będzie zawiedziony. – Co rzekłszy, pani Penniman rzuciła krótkie „dobranoc” bratanicy i oddaliła się do swych apartamentów.

ROZDZIAŁ 18

Katarzyna siedziała sama w salonie przy kominku – siedziała tak przeszło godzinę, pogrążona w rozmyślaniach. Ciotka wydała jej się napastliwa i niemądra, a fakt, że ona sama tak wyraźnie to widziała – że osądzała panią Penniman z całą stanowczością – sprawiał, że dziewczyna poczuła ciężar dojrzałości i powaga. Nie miała za złe ciotce, że ta pomówiła ją o słabą wolę; zignorowała ten zarzut, gdyż do słabości się nie poczuwała, nie dotknął jej także ciotczyny brak uznania. Żywiła ogromny szacunek dla swojego ojca i uważała, że narazić mu. się byłoby wykroczeniem podobnym do aktu profanacji w najdostojniejszej świątyni; powoli jednak zamysł jej dojrzał, a wierzyła, że swymi modlitwami oczyściła go z popędliwości. Wiecz zapadał coraz głębszy i lampa przygasiała, lecz Katarzyna tego nie spostrzegła – w oczach miała tylko swój stras wy plan. Wiedziała, że ojciec jest u siebie w gabinecie, ^ siedział tam cały wieczór; raz po raz nasłuchiwała, czy oruszy. Myślała, że może przyjdzie do salonu, jak to ^ PH czasem. Na koniec zegar wybił jedenastą i dom CZ^ała cisza; służba poszła spać. Katarzyna wstała i z 23 f" podeszła do drzwi biblioteki. Przystanąła chwilę nie-W<chomo. Zapukała i

znów odczekała chwilę. Ojciec odpo-

'edział na pukanie, lecz zabrakło jej odwagi, by nacisnąć klamkę. Prawdą było to, co powiedziała ciotce: bała się go rzeczywiście; a mówiąc, że się nie poczuwa do słabości, chciała powiedzieć, że się nie obawia siebie. Usłyszała, jak ojciec poruszył się w gabinecie, podszedł i otworzył przed nią drzwi.

— Co się stało? — spytał. — Stoisz tu jak zjawa!

Weszła do pokoju, ale upłynęło trochę czasu, nim zdobyła się na wyznanie, z czym do niego przyszła. Ojciec, w szlafroku i nocnych pantoflach, zajęty był czymś przy biurku i teraz, przyjrząwszy jej się dłuższą chwilę i odczekawszy, czy czegoś mu nie powie, wrócił na miejsce i usadowił się nad papierami. Siedział odwrócony do niej tyłem — usłyszała skrzypienie jego pióra. Pozostała blisko drzwi z ser, cem bijącym mocno pod gorsetem, rada, że ojciec odwrócony był plecami — czuła, że łatwiej jej będzie przemawiać do tej części jego osoby niż do twarzy. Wreszcie zaczęła, nie sipuszczając oka z jego pleców.

— Mówiłeś, ojcze, że jeśli będę miała coś więcej do powiedzenia o panu Townsendzie, chętnie mnie wysłuchasz.

— W istocie, moja droga — odparł doktor nie odwracając się, ustało tylko skrzypienie jego pióra.

Katarzyna wolałaby, żeby sobie nie przerywał, sama wszakże ciągnęła rzecz dalej: Sądziłam, iż powinnam ci powiedzieć, że go nie widziałam więcej, ale że chciałabym się z nim zobaczyć.

Żeby go pożegnać? — spytał doktor. Dziewczyna zawahała się. ~~ On nie wyjeżdża. Ktor powoli obrócił się wraz z fotelem uśmiechając się — z tym, jakby pomawiał ją o kpiny. Ale przeciwnieństwa scierają, a Katarzyna kpić nie zamierzała. Zatem nie po to, żeby go pożegnać? — spytał córkę.

— Nie, ojcze, nie po to; w każdym razie nie na zawsze. Nie widziałam się z nim więcej, lecz chciałabym go zobaczyć — powtórzyła.

Doktor niespiesznym ruchem podrapał się po dolnej wardze piórkiem obsadki.

— Czy pisałaś do niego?

— Tak, czterokrotnie.

— A zatem go nie odprawiłaś? Bo wówczas wystarczyłoby napisać tylko raz.

— Nie — odparła Katarzyna. — Prosiłam go... prosiłam go, żeby poczekał.

Ojciec siedział spoglądając na nią i bała się, że wybuchnie gniewem, takie miał przejrzyste, zimne oczy.

— Jesteś kochanym, dobrym dzieckiem — rzekł w końcu. — Chodź tu do mnie. — I wstał wyciągając ku niej ręce.

Słowa te zaskoczyły Katarzynę i ucieszyły niepomiernie. Podeszła i ojciec przygarnął ją do siebie tkliwie, uspokajająco. Pocałował córkę i zapytał: «— Czy chcesz sprawić mi prawdziwą radość?

— Chciałabym... lecz boję się, że nie potrafię — odparła Katarzyna.

— Potrafisz, jeśli zechcesz. Wszystko zależy od twojej woli.

— Chcesz, żebym go poniechała?

— Tak, żebyś go poniechała.

Ciągle jeszcze tkliwie trzymał ją w objęciach, zaglądając jej w twarz, śledząc odwrócone oczy. Nastąpiła długa chwila ciszy; Katarzyna pragnęła, by uwolnił ją z uścisku.

— Jesteś szczęśliwsza ode mnie, ojcze — odezwała się — na koniec.

— Nie wątpię, że w tej chwili jesteś nieszczęśliwa. Ale lepiej poeierpieć trzy miesiące i wyjść z tego niż cierpieć przez wiele lat i nigdy nie przyjść do siebie.

— Tak, gdyby tak właśnie było — zwątpiła Katarzyna.

— Tak by było, jestem tego pewien. — Nie odpowiedziała, więc dowodził dalej: — Nie wierzysz w moją mądrość i staranie, w moją troskę o twą przyszłość?

— Och, ojcze! — westchnęła cicho dziewczyna.

— Czy nie przypuszczasz, że wiem coś o mężczyznach o ich występkach, ich szaleńczych poczynaniach, ich obłudzie?

Uwolniła się z jego ramion, nacierając:

— On nie jest występny! Nie jest obłudny! Doktor nie przestawał na nią patrzeć tym swoim przenikliwym, niezmaconym wzrokiem.

— A więc nic sobie nie robisz z mego zdania?

— Nie mogę w to uwierzyć!

— Nie proszę cię, żebyś uwierzyła, tylko żebyś mi zaufała.

Katarzyna daleka była od stwierdzenia, że ojciec posłużył się zmyślnym sofizmatem, niemniej zareagowała nań rzeczowo:

– Cóż on zrobił? Co ty wiesz?
– Nigdy nic nie zrobił; jest samolubem i próżniakiem.
– Och, ojczy, nie obrażaj go! – błagała.
– Nie zamierzam go obrażać, byłby to wielki błąd. A ty zrobisz, jaik zechcesz – dodał odwracając się.
– Czy mogę się z nim zobaczyć?
– Jak ci się podoba.
– I przebaczysz mi?
– W żadnym wypadku.
– Tylko jeden raz...
– Nie rozumiem, co to znaczy: jeden raz. Musisz albo go poniechać, albo kontynuować tę znajomość.
– Pragnę mu wytłumaczyć... powiedzieć, żeby czekał.
– Cekał na co?
– Aż go lepiej poznasz... aż się zgodzisz.
– Nie mów mu żadnych takich głupstw. Znam go dostatecznie i nigdy się nie zgodzę.
– Przecież możemy poczekać dłuższy czas – przekonywała nieszczęsna Katarzyna tonem, który miał wyrażać najpokorniejszą wolę pojednania, lecz podziałał na nerwy doktorowi jak nietaktowne naleganie. Mimo to odpowiedział dość spokojnie:
– Oczywiście, możecie poczekać, aż ja umrę, jeśli wola. Katarzyna wydała okrzyk prawdziwego przerażenia.
– Twoje zaręczyny będą miały ten jeden cudowny skutek: że z największą niecierpliwością będziesz oczekiwała tego wydarzenia.
Katarzyna stała wytrzeszczając oczy, podczas gdy doktor kontent był, iż wymierzył celnie. Cios spadł na dziewczynę z siłą, a raczej nieokreśloną mocą logicznego aksjomatu, którego podważyć nie umiała; a przecież, choć przedstawiał prawdę naukową, żadną miarą nie mogła się z nim pogodzić.
– Wolę nie wychodzić .za mąż, jeśli tak miało być w istocie – oświadczyła,
– Dowiedz tego zatem, bo nie ma kwestii, że zaręczając się z panem Townsendem czekasz po prostu na mą śmierć.
Odwróciła się bliska omdlenia, lecz doktor nie ustępował:
– A skoro ty będziesz na to czekać niecierpliwie, zwa| proszę, jak o n będzie pożądał mojej śmierci.
Katarzyna rozważała, co powiedział. Miała taki szaci nek dla słów ojca, że już same jej myśli skłonne mu był okazywać posłuszeństwo. Z jego wywodu wyzierało, zda sii ku niej coś okropnie szkaradnego, co pojmowała o tyli o ile pozwalał ria to jej zmacony umysł Nagle jednak dc znała natchnienia – sama nieomal tak to pojmowała.
– Jeśli nie wyjdę za nna/. , zanim umrzesz, nie wyje i potem – oświadczyła. Uwaga t?>, trzeba przyznać, wydała się jej ojcu jescznl jedną kpina, a że w umysłach nie dość rozwiniętych upoi zazwyczaj nie manifestuje się takim sposobem, tym bar| dziej go więc zaskoczyła ta igraszka idee fixe.
– Czy to ma być impertynencja? – zapytał, dostrzegaj| jąć od razu grubiaństwo zawarte w tym pytaniu,
– Impertynencja? Ach, ojczy, cóż za okropne rzeczy mj powiadasz!
– Skoro nie będziesz czekała, aż ja umrę, możesz rćwni^ dobrze wyjść za niego zaraz; nie ma na co czekać.
Katarzyna przez jakiś czas nie odpowiadała; wreszcie odważyła się:
– Myślę, że Maurycy... z czasem... mógłby cię przekonać.
– Nie pozwolę mu się zwracać do mnie więcej. Zbyt mi jest niemiły.
Ciche, przeciągłe westchnienie Katarzyny było odpowiedzią. Próbowwała je stłumić, uważała bowiem, że nie należy obnosić się ze swym. zmartwieniem ani starać się wpłynąć na ojca drogą niewybrednych demonstracji uczuciowych. Więcej nawet, uważała, że byłoby rzeczą niewłaściwą – a ściślej biorąc, nierozważną – w ogóle odwoływać się do jego uczuć; ona bowiem winna spowodować stopniową, łagodną zmiatną w jego rozumowej ocenie charakteru biednego Maurycyego. Sposób, w jaki miałyby spowodować ową zmianą, tonął jesczce w mrokach tajemnicy, toteż dziewczyna miała żalosalną świadomość własnej bezradności, jak i swego beznadziejnego położenia. Wyczerpała już wszystkie argumenty, wszystkie odpowiedzi. Ojciec współczuł jej zapewne – i było tak w istocie – lecz żywił mocne przekonanie, że ma słuszność.
_ Jedno możesz powiedzieć panu Townsendarowi, jak się z nim zobaczysz – przestrzegł Katarzynę. – Że jeśli wyjdiesz za mąż bez mojego przyzwolenia, nie

zapiszę ci ani'centa. To go zainteresuje bardziej niż wszystko inne, co masz mu do powiedzenia.

— Postąpiłbyś bardzo słusznie — odparła Katarzyna. — W takim przypadku nie powinnam otrzymać z twych pieniędzy ani centa.

— Moje drogie dziecko — roześmiał się doktor — wzrusza mnie twoja prostota. Powiedz to samo, tym samym tonem, z taką samą obojętną miną panu Townsendowi i bacz, co ci odpowie. Nie będzie to odpowiedź grzeczna — wyczytasz w niej irytację. I rad będę z tego, bo to potwierdzi tylko moje przypuszczenia; chyba że — co najzupełniej jest możliwe — tym bardziej go polubisz, gdy cię po grubiań-sku potraktuje.

— On mnie nigdy tak nie potraktuje — zaprzeczyła cicho Katarzyna.

— Tak czy owak, powtórz mu, co ci powiedziałem. Spojrzała na ojca i jej łagodne oczy zaszyły łzami,

— Zobaczą się z nim w takim razie — wybałała tym swoim, potulnym głosem.

— Rób, jak uważasz. — I doktor podszedł do drzwi otwierając je przed córką.

Katarzyna ze zgroza wyczytała z tego ruchu, że ojciec wyrzuca ją z pokoju.

— Tylko ten jeden raiz, tymczasem... — dorzuciła ociągając się jeszcze z wyjściem.

— Rób, jak uważasz — powtórzył doktor z ręką na klamce. — Powiedziałem ci, co o tym sędzę. Jeśli się z nim zobaczysz, okażesz się niewdzięcznym i okrutnym dzieckiem; zadasz swemu staremu ojcu najdotkliwszy ból.

Tego biedaczka już nie wytrzymała, z oczu jej trysnęły łzy i z żalosnym płaczem zwróciła się ku swemu nieugiętemu rodzicowi błagalnie wyciągając ręce, ten jednak surowo zignorował to błaganie. Zamiast pozwolić, by wypłakała mu smutki na ramieniu, po prostu ujął ją pod rękę i wyprowadził przez próg, delikatnie, lecz stanowczo zamykając za nią drzwi. Uczyniwszy to, chwilę nasłuchiwał. Przez dłuższy czas panowała głucha cisza; wiedział, że Katarzyna stoi tam, za drzwiami. Żał mu jej było, jak już powiedziałem, wszelako przekonany był o swej słuszności. Wreszcie usłyszał, że odchodzi, i po chwili kroki jej zaskrzypiały leciutko na schodach.

Doktor z rękami w kieszeniach przeszedł się parę razy dokoła gabinetu. W oczach błyszczała mu wąż iskierka — może gniewu, a może po trosze i humoru. „Na Jowisza! — rzekł do siebie w duchu. — Myślę, że ona się nie podda — że będzie się trzymała!” Obraz Katarzyny, która się „nie poddaje”, miał dla niego, jak widać, swe komiczne strony, zapowiadał uciechę. Doktor postanowił prześledzić całą rzecz do końca.

ROZDZIAŁ 19

Z przyczyn mających pewien związek z tym postanowieniem postarał się nazajutrz zamienić parę słów na osobności z panią Penniman. Posłał po nią prosząc, by zajrzała do biblioteki, i tam oświadczył jej, iż żywi głęboką nadzieję, że w wiadomej sprawie dotyczącej Katarzyny ona, pani Penniman, będzie pilnie baczyć na swoje słowa i postęпки.

— Nie wiem, co rozumiesz przez to wyrażenie — odparła siostra. — Mówisz tak, jakbym się uczyła alfabetu.

— Alfabet zdrowego rozsądku to coś, czego się nie nauczysz nigdy — pozwolił sobie zauważyć doktor.

— Czy wezwałeś mnie tu po to, żeby mnie obrażać? — zapytała.

— Bynajmniej, po prostu chciałem cię uprzedzić. Udzielasz poparcia młodemu Townsendowi, i to twoja sprawa. Nie mieszam się do twoich sentymentów, do twych fantazji, twych afektów i twych złudzeń, jednakże życzę sobie, żebyś zachowała je dla siebie. Przedłożyłem swoje poglądy Katarzynie; rozumie je doskonale i cokolwiek odtąd zrobi, by zachęcić pana Townsenda do zalotów, będzie stało w jawnej sprzeczności z moimi życzeniami. Cokolwiek zaś ty byś uczyniła, aby jej w tym pomóc i podtrzymać ją na duchu, nazwałbym — wybaczyć, że się tak wyrażę — oczywistą zdradą. Wiesz, że zdrada stanu jest największą zbrodnią, pamiętaj przeto, jaką na siebie ściągniesz karę.

Pani Penniman odrzuciła w tył głowę wytrzeszczając oczy, jak to czasem miała we zwyczaj.

— Zdaje mi się, że mówisz jak jakiś wielki autokrata.

— Mówię jak ojciec mojej córki.

– Ale nie jak brat twojej siostry! – wykrzyknęła.

– Lawinio, moja droga – odrzekł doktor – czasami zastanawiam się, czy istotnie jestem twoim bratem, tak krańcowo się różnimy. Przecież jednak, mimo różnic, potrafimy w razie potrzeby się zrozumieć. A w tej chwili to jest najważniejsze. Idź prostą drogą, gdy chodzi o Townsenda, o nic więcej cię nie proszę.

Najprawdopodobniej korespondowałaś z nim przez te ostatnie, trzy tygodnie – może nawet się z nim widywałaś. Nie pytam o to, więc nie musisz odpowiadać. – Doktor był głęboko przekonany, że wymyśliłaby ..zaraz jakieś małe kłamstwo, i musiałby tego wysłuchać z obrzydzeniem. – Cokolwiek uczyniłaś, nie rób tego więcej, tylko taka jest moja wola.

– Czy przypadkiem nie wolisz także zamordować swego dziecka?

– Przeciwnie, chcę, aby żyła i była szczęśliwa.

– Ty ją zabijesz; miała dzisiaj straszną noc.

– Nie umrze z powodu jednej strasznej nocy. jednej czy tuzina. Pamiętaj, że lekarzem jestem znamienitym.

Pani Penniman wahała się chwile, wreszcie zaryzykowała:

– Fakt, że jesteś lekarzem znamienitym, nie uchroni cię od straty już dwóch członków rodziny.

Zaryzykowała, lecz brat obrzucił ją spojrzeniem tak okrutnie przenikliwym – spojrzeniem, które tak przypomniało chirurgicznemu lancetowi – że przestraszyła się swojej od- j wagi. Odpowiedział jej też podobnie:

– Może mnie również nie uchronić od utraty towarzys-| stwa jeszcze jednej krewnej.

Pani Penniman opuściła pokój z miną, która możliwie najdobitniej miała świadczyć o tym, iż nie została doceniona, i skierowała swe kroki w stronę pokoju Katarzyny,] gdzie biedna dziewczyna szukała samotności. Ciotka wiedziała wszystko o tej strasznej nocy, gdyż poprzedniego wie czoru spotkały się raz jeszcze, kiedy to Katarzyna opuściła pokój ojca i idąc na górę, spotkała na drugim piętrze panią Penniman, stojącą na podeście. Nie ma w tym nic osobliwe- l go, że osoba obdarzona tak wielką subtelnością dostrzegła,] iż dziewczyna odbyła poufną rozmowę z ojcem. Tyni bar- l dziej nie należy jej się dziwić, że zapalała przemożną chę- l cią .poznania wyników tej rozmowy i że uczucie to, połącz- l ne z ogromną słodyczą i wielkodusznością, kazało jej po- l żałować cierpkich słów, jakie padły ostatnio między nią f a bratanicą. Przeto gdy nieszczęsna dziewczyna wyłoni la j się z mroku korytarza, pani Penniman żarliwie okazała jej współczucie. Wezbrane serce Katarzyny na równi niepomne było urazy – czuła tylko to, że ciotka bierze ją w objęcia. Pani Penniman pociągnęła bratanicę do jej pokoiku i obie damy przesiadła} tam aż do późnego świtu,] przy czym młodsza, wsparłszy, głowę na kolanach starszej, ! dała ujście łzom zrazu cichutko, tłumiąc łkanie, na koniec J w zupełnym odrętwieniu. Panią Penniman zadowolili fakt, że mogła z czystym sumieniem uznać, iż scena ta, praktycznie biorąc, zdjęła z niej interdykt, jaki Katarzyna nałożyła na jej samowolne podtrzymywanie styczności z panem Maurycym. Nie zadowolili jej natomiast widok bratanicy, gdy powróciwszy do jej pokoju przed śniadaniem, zastała dziewczynę już na nogach, gotową do zejścia na posiłek.

– Nie powinnaś schodzić na śniadanie – radziła Katarzynie. – Nie czujesz się zbyt dobrze po tej strasznej nocy.

– Ależ czuję się bardzo dobrze i boję się tylko, żebym się nie spóźniła.

– Nie rozumiem ciebie – wykrzyknęła pani Penniman. – Nie powinnaś wychodzić z łóżka przez trzy dni.

– Och, za nic bym tego nie zrobiła – zaprotestowała Katarzyna, dla której ten pomysł nie przedstawiał nic atrakcyjnego.

Pani Penniman była zrozpaczona; co więcej, spostrzegła ku swemu utrapieniu, że ślady nocnych łez zniknęły bez reszty z oczu Katarzyny. Dziewczyna miała konstytucję nie do zwyciężenia.

– Jakie wrażenie spodziewasz się wyrzeć na swym ojcu – zapytała bratanicę – jeśli wpadniesz do jadalni z miną wypraną z jakichkolwiek uczuć, jakby nic absolutnie się nie wydarzyło?

– Ojciec nie chciałby, żebym leżała w łóżku – odparła prostodusznie Katarzyna.

– Tym bardziej więc powinnaś to uczynić. Jak inaczej spodziewasz się go wzruszyć? Katarzyna pomyślała chwilę.

– Nie wiem jak, ale nie tym sposobem. Chcę być taka, jaka jestem zawsze. – I dokończywszy toalety wpadła do jadalni, by użyć zwrotu pani Penniman, prosto przed oblicze ojca. Była zaiste zbyt skromna na to, by okazać stosowną w tych

okolicznościach żalność.

A przecież dziewczyna naprawdę przeżyła straszna noc. Nie zmrzyła oka nawet po wyjściu pani Penniman, tylko leżała wpatrzona w nieprzyjazny mrok mając w oczach i uszach ów gest, jakim ojciec wyprowadził ją z pokoju, i te jego słowa, gdy zarzucił jej, że jest bez serca. A serce jej się kroilo; miała go bowiem dostatecznie dużo. Chwilami zdawało jej się, że ojciec ją przekonał i że dziewczyna musi doprawdy być niedobra, by postępować tak jak ona. A "więc jest zła, lecz co na to poradzi? Spróbuje mu okazać posłuszeństwo, choćby wbrew własnemu sercu. Po chwili znów wyobrażała sobie, że osiągnie coś drogą zmyślnych ustępstw na rzecz forny, acz trwałaby wiernie w swych uczuciach dla Maurycego. Pomysłem jej nie była końca, a my nie jesteśmy powołani do ujawnienia ich płanności. Najlepsze z nich objawiły się może w jej czerstwym wyglądzie, który tak stropił panią Penniman, zdumioną brakiem jakichkolwiek śladów wymizerowania u panny, która przeleżała całą noc drząc przed groźbą klątwy ojca. Biedna Katarzyna świadoma była swej czerstwej konstytucji, -przeto jej myśli o 'przyszłości tym bardziej ją przygnębiały; czerstwość ta bowiem zdawała się potwierdzać, że jest kobietą silną, krzepką, mocno zbudowaną i że będzie żyła długie lata - dłużej, niżby to może (komukolwiek dogadzało. Ciężka jej taka perspektywa, gdyż w rzeczy samej obarczała ją prawem do tym większych roszczeń, podczas gdy jej roszczenia stały w niezgodzie z właściwym postępowaniem. Napisała tego dnia do Maurycego prosząc, aby odwiedził ją nazajutrz; skreśliła tylko parę słów, niczego nie tłumacząc - wytłumaczy mu wszystko w cztery oczy.

ROZDZIAŁ 20

Nazajutrz po południu usłyszała jego głos przy drzwiach, a potem kroki w hallu. Przyjęła go w dużym, jasnym frontowym salonie, zapowiedziawszy służbie, żeby w razie jakichś wizyt nikogo do niej nie wpuszczano. Nie obawiała się nadejścia ojca, gdyż zawsze jeździł po mieście o tej porze. Gdy Maurycy stanął przed nią, pierwsze, z czego zdała sobie sprawę, to że przedstawiał sobą widok jeszcze miłszy dla oka niż ten, jaki czułe wspomnienie przedtem malowało; drugie - że uścisnął ją w ramionach. A gdy ją uwolnił z objęć, miała wrażenie, że teraz istotnie rzuciła się w otchłań buntu, przez moment nawet zdawało jej się, że już jest jego żoną.

Wyrzucał jej wielkie okrucieństwo, zapewnił, że był przez nią bardzo nieszczęśliwy, i Katarzyna uświadomiła sobie gorzko zawilość własnego przeznaczenia, które kazało jej zadawać ból w rejonach najmniej pożądanym. Pragnęła wszakże, aby w miejsce wyrzutów, choćby nawet czułych, Maurycy przyszedł jej z pomocą. Jest na pewno dostatecznie mądry, dostatecznie bystry na to, żeby znaleźć jakieś wyjście z ich kłopotów. Podzieliła się z nim tą wiarą i młodzieniec przyjął jej zapewnienia, jakby uważał je za naturalne; wprzódy jednak ją wybadał - co również było rzeczą naturalną - zamiast wziąć na siebie wytyczenie drogi.

- Nie powinnaś była dopuścić, bym tak długo czekał - rzekł. - Sam nie wiem, jak ja żyłem. Każda godzina zdawała się trwać wieki. Powinnaś się była wcześniej zdecydować.

- Zdecydować? - zdziwiła się Katarzyna.

- Zdecydować, czy pozostaniesz przy mnie, czy też mnie poniechasz

- Och, Maurycy! - wybuchnęła tkliwym szeptem, przeciągając głoski, Katarzyna. - Nigdy mi nie przyszło na myśl, żeby cię poniechać!

- Na cóż więc czekałaś? - rezonował gorliwie młody człowiek.

- Sądziłam, że ojciec mógłby... mógłby... - i nie dokończyła.

- Mógłby zobaczyć, jak się dręczysz?

- O nie. Tylko że mógłby na to spojrzeć innym okiem.

- I teraz posłałaś po mnie, żeby mi powiedzieć, iż nareszcie to uczynił, czy tak?

Ten hipotetyczny optymizm przeszył bólem biedną Katarzynę.

- Nie, Maurycy - rzekła z powagą. - Ojciec ciągle tak samo się na to zapatruje.

- Czemu więc mnie zawezwałaś?

- Bo chciałam cię zobaczyć - wykrzyknęła z rozpaczj Katarzyna.

- Przyczyna godna pochwały, niewątpliwie. Ale czy chciałaś tylko mnie zobaczyć?

Nie masz mi nic do powie| dzenia?

Jego piękne, zniewalające oczy utkwiły w jej twarzy i za| stanawiała się nad godną tego spojrzenia odpowiedzią. Je własne oczy podchwyciły na moment to spojrzenie i p| wiedziała cicho:

– Tak, chciałam cię zobaczyć. – Ledwie to jednak w| głosiła, najbardziej niekonsekwentnie w świecie ukrył, przed nim twarz.

Maurycy przyjrzał się jej uważnie.

– Czy poślubisz mnie jutro? – spytał nagle.

– Jutro?

– No to w przyszłym tygodniu... któregoś dnia w ciągu) miesiąca. '

– Nie lepiej byłoby poczekać?

– Poczekać na co?

Niezupełnie wiedziała, na co, lecz zatrwożył ją ten ogromny skok.

– Aż lepiej to przemyślimy

Pokręcił głową ze smutkiem i wyrzutem:

– Sądzałem, że przemyślałaś to przez te trzy tygodnie. Czy zamierzasz deliberować nad tym jeszcze pięć lat? Mnie też dałaś czasu aż za wiele. Moje biedactwo – dodał po chwili – nie jesteś ze mną szczerą.

Katarzyna zapłoniła się aż po uszy i oczy jej zaszczyły łzami

– Ach, jak możesz tak mówić? – wybąkała.

– Cóż, musisz się zdecydować: chcesz mnie czy nie? – rzekł Maurycy nader rzeczowo. – Nie możesz zadowolić ojca, a zarazem minie. Musisz wybrać między nami dwoma.

– Wybrałam ciebie – zapewniła go żarliwie.

– Zatem weź ze mną ślub w przyszłym tygodniu! Stała spoglądając na niego rozszerzonymi źrenicami.

– Czy nie ma innego sposobu?

– Ja widzę tylko taki sposób, aby osiągnąć to, co zamierzamy. Jeśli jest inny, rad bym wiedzieć.

Katarzynie nie przychodziło na myśl nic innego i Maurycy triumfował niemal bezlitośnie. Dziewczyna dopuszczała tylko jedna myśl: że ojciec może w końcu zmienić zdanie, i z kłopotliwym poczuciem własnej bezradności wyraziła pragnienie, by cud taki się dokonał.

– Sądziś, że to w ogóle jest możliwe? – nastawa!.. Maurycy.

– Tak, gdyby tylko mógł cię poznać.

– Może mnie poznać, jeśli zechce. Cóż stoi na przeszkodzie?

– Jego poglądy, jego racje – wyjaśniła. – Są tak... tak okropnie niezachwiane. – Jeszcze teraz drżała na ich wspomnienie,

– Niezachwiane! – wykrzyknął Maurycy. – Powinnaś raczej uważać je za chwiejne.

– O, chwiejność jest zupełnie obca memu ojcu – zapewniła Katarzyna.

Maurycy odwrócił się. podeszedł do okna i stanął tam patrząc przez szybę.

– A ty okropnie się go boisz – zauważył w końcu.

Nie czuła potrzeby zaprzeczania, bo i wcale się tego nie wstydziła; przecież, jeśli lęk ów nie przynosił jej zaszczytu, to w każdym razie przynosił zaszczyt ojcu.

– Chyba tak – przyznała najzupełniej naturalnie.

– A zatem mnie nie kochasz... nie kochasz mnie tak, jak ja ciebie. Jeśli twój lęk przed ojcem przerasta twe uczucie dla mnie, w takim razie nie jest to uczucie, jakiego się spodziewałem.

– Ach, mój miły! – i dziewczyna zwróciła kroki w jego stronę.

– Czy j a obawiam się czegokolwiek? – spytał odwracając się raptownie ku niej. – Czyż nie gotów jestem na wszystko dla twojego dobra?

– Ty jesteś szlachetny... jesteś dzielny! – odparła zatrzymując się w przystojnej odległości.

– Dużo mi z tego przyjdzie, skoro jesteś tak uległa.

– Nie zdaje mi się, żebym taka była... naprawdę ~ powiedziała.

– Nie rozumiem, co u ciebie znaczy to „naprawdę”. Naprawdę wystarczy tego, żeby unieszczęśliwie nas oboje.

– Powinnam zdobyć się na wiele siły, żeby czekać... czekać długi czas.

– A co, jeśli po długim czasie twój ojciec będzie mnie nienawidził jeszcze bardziej?

– Nie powinien... nie mógłby.

– Rozczuli go moja wierność, czy to mi chcesz powiedzieć? A skoro tak łatwo go rozczulić, to czemu miałabyś się go obawiać?

Argument był bardzo celny i zbił z tropu Katarzynę. , – Postaram się nie odczuwać przed nim lęku – powiedziała. Stała przy nim potulnie, przyszyły wizerunek dbałej i zapobiegliwej żony. Wizerunek ten nie mógł ujść jego uwagi i zachęcony nim młodzieniec jeszcze raz złożył dowody swego wielkiego dla niej poważania. Instynkt dobrze mu podpowiedział, by ten rodzaj uczuć wyznać Katarzynie, gdyż tylko dzięki temu droga zalecana przez panią Penniman mogła bez względu na skutki doprowadzić do natychmiastowego pojednania.

– Tak, ciotka Penniman by to pochwaliła – przyznała dziewczyna prostodusznie, acz nieco uszczypliwie. Jednakże nieklamana prostota Katarzyny i pobudki, z którymi sarkazm nie miał nic wspólnego, kazały jej już po chwili zawiadomić wielbiciela o tym, co zlecił mu przekazać doktor. Albowiem rzecz ta leżała jej na sumieniu i gdyby nawet owa misja była dziesięciokrotnie cięższa, wypełniłaby ją równie skrupulatnie.

– Zlecił mi powiedzieć... powiedzieć ci bardzo jasno w jego imieniu... że jeśli wyjdę za męża bez jego przyzwolenia, nie odziedziczę po nim ani centa. Położył na to wielki nacisk. Myślał pewnie... myślał pewnie...

Maurycy zaczerwienił się, tak jak zaczerwieniłby się każdy .krewki młodzian, gdyby go pomówiono o niktzem-ność.

– Co takiego myślał pewnie?

– Że nie jest ci to obojętne.

– Bo i nie jest obojętne, z wielu względów. Będziemy ubożsi o wiele tysięcy, a to wcale nie jest bez znaczenia. Nie wpłynię to wszakże na mój afekt.

– Pieniędzy nam nie zabraknie – zapewniła Katarzyna. – Wiesz przecież, że sama mam ich dużo.

– Tak, moje kochanie, wiem, że coś posiadasz. I że on tknąć tego nie może.

– Nigdy by tego nie zrobił. Matka mnie to zostawiła. Maurycy milczał chwilę.

– Powiedział ci to stanowczo, prawda? – spytał wreszcie. – Myślał, że taka wiadomość okropnie mnie rozdrażni i że zrzucę maskę, co?

– Nie wiem, co myślał – odparła smutno Katarzyna.

– Powiedz mu, proszę, że ta wiadomość znaczy dla mnie ot, tyle! – I Maurycy strzelił palcami zamasyście.

– Tego chyba nie mogę mu powiedzieć.

– Wiesz, że sprawiasz mi niekiedy zawód – wyznał Maurycy.

– Całkiem możliwe. Każdemu sprawiam zawód – ojcu i ciotce Penniman.

– No, co do mnie, to nie takie ważne, bo ja żywię dla ciebie więcej ciepłych uczuć aniżeli oni.

– Tak, Maurycy – potwierdziła Katarzyna rozkoszując się w wyobraźni – jeśli ją w ogóle posiadała – tą cudowną prawdą, która przecież nikomu nie uchybiała.

– Czy jesteś przekonana o tym, że on wytrwa... wytrwa już do końca w tym zamiarze... i na pewno będzie chciał ciebie wydziedziczyć? I że twoja dobroć i cierpliwość nigdy nie przemogą jego okrucieństwa?

– Kłopot w tym, że jeśli za ciebie wyjdę, będzie uważał, że nie jestem dobra. Posłuży mu to za dowód.

– Ach, zatem nigdy ci tego nie przebaczy!

Myśl ta, wypowiedziana twardo pięknymi ustami młodzieniaszka, odżyła na moment z całą swoją grozą w uspokojonym już nieco sumieniu biednej Katarzyny.

– Och, musisz mnie bardzo kochać! – wybuchnęła.

– Co do tego nie ma wątpliwości, moja miła – przystał jej wybranek. I zaraz dodał: •– Nie podoba ci się słowo „wydziedziczyć”?

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o to, że... że on tak czuje.

– A tobie pewnie wydaje się to czymś podobnym do przekleństwa? Jakież to musi być przygnębiające. Ale czy nie sądzisz – wywodził Maurycy – że gdybyś się zdobyła na większą pomysłowość i zabrała się do tego jak należy, •może w końcu odzegnałabyś tę groźbę? Czy ,nie uważasz – ciągnął tonem współczującego rozważania – że prawdziwie bystra kobieta będąc na twoim miejscu przełamałaby w końcu jego upór? Czy nie sądzisz...

Tu nagle Maurycy urwał zaskoczony; te zmyślne pytania nie dosięgły uszu Katarzyny. Dźwięczało w nich je-' szcze straszliwe słowo: „wydziedziczyć” – ważne słowo oznaczające moralne potępienie; co więcej, kołacząc się jej po głowie zdawało się zyskiwać na znaczeniu. Śmiertelny chłód przenikał coraz dotkliwiej dziecięce serce Katarzyny, aż ogarnęło ją poczucie samotności, zagrożenia. Jej ostoja wszakże była tuż przy niej i dziewczyna wyciągnęła rękę, aby ją pochwycić.

– Och, Maurycy – powiedziała z drżeniem – poślubię cię, kiedy tylko zechcesz! –

i bezwolnie oparła mu głowę na ramieniu.

– Moje ukochanie! – wykrzyknął opuściwszy wzrok na swoją zdobycz. Zaraz jednak podniósł oczy; z rozchyłonymi ustami i zmarszczonym czołem spojrział w górę dość niepewnie.

ROZDZIAŁ 21

Doktor Sloper wkrótce podzielił się swym przekonaniem z panią Almond w tych samych słowach, w jakich sformułował je dla siebie.

– Na Jowisza! Ona gotowa nie ustąpić. Gotowa jest się trzymać!

– Czy chcesz przez to .powiedzieć, że zamierza go poślubić? – dopytywała pani Almond.

– Tego nie wiem, ale nie zamierza zerwać. Chce przeciągać narzeczeństwo w nadziei, że ulegnę.

– A ty nie ulegniesz?

– A czy teza geometryczna może ulec? Nie .traktuję spraw tak powierzchownie.

– A czy geometria nie traktuje o powierzchniach? – odparowała z uśmiechem pani Almond, która jak wiemy, była kobietą rezolutną.

– Tak, lecz czyni to dogłębnie. Moje powierzchnie to Katarzyna i jej 'młodzian; pomierzyłem je obie.

– Mówisz tak, jakbyś był zaskoczony.

– Bo miara jest potężna, będzie co obserwować.

– Masz zdumiewająco zimną krew! – stwierdziła pani Almond.

– Muszę mieć, skoro tyle gorącej krwi kipi wokół mnie. Młody Townsend jest w istocie zimny, tej zalety nie mogę mu odmówić.

– Jego nie mogę sądzić – odparła pani Almond – za to Katarzyna wcale mnie nie zaskoczyła.

– A ja przyznaję, że mnie trochę zaskoczyła; musi być diabelnie rozdwojona i znękana.

– Powiedz, że cię to zwyczajnie bawi. Nie widzę, co w tym śmiesznego, że twoja córka ciebie wielbi.

– Ciekawe byłoby ustalić punkt, w którym kończy się to uwielbienie.

– Kończy się tam, gdzie zaczyna się inne uczucie.

– Wcale nie; to byłoby zbyt proste. Te dwie rzeczy przeplatają się z sobą nadzwyczajnie i powstaje z tego najdziwniejsza mieszanina. Wyłoni się z niej jakiś trzeci czynnik i czekam właśnie, żeby to zobaczyć. Czekam w napięciu, z prawdziwym podnieceniem, a nie spodziewałem się, że Katarzyna dostarczy mi kiedykolwiek tego rodzaju podniet. Jestem doprawdy bardzo jej zobowiązany.

– Przyłgnie do niego – orzekła pani Almond. – Przyłgnie niewątpliwie.

– Właśnie, nie ustąpi, jak powiadam.

– „Przyłgnąć” to brzmi ładnie. Te bardzo proste natury eawsze tak sobie poczynają, a coś może być prostszego od naszej Katarzyny? Nie jest zbyt chłonna wrażeń, ale jeśli raz znajdzie się pod wrażeniem, to już się go nie pozbędzie. Jest jak miedziany czajnik, co się porysował; możesz go wypolerować, lecz nie zetrzesz rysy.

– Spróbujemy wypolerować Katarzynę – zawyrokował doktor. – Zabiorę ją do Europy!

– Ona nie zapomni o nim w Europie.

– No to on zapomni o niej.

Pani Almond miała przygnębioną minę.

– Pragnąłbyś tego rzeczywiście?

– Najusilniej – odparł doktor.

Tymczasem pani Penniman nie zwlekając skomunikowała się ponownie z Maurycym. Poprosiła, by jeszcze raz zaszczyił ją rozmową, lecz tym razem nie obrała ostrygami łza widowie schadzki. Zaproponowała, aby spotkał ją przed drzwiami pewnego kościoła po niedzielnym popołudniowym nabożeństwie; pamiętała przy tym, żeby mu nie wyznaczyć tego samego miejsca kultu, które zwykle odwiedzała, gdyż jak twierdziła, wysłedziliby ją parafiania. Obrala tedy schronienie mniej wytworne i wyłoniwszy się z jego portalu o umówionej godzinie, dostrzegła, iż młc dzieniee stoi na uboczu. Nie zdradzając, że go rozpoznał przeszła przez ulicę, on zaś ruszył za nią. Gdy uszli już taj kawałek drogi, zwróciła się doń z uśmiechem:

– Wybacz pan tę pozorną nieuprzejmość, ale wiesz, o tym sądzić. Roztropność przede wszystkim. – I na pyt nie, w którą stronę się udadzą, wyszeptwała: – Tam, gdzie” najmniej nas będą obserwować.

Maurycy w nie najlepszym był nastroju, toteż na jej przemowę odpowiedział w sposób niezbyt dworski:

– Nie pochlebiam sobie, że w ogóle będziemy gdzieś obserwowani. – Po czym, nie bacząc na nią, skierował się ku centrum miasta. – Spodziewam się, iż przyszłaś pani mi powiedzieć, że skapitulował.

– Obawiam się, że nie jestem zwiastunką dobrych nowin, aczkolwiek w 'pewnej mierze służę za wysłanniczkę pokoju. Wiele myślałam, panie Townsend – westchnęła pani Penniman.

– Pani myślisz zbyt wiele.

– I mnie się tak wydaje; lecz cóż poradzę, skoro umysł mój pracuje tak niezmordowanie. Gdy już czemuś się poświęcę, to bez reszty. Płacę za to migrenami – te moje słynne migreny, istny kłębek bólu! Lecz noszę go w sobie niczym królowa swą koronę. Czy uwierzysz pan, że mam taki atak właśnie teraz? Wszelako za nic bym nie opuściła naszego rendez-vous. Mam panu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

– Słucham zatem.

– Zeszłym razem byłam może cokolwiek nierozważna radząc panu ożenić się niezwłocznie. Przemyslałam całą sprawę i dziś widzę to nieco inaczej.

– Pani zdajesz się oglądać ten sam przedmiot na wiele różnych sposobów.

– Liczba ich jest nieskończona! – potwierdziła pani Penniman tonem, który niejako sugerował, iż ta dogodna umiejętność należy do najświetniejszych jej przymiotów.

– Radziłbym obrać tylko jeden i jego się trzymać – odparł Maurycy.

– Cóż, kiedy niełatwo wybrać. Moja wyobraźnia nigdy nie zaznaje odpoczynku, nigdy nie jest usatysfakcjonowana. Stąd może jestem złym doradcą, ale za to niezrównanym przyjacielem.

– Niezrównany przyjaciel, który daje kiepską radę! – zadrwił Maurycy.

– Nieumyślnie... a ponadto przyjacielem, który nie bacząc na nic spieszy, by najpokorniej się usprawiedliwić;

– Zatem, co mi pani radzisz teraz? /

– Radzę być bardzo cierpliwym. Patrzyć, czekać.

– Czy to zła, czy dobra rada?

– Nie mnie o tym sądzić – odrzekła z pewną godnością pani Penniman. – Ja mogę tylko zapewnić, że jest szczerą.

– A w przyszłym tygodniu przyjdiesz pani i równie szczerze zalecisz mi coś wręcz przeciwnego?

– W przyszłym tygodniu przyjdę może pana powiadomić, że się znalazłam na ulicy. – Na ulicy?

– Miałam straszliwą scenę z bratem; grozi, że mnie wyrzuci z domu, jeśli coś, się stanie. Pan wie, żem jest uboga-

Maurycy obliczył sobie kiedyś, że pani Penniman posiada jakąś sumkę, lecz oczywista nie przypierał jej do muru.

– Byłoby mi bardzo przykro patrzeć, jak pani straszliwie cierpisz dla mnie – rzekł. – Ale czynisz z brata istnego barbarzyńcę.

Pani Penniman zawahała się odrobinę.

– Moim zdaniem, Augustyn na pewno nie jest prawowiernym chrześcijaninem.

– Mam przeto czekać, aż zostanie nawrócony?

– W każdym razie poczekaj pan, aż zbędzie nieco gwałtowności. Uzbrój się w cierpliwość i pamiętaj: nagroda jest wysoka.

Maurycy siedł jakiś czas w milczeniu, postukując nie-| cierpliwie laską ó balustrady i sztachety.

– Nie ma co mówić, jesteś pani szatańsko niekons-i kwentna – wybuchnął w końcu.

– A ja już uzyskałem zgo-j de Katarzyny na sekretny ślub.

Pani Penniman istotnie nie była konsekwentna, gdyż pc słyszawszy to, aż podskoczyła z ukontentowania.

– Och, kiedy, gdzie? – zawołała. I zaraz przystanęła. Maurycy nie potrafił tego jasno sformułować.

– To jeszcze nie ustalone; ale wyraziła zgodę. Diabło niezręcznie byłoby teraz się wycofać.

Pani Penniman, jak się rzekło, przystanęła. I stała tak utkwwszy rozpromieniony

wzrok w swoim towarzyszu.

– Panie Townsend – oświadczyła – pozwól sobie coś powiedzieć. Katarzyna kocha pana tak gorąco, że możesz pan uczynić wszystko.

Oświadczenie to było trochę wieloznaczne i Maurycy wytrzeszczył na nią oczy. – Miło mi to słyszeć. Ale co pani rozumiesz przez „wszystko”?

– Możesz pan zwlekać... możesz zmienić front; ona nie weźmie panu tego za złe. Maurycy ciągle jeszcze stał z miną zdumioną; wreszcie rzucił tylko krótkie, raczej oschłe: „Ach!” po czym ostrzegł panią Penniman, że jeśli będzie szła tak wolno, zwróci na siebie uwagę, i w ten sposób udało mu się jako tako przynaglić ją do powrotu – do pieleszy, gdzie tak bardzo się poczuła zagrożona w swoich rezydencjonalnych prawach.

ROZDZIAŁ 22

Stwierdzając, że Katarzyna zgodziła się na ten ważki krok, Maurycy nieco przeinaczył fakty. Pozostawiliśmy ją nie tak dawno w chwili, gdy gotowa była spalić za sobą wszystkie mosty, Maurycy wszakże, wydobywszy z niej to oświadczenie, uprzytomnił sobie, że istnieją pewne racje, by na to nie nastawać. Tak więc wcale grzecznie wymigał się od wyznaczenia daty, pozwalając jej zarazem mniemać, że ma datę na uwadze. Katarzyna nie była wolna od problemów, lecz problemy jej roztropnego wielbiciela też są warte rozważenia. Nagroda niewątpliwie była duża; wszelako pozyskać ją można było tylko drogą znalezienia złotego środka między porywcznością a rozwagą. Najlepiej byłoby skoczyć na głębokie wody i zdać się na Opatrzność, ale Opatrzność stoi zwykle po stronie ludzi sprytnych, a sprytni, jak wiadomo, nie są skłonni ryzykować własnym karkiem.

Korzyść, jaką w ostatecznym rozrachunku przyniósłby związek z rnało ponętą, a zarazem zubożałą panną, musiałyby się ściśle wiązać ze stratami jakimś ogniwem bardzo wyczuwalnym. Niełatwo więc było Maurycemu Townsenedowi wybierać pomiędzy obawą o utratę Katarzyny, wraz z całą przypuszczalną jej fortuną, a obawą o wzięcie jej sobie zbyt pochopnie i stwierdzenie, że ta przypuszczalna fortuna jest jak kolekcja pustych butelek pozbawiona treści – niech więc o tym nie zapominają czytelnicy, skłonni surowo oceniać kawalera, który może ich zdaniem czynił nie najlepszy użytek z przyrodzonych swych talentów. Maurycy nie zapomniał o tym, że Katarzyna w każdym wypadku miała własne dziesięć tysięcy rocznie – niemało rozważań poświęcił tej okoliczności. Lecz z uwagi na swe talenty wysoko siebie cenił, ściśle szacując swoją wartość, która według niego nie odpowiadała w pełni sumie, o jakiej tu wspomniałem. Jednocześnie zaś uzmysławiał sobie, że jest to znaczna suma, że wszystko jest względne na tym świecie i choć skromny dochód mniej jest pożądanym od dużego, to całkowity brak dochodu nie przedstawia korzyści dla nikogo. i Rozmyślania te zajęły mu mnóstwo czasu i kazały skrócić żagle. Opozycja doktora Slopera stanowiła nieznaną wartość w problemie, który miał do rozwiązania. Naturalnym rozwiązaniem byłby ożenek z Katarzyną, lecz matematyką cechuje mnogość wzorów i Maurycy nie stracił nadziei na odkrycie właściwego. Gdy Katarzyna, wzięwszy go za słowo, zgodziła się zrezygnować z prób ułagodzenia ojca, cofnął się, jako się rzekło, wcale zręcznie i datę ślubu uznawał nadal za otwartą sprawę. Katarzyna zaś tak bezgranicznie wierzyła w jego szczerą, iż niezdolna była podejrzewać, że ją zwodzi; zresztą, trapiło ją teraz coś innego. Nieszczęsna dziewczyna miała niezwykle poczucie honoru, toteż od chwili gdy zgodziła się pogwałcić wolę ojca, uznała, że z jego opieki korzystać już nie ma prawa. Sumienie mówiło jej, że winna mieszkać pod jego dachem dopóty, dopóki będzie postępowała zgodnie z jego mądrymi wskazaniem. Pozycja taka przynosiła jej niemałą chlubę, lecz biedactwo czuła, że straciła do niej prawo. Los swój związała z młodzieńcem, przed którym ojciec stanowczo ją przestrzegwał, i w ten sposób zerwała kontrakt, w myśl którego ojciec zapewniał jej szczęśliwy dom. Z młodzieńca nie może zrezygnować, musi więc opuścić dom; a im prędzej obiekt jej wyboru zabierze ją gdzie indziej, tym prędzej wyklaruje się jej kłopotliwa sytuacja. To ściśle rozumowanie przemieszane było wszakże z bezbrzeżną, czysto instynktowną skrucą. Katarzyna przeżywała więc w tym czasie ciężkie chwile, niekiedy wprost ponad jej siły. Ojciec nie patrzył w jej stronę ani z nią nie rozmawiał. Wiedział, do czego zmierza, należało to do jego planu. Ona zaś

spozierała ku niemu o tyle tylko, o ile się odważała (w obawie, .by nie wydać się natrętną) i żal jej było, że przypawiła go o smutek. Z podniesioną głową spełniała swe codzienne powinności, mając się rozmaitych zajęć. A gdy atmosfera na Placu Waszyngtona stawała się nie do zniesienia, zamykała oczy pocieszając się przywoływaniem w myślach wizji człowieka, dla którego złamała święte prawo. Spośród trzech osób zamieszkałych w domu na Placu Waszyngtona pani Penniman poczynała sobie w sposób najbardziej odpowiadający wielkiemu kryzysowi. O ile Katarzyna zachowywała się spokojnie, o tyle ciotka jej stała się, jeśli tak rzec można, samym spokojem, a żałosne skutki jej poczynań, których nie dane było nikomu zauważyć, okazały się zgoła nie wypracowane i nie zamierzone. Jeśli doktor stał się sztywny, oschły i nie reagował wcale na obecność swoich towarzyszek, robił to tak zręcznie, swobodnie, jakby od niechcienia, że trzeba było znać go dobrze, aby odkryć, iż w gruncie rzeczy bawił się udawaniem, że jest źle usposobiony. Za to pani Penniman siliła się na rezerwę i 'jdj milczenie miało swą wymowę; już samym jej rozważnym ruchom – bo tylko do takich się ograniczała – towarzyszył wymowniejszy szelest, a zabierając głos w związku z jakimś nader błahym wydarzeniem, przybierała taki wyraz twarzy, jakby słowa jej wyrażały coś bardziej istotnego. Pomiędzy Katarzyną i jej ojcem nic nie zaszło od owego wieczoru, gdy poszła do jego gabinetu, aby z nim pomówić. Teraz też miała mu coś do powiedzenia – uważała, że powinna to powiedzieć – lecz powstrzymywała się w obawie, żeby go mię zlyrtować, I on także miał jej coś do powiedzenia, postanowił jej WŁ^akże nie wyprzedzać. Bowiem, jak wiemy, ciekaw był widoku, jak Katarzyna, pozostawiona samej sobie, będzie „się trzymała”. W końcu jednak powiadomiła go, że widziała się ponownie z Maurycym i że ich stosunki nie uległy zmianie. – Myślę, że się pobierzemy... niezadługo. A tymczasem będę go pewnie częściej widywała. Może raz w tygodniu, choć nie więcej. Doktor zmierzył ją od stóp do głowy spojrzeniem tak chłodnym, jakby była nieznajomą. Wzrok jego spoczął na niej po raz pierwszy od tygodnia – na szczęście, jeśli by oddać to, co wyrażał.

– Czemu nie trzy razy dziennie? – spytał. – Cóż ci przeszkadza spotykać się z nim, ilekroć zechcesz? Odwróciła się ze łzami w oczach.

– Lepiej będzie raz w tygodniu – odparła po niejakiwej chwili.

– Dlaczego lepiej? Nie rozumiem. Już gorzej być nie może. JeśM pochlebiasz sobie, że zależy mi na tego rodzaju drobnych ulepszeniach, to jesteś w wielkim błędzie. Widując się z nim raz w tygodniu postępujesz tak samo niewłaściwie, jak gdybyś nie rozstawała się z nim przez cały dzień. Mnie to wszakże nie obchodzi. Katarzyna usiłowała pojąć sens tego wyводу, lecz słowa ojca prowadziły zda się do jakiegoś nieokreślonego okro-pieństwa, przed którym się broniła.

– Myślę, że pobierzemy się niezabawem – powtórzyła. I znów ojciec uraczył ją tym swoim odstrasającym spojrzeniem, jak gdyby była kimś obcym.

– Po co mi to mówisz? Mnie to nie obchodzi.

– Och, ojczy! – wybuchnęła – nie obchodzi cię, nawet jeśli tak się na to zapatrujesz?

– Ani trochę. Skoro zamierzasz go poślubić, jest mi wszystko jedno, kiedy, gdzie i dlaczego to zrobisz. A jeśli sądzisz, że zrównoważysz swe szaleństwo tym pokazem, to możesz oszczędzić sobie trudu.

I powiedziawszy to oddalił się. Nazajutrz jednak przemówił do niej z własnej woli, już w cokolwiek innym tonie:"

– Czy zamierzasz wziąć ślub w ciągu najbliższych czterech, pięciu miesięcy?

– Nie wiem, ojczy – odpowiedziała Katarzyna. – Niełatwo nam się zdecydować.

– Odłóż go więc na sześć miesięcy, a tymczasem zabiorę cię do Europy. Bardzo byłbym rad, gdybyś pojechała. Słyszac, że „byłby rad”, gdyby coś zrobiła – po tym, co powiedział poprzedniego dnia – i że zachował jeszcze w sercu jakoweś uczuciowe preferencje, Katarzyna z radości aż krzyknęła. Lecz nagle uświadomiła sobie, że Maurycy nie został objęty jego propozycją, a zatem gdy chodzi o samą podróż, o wiele bardziej wolałaby pozostać w domu razem z nim. Niemniej zarumieniła się radośniej niż kiedykolwiek ostatnimi czasy.

– Cudownie byłoby wybrać się do Europy – zauważyła, czując jednocześnie, że nie powiedziała nic oryginalnego i że ton jej nie zdradza zachwyty, jakiego by można oczekiwać.

– A więc świetnie, pojedziemy. Pakuj garderobę.

– Powinam o tym powiedzieć panu Townsendowi – oświadczyła.

Ojciec utkwiał w niej zimny wzrok.

– Jeśli chodzi ci o to, by zapytać go o pozwolenie, pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ci go udzieli.

Żal, jakim tchęły te słowa, boleśnie wzruszył Katarzynę. Była to najbardziej wykalkulowana, najbardziej dramatyczna mówka, jaką doktor wygłosił w swoim życiu. Dziewczyna uznała, że los okazał się łaskawy dając jej tak wyśmienitą okazję, by dowieść ojcu, jak bardzo go poważa. Jednocześnie jednak coś innego nie dawało jej spokoju i zaraz to wypowiedziała:

– Czasem wydaje mi się, że jeśli zrobię to, co tak bardzo ci nie odpowiada, nie powinnam u ciebie mieszkać, ojczu.

– Mieszkać u mnie?

– Skoro mieszkam pod twoim dachem, powinnam ci być posłuszna.

– Jeśli ty tak twierdzisz, to ja tym bardziej – zaśmiał się cierpko doktor.

– Ale skoro nie jestem ci posłuszna, nie powinnam u ciebie mieszkać... korzystać z twojej dobroci i opieki.

Ten zaskakujący wywód uświadomił nagle doktorowi, że nie doceniał córki; u panny, która objawiła nieoczekiwanie bierny upór, obiekcja taka zasługiwała bodaj na coś więcej niż uznanie. Doktor jednak poczuł się dotknięty – dotknięty do żywego – i temu przynajmniej dał wyraz.

– Cóż za niesmaczne myśli przychodzą ci do głowy – odrzekł. – Czy to pan Townsend wpadł ma taki pomysł?

– O nie, to mój własny – zapewniła skwapliwie Katarzyna.

– To zachowaj go dla siebie – odparł doktor, bardziej niż dotąd przekonany o tym, że dziewczyna powinna wybrać się do Europy.

ROZDZIAŁ 23

Maurycy Townsends nie miał uczestniczyć w tej podróży, tak samo jak nie przewidziano w niej pani Penniman, która wdzięczna byłaby za zaproszenie, lecz (trzeba jej oddać sprawiedliwość) zносиła swój zawód w sposób zaiste godny damy. – Chętnie bym zobaczyła dzieła Rafaela i ruiny... ruiny Panteonu – zwierzyła się pani Almond – ale z drugiej strony, nie martwię się, że przez najbliższych parę miesięcy będę sama i zażyję spokoju na Placu Waszyngtona. Potrzebuję wytchnienia; przez te ostatnie cztery miesiące przeżyłam tak wiele.

Pani Almond uważała, że brat jest wręcz okrutny nie zabierając biednej Lawinii za granicę, łatwo wszakże zrozumiała, że jeśli ekspedycja ta ma sprawić, że Katarzyna zapomni o kochanku, nie jest w interesie brata dostarczyć córce towarzyski w postaci najlepszej przyjaciółki owego kawalera. „Gdyby Lawinia nie była taka głupia – pomyślała – może by i zwiedziła ruiny Panteonu.” I pani Almond nie mogła odżałować nierozwagi siostry, mimo jej zapewnień, iż rzeczony relikty znała z częstych i wysoce zadowalających opisów pana Pennimana. Pani Penniman doskonale pojmowała, że brat przedsięwziął ów zamorski wojaż, chcąc w ten sposób zastawić pułapkę na wierność Katarzyny, toteż otwarcie podzieliła się tym przekonaniem z bratanicą.

– On myśli, że w ten sposób zapomnisz o Maurycym – powiedziała. (Teraz już zawsze mówiła o młodzieńcu: Maurycy-) – Co z oczu, to z serca, sama rozumiesz. Sądzi, że jak zobaczysz te wszystkie cuda, to przestaniesz sobie nim zaprzętać głowę.

Katarzyna miała minę wielce zaniepokojoną.

– Jeśli tak sądzi, to powinnam go uprzedzić. Pani Penniman potrząsnęła głową.

– Powiesz mu potem, moja złota, jak już się natrudzi, wykosztuje. Niech ma, na co zasłużył. – Po czym dodała, już w tonacji łagodniejszej, że rozkosznie chyba jest rozmyślać o tych, co nas kochają, pośród ruin Panteonu.

Dezaprobatą ojca napawała, jak wiemy, dziewczynę dojmującym smutkiem – tym smutkiem najczystszy, najbardziej wielkoduszny, bez cienia niechęci czy urazy. Gdy jednak ojciec zbył tak krótko, pogardliwie jej obiekcje co do korzystania z dobrodziejstw jego domu, po raz pierwszy w żalu Katarzyny błysnęła iskra gniewu. Wyczuła wzgardę i dotknęło ją to do żywego; ta uwaga o jej złym guście przez trzy dni nie dawała jej spokoju. Przez te trzy dni dziewczyna poczyniła sobie mniej rozważnie, nabrała bowiem przekonania – niejasnego wprawdzie, lecz zgodnego z jej poczuciem krzywdy – że oto uwolniona już została od pokuty i może robić, co uzna za właściwe. Uznała więc za właściwe napisać do Maurycyego, by

spotkał się z nią na Placu i zabrał na przechadzkę. Uważała, że skoro z szacunku dla ojca wybiera się do Europy, może udzielić sobie przynajmniej takiej satysfakcji. Czuła się teraz pod każdym względem swobodniejsza, śmielsza. Jakaś nieznama siła pobudzała ją do działania. Teraz nareszcie miłość zawiązała się bez granic, bez zastrzeżeń.

Maurycy spotkał się z nią ostatecznie i odbyli długi spacer. Zaraz też opowiedziała mu, co zaszło – że ojciec zapragnął na jakieś sześć miesięcy zabrać ją do Europy, ona zaś bezwzględnie zrobi to, co on, Maurycy, uzna za najlepsze. Miała cichą nadzieję, że uzna, iż najlepiej, aby pozostała w domu. Upłynęło trochę czasu, nim wypowiedział swoje zdanie, przedtem jednak, ciągle spacerując, zarzucił ją pytaniami. Jedno zwłaszcza uderzyło ją szczególnie; wydawało się takie absurdalne.

' – Chciałabyś zobaczyć te wszystkie ich świętości?

– Och. nie. Maurycy! – zapewniła z wyraźną niechęcią Katarzyna.

„Wielkie nieba, cóż za tępa głowa!” – westchnął w duchu Maurycy.

– On sądzi, że ja zapomnę – tłumaczyła Katarzyna. – Że jak zobaczę te wszystkie cuda, to przestanę zaprzętać sobie tobą głowę.

– – Cóż, może i przestaniesz, moja miła.

– Nie mów tak, proszę – przekonywała go łagodnie Katarzyna. – Biedny ojciec będzie zawiedziony.

– Istotnie – zaśmiał się Maurycy – wierzę, że będzie zawiedziony. Za to ty zobaczysz Europę – dorzucił żartobliwie. – Co za podstęp!

– Nie zależy mi na zobaczeniu Europy – oświadczyła.

– Powinno ci zależeć, moja droga; a może to także zmieńczy twego ojca.

Katarzyna, świadoma swego uporu, nie bardzo na to liczyła, nie mogła też pozbyć się uczucia, że jadąc za granicę i jednocześnie pozostając wierną swemu wybrankowi, zakpiłaby sobie z ojca.

– Czy nie uważasz, że byłoby to coś podobnego do oszustwa? – zapytała.

– A czyż on nie zamierza cię oszukać? – wykrzyknął Maurycy. – Będzie miał za swoje. Doprawdy, myślę, że powinnaś jechać.

– I odwlec nasz ślub tak długo?

– Ślub weźmiemy, kiedy wrócisz. Możesz sobie kupić w Paryżu ślubną suknię. – Po czym Maurycy, w tonie bardzo życzliwym, przedstawił jej swój pogląd na tę sprawę. Dobrze by było, gdyby – pojechała; słusność będzie wtedy całkowicie po ich stronie. Dowiodą, że są rozsądni i że gotowi są poczekać. Są tak sobie pewni wzajem, że mogą sobie pozwolić na czekanie – czegoż mają się obawiać? Jeśli istnieje bodaj cień nadziei, że jej wyjazd dobrze usposobi ojca, winno to przesądzić sprawę; bo prawdę mówiąc

on, Maurycy, bardzo by nie chciał stać się przyczyną jej wydziedziczenia. Nie o niego chodzi, tylko o nią i jej dzieci. Przeto gotów na nią czekać; ciężko mu to przyjdzie, lecz wydoła. A może tam, pośród pięknych krajobrazów i sławnych zabytków starszy pan łagodnieje; takie rzeczy wpływają zwykle uszlachetniająco. Może się wzmoczyć jej łagodnością, cierpliwością, jej gotowością do poniesienia wszelkich ofiar z wyjątkiem tej jednej; i jeśli ona przemówi mu do serca któregoś dnia, w jakiejś sławetnej miejscowości, powiedzmy, we Włoszech o wieczornej porze, w Wenecji, ^ gondoli przy księżycu – jeśli tylko zdobędzie się na odrobinę sprytu i dotknie właściwej struny, .może ojciec weźmie ją w objęcia i udzieli przebaczenia. Koncepcja ta silnie podziałała na wyobraźnię Katarzyny. Wydała jej się szczególnie godna błyskotliwego intelektu jej kochanka, aczkolwiek sama patrzyła na to dość nieufnie, jako że wszystko zależało od jej własnych możliwości wykonania.1 Pomysł, żeby zdobyła się na „spryt” w gondoli przy księżycu, zawierał w jej mniemaniu elementy, nad którymi nie dość zręcznie panowała. Wszelako ustalili, że powie ojcu, iż jest gotowa pojechać z nim posłusznie tam, gdzie zechce, z tym milczącym zastrzeżeniem, że (kochana Maurycygo Townsenda goręcej niż kiedykolwiek.

Powiadomiła więc doktora, że jest gotowa do podróży, wobec czego zajął się czym prędzej przygotowaniem do tego wydarzenia. Katarzynę czekały liczne pożegnania, lecz tylko dwa z nich żywiej nas obchodzą. Pani Penniman bardzo szczególnie zapatrywała się na podróż bratanicy; uznała za rzecz nader właściwą, by kobieta, którą los przeznaczył na żonę panu Townsendowi, pragnęła wzbogacić umysł zwiedzając obce kraje.

– Zostawiasz go w dobrych rękach – zapewniła przyciskając usta do czoła Katarzyny (uwielbiała całować ludzi w czoło, dając tym .mimowolny wyraz swej sympatii dla intelektualnej strefy ciała). – Będę go często widywała; będę się

czuła jak starożytna westalka podtrzymująca święty płomień.

– Ładnie postępujesz, ciociu, choć nie jedziesz z nami – odparła Katarzyna nie próbując nawet zgłębić ciotczynej analogii.

– To moja дума dodaje mi otuchy – oświadczyła pani Penniman uderzając się po gorsie sukni, który zawsze wydawał jakiś metaliczny dźwięk.

Pożegnanie Katarzyny z jej umiłowanym było krótkie, a i niewiele przy tym zamienili słów.

– Czy po powrocie zastanę cię niezmienionym? – spytała Katarzyna, choć pytanie to nie było owocem sceptycyzmu.

– Nie, co najwyżej jeszcze bardziej będę stały – rzekł z uśmiechem Maurycy. Nie jest naszym zamiarem opowiadać szczegółowo o poczynaniach doktora Slopera na wschodniej półkuli. Objechał całą Europę podróżując z niemalym przepychem i (czego należało oczekiwać od człowieka tak dużej wiedzy i kultury) znalazł w sztuce i starożytności tyle rzeczy, które go zafrapowały, że pozostawał za granicą nie przez sześć miesięcy, lecz dwanaście.

Tymczasem na Placu Waszyngtona pani Penniman przystosowała się do nieobecności gospodarza. Rada była z bezspornego panowania w pustym domu pochlebiając sobie, że dzięki jej staraniu przyciągał on teraz przyjaciół bardziej niż za bytności doktora. Tak przynajmniej powinien sądzić Maurycy Townsend, dla którego dom ten stał się szczególnie atrakcyjny. Pan Townsend był zresztą najczęstszym gościem pani Penniman, która ogromnie lubiła go zapraszać na herbatę. Miał tam swój fotel – bardzo wygodny – przy kominku w salonie z tyłu domu (kiedy zamknięte były okazałe, rozsuwane mahoniowe drzwi ze srebrnymi okuciami, oddzielające ów pokój od jego bardziej oficjalnego sąsiada), zwykł był też palić cygara w gabinecie nieobecnego gospodarza, gdzie nie- ' raz spędzał godzinkę wertując w jego ciekawych zbiorach. Panią Penniman, jak wiemy, uważał za durnowatą; sam wszakże nie był durniem, a jako młodzieniec o wybrednych gustach i mizernych środkach uznał ten dom za idealny przybytek próżniaczego wygodnictwa i uczynił zeń swój jednoosobowy klub. Pani Penniman widywała teraz siostrę znacznie rzadziej, niż kiedy doktor był w domu, albowiem pani Almond czuła się zmuszona wyrazić swą dezaprobatę dla jej stosunków z panem Maurycym. Bo z jakiego tytułu Lawinia okazuje tak przyjazne uczucia młodemu człowiekowi, o którym doktor tak kiepskie ma mniemanie? Panią Almond dziwiła także lekkomyślność, z jaką siostra podsunęła Katarzynie myśl o tak bardzo godnych pożalowania zaręczynach.

– Godne pożalowania! – obruszyła się Lawinia. – Będzie dla niej cudownym mężem!

– Nie wierzę w cudownych mężów – odpowiedziała pani Almond. – Wierzę tylko w dobrych. Jeśli ją poślubi, a ona odziedziczy pieniądze Augustyna, ich pożycie może jakoś się ułożyć: on będzie sympatycznym, gnuśnym, samolubnym i niewątpliwie w miarę dobrodusznym towarzyszem. Ale jeśli ona nie otrzyma tych pieniędzy, a on będzie z nią już związany, Boże, zlituj się nad dziewczyną! Bo on nie będzie miał litości. Znienawidzi ją za to, że się zawiódł, i będzie się mścił na niej bezlitośnie i okrutnie. Biada nieszczęsnej Katarzynie! Radzę ci porozmawiać z jego siostrą. Szkoda, że Katarzyna nie może jej poślubić, rozmowę z panią Montgomery, bo i nie zadała sobie trudu, Pani Penniman nie miała najmniejszej ochoty na by podtrzymać tę znajomość, zaś efekt tej zatrwającej przepowiedni co do losów bratanicy był taki, że z całego serca pożalowała kawalera, którego szczodrobliwą naturę zaprawiano żółcią. Przyrodzenie dało mu promienną radość życia, a jakże ma być zadowolony, skoro okaże się, że nie ma z czego? Pani Penniman ubrdała sobie, że pan Townsend powinien był już czerpać z fortuny jej brata, do której, jak to spostrzegła wcale bystrze, ona sama niewielkie miała prawa.

– Jeśli nie pozostawi tych pieniędzy Katarzynie, to z pewnością nie dlatego, aby je przeznaczyć dla mnie – powiedziała.

ROZDZIAŁ 24

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy pobytu za granicą doktor ani razu nie napomknął córce o ich drobnym nieporozumieniu – po części zgodnie z planem, po części zaś dlatego, że wiele innych rzeczy zaprzętało jego myśli. Na próżno by usiłował zgłębić uczucia Katarzyny nie pytając jej o to bezpośrednio, bo skoro nie zdradzała skłonności do okazywania swych nastrojów w rodzinnym

otoczeniu, nie mogły jej ożywić góry Szwajcarii czy zabytki włoskie. Była tylko uległą i zrównoważoną towarzyszką swego ojca – w potulnym milczeniu odbywała z nim wycieczki krajoznawcze nie skarżąc się nigdy na zmęczenie, zawsze gotowa wyruszyć o wyznaczonej przezeń poprzedniego dnia godzinie, tnie pozwalając sobie też na żadne głupie krytyki ani wymyślne pochwały. „Inteligencją przypomina tobój z szalikami” – stwierdził w duchu doktor. Jej wyższość wszakże polegała na tym, że o ile tobój z szalikami czasier_ gdzieś się zapodziewa albo stacza się z powozu, ona zawsze tkwiła na swym stanowisku i trzymała się go pewnie, zajmując pokaźną ilość miejsca na siedzeniu. Dla jej ojcał wszakże nie było to niespodzianka, toteż nie musiał przy-ł pisywać intelektualnych niedostatków córki-podróżniczkiej depresji uczuciowej. Katarzyna zresztą wyzbyła się najzupełniej cech ofiary i przez cały czas ich pobytu ZŁ. granicą nawet nie westchnęła głośno. Przypuszczał, że koresponduje z Maurycym, lecz nie wypowiadał się w tym względzie, ponieważ nigdy nie widział listów kawalera, a swe własne listy Katarzyna oddawała zawsze umyślnemu do wysłania. Jej umiłowany pisywał nadzwyczaj regular-i, nie, tylko że korespondencja ta przychodziła w listach pani Penniman, toteż ilekroć doktor wręczał córce pakiecik zaadresowany ręką siostry, stawał się mimowolnym narzędziem owej potępianej namiętności. Katarzyna także to spostrzegła i choć sześć miesięcy wcześniej czułaby się | w obowiązku przestrzec ojca, teraz uważała się za rozgrzeszoną. W sercu chowała żal wywołany jego odpowiedzią, gdy przemówiła do niego, jak jej nakazywał honor;

będzie się starała zadowolić go, jak tylko zdoła, ale nigdy już nie zwróci się do niego w ten sposób. Czytywała tedy listy kochanka potajemnie. Któregoś dnia pod koniec lata tych dwoje podróżników znalazło się w samotnej dolinie w Alpach. Przemierzali właśnie jakąś przełęcz i w trakcie gdy powóz piał się w górę, wysiedli, znacznie go wyprzedzając. W pewnej chwili doktor wypatrzył ścieżkę, która wiodła przez poprzeczną dolinę i która, jak przypuszczał nie bez racji, mogła ich wyprowadzić znacznie wyżej. Podażyli więc tą określną drogą, by w końcu zgubić szlak – dolina okazała się bardzo dzika, nieprzystępna i musieli wręcz przedzierać się do góry. Byli wszelako dobrymi piechurami i przygoda ta ich nie speszyła. Od czasu do czasu przystawali, by Katarzyna mogła wytchnąć trochę. Siadała wtedy na kamieniu spoglądając na postrzępione wo.kół skały i rozjarzone niebo. Było późne popołudnie, koniec sierpnia, i noc już nadciągała, toteż gdy znaleźli się na dużej wysokości, owiało ich powietrze chłodne, przenikliwe. Na zachodzie rozlał się czerwony, zimny blask, przy którym zбочa dolinki wydawały się jeszcze bardziej mroczne, poszarpane. Podczas jednego z takich odpoczynków doktor zostawił Katarzynę i dla lepszego widoku odszedł kawałek na wzniesienie. Zniknął jej z oczu i siedziała teraz sama, w ciszy, w której tylko ledwie dosłyszalnie szemrał jakiś górski strumień. Myślała o Maurycym, który w tym zakątku dzikim i osamotnionym zdawał się przebywać gdzieś na końcu świata. Ojciec nie wracał długo i zaczęła się już zastanawiać, gdzie się podział. W końcu jednak ujrzała go idącego ku niej w przezroczytym zmiernchu, podniosła się więc, by ruszyć w dalszą drogę. On wszakże nie dał znaku, by iść dalej, tylko podszedł do niej blisko, jakby chciał jej coś powiedzieć. Stał przed nią i patrzył jakiś czas oczami pełnymi jeszcze blasku ośnieżonych szczytów, w które wpatrywał się przed chwilą. Nagle, ni stąd, ni zowąd zapytał ją półgłosem:

– Czy go poniechałaś?

Pytanie było nieoczekiwane, lecz Katarzyna tylko pozornie nie była nań przygotowana.

– Nie, ojciec – odpowiedziała.

Przyjrzał jej się znowu dłuższą chwilę, bez słowa.

– Pisuje do ciebie? – spytał w końcu.

– Tak, dwa razy na miesiąc mniej więcej. Doktor powiódł wzrokiem po dolinie, wywijając laską. Na koniec odezwał się tym samym cichym głosem:

– Bardzo rnnie to gniewa.

Zastanawiała się, do czego zmierzał – czyżby chciał ją przestraszyć? Jeśli tak, to wybrał odpowiednio miejsce w tej surowej, posępnej dolinie, której lato nie użyczał światła, dotkliwie odczuwała swą samotność. Rozejrzała się dokoła i serce jej zmartwiało – ogarnęła ją nagła trwo-ł ga. Ciągle jednak nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, ! bąknęła więc tylko grzecznie:

– Przykro mi, ojciec.

– Wystawiasz na próbę mą cierpliwość – podjął doktor – a powinnaś wiedzieć, jaki jestem. Nie za dobry ze mnie człowiek, na pozór bardzo gładki, w gruncie rzeczy jednak bardzo popędliwy. I zapewniam cię, że potrafię być bardzo surowy. Nie mogła zgadnąć, po co jej to wszystko mówił. Czyżby przyprowadził ją tu naumyślnie, czy należało to do jego planu? I jaki jest ten plan? – zapytywała siebie w duchu Katarzyna. Czy chciał przez nagłe zaskoczenie zmusić ją, by się wycofała – skorzystać z tego, że się zlekła? Zlekła czego? To miejsce jest odludne i odpychające, lecz miejsce nie może jej zrobić nic złego. Doktor miał w sobie jakąś milczącą siłę, która sprawiała, że się stawał niebezpieczny," lecz Katarzynie nawet nie przyszło na myśl, że mógłby mieć coś jeszcze w planie, że mógłby na przykład zacisnąć rękę – tę zręczną, piękną i wprawną rękę świetnego lekarza – na jej gardle. Mimo to cofnęła się o krok.

– Jestem pewna, że możesz być, czym tylko zechcesz – powiedziała; i w prostocie ducha rzeczywiście w to wierzyła.

– Bardzo mnie to gniewa – powtórzył doktor już ostrzejszym tonem.

– Dlaczego tak się nagle rozgniewałeś?

– Nie nagle, bo już sześć miesięcy pienię się w duchu ze złości. A teraz tylko miejsce wydawało mi się odpowiednie, by wybuchnąć. Tak tu cicho i jesteśmy sami.

– Tak, bardzo cicho – potwierdziła Katarzyna patrząc wokół siebie niezdecydowanie. – Czy nie wróciłbyś do powozu?

– Za chwilę. Więc chcesz powiedzieć, że przez ten cały czas ani na cal nie ustąpiłaś?

– Zrobiłabym to, gdybym mogła, ojcze; ale nie mogę. Doktor także rozejrzał się dokoła.

– Czy chciałabyś, żeby cię zostawiono w takim miejscu i skazano na śmierć głodową?

– Do czego zmierzasz? – wykrzyknęła.

– To będzie twój los, bo on tak właśnie cię pozostawi. Nie chciał jej dotknąć, lecz dotknął Maurycego. Serce dziewczyny na nowo rozgorzało.

– To ^nieprawda, ojcze! – wybuchnęła. – I nie powinieneś tego mówić. Nie godzi się tak mówić i to nie jest prawda.

Doktor z wolna pokręcił głową.

– Zaiste, nie godzi się dlatego, że nie chcesz w to uwierzyć. Ale to jest prawda. Wracaj do powozu.

Zawrócił i Katarzyna poszła za nim; przyspieszył kroku i po chwili znacznie ją wyprzedził. Od czasu do czasu jednak nie odwracając się przystawał, by mogła go dogonić; dziewczyna z trudem nadażała – serce jej biło z podniecenia na .myśl o tym, że po raz pierwszy odezwała się do niego z niepohamowanym gniewem. Tymczasem ściemniło się już prawie i straciła go na koniec z oczu. Nie zgubiła jednak szlaku i niebawem, gdy dolina skręciła niespodzianie, wyszła na drogę, gdzie stał powóz. Ojciec siedział w nim już, sztywny i milczący; w milczeniu więc zajęła miejsce obok niego.

Kiedy wracała później myślała do tych wszystkich spraw, zdawało jej się, że przez wiele dni po tym zdarzeniu nie zamienili z sobą ani słowa. Niezwykła to była scena, lecz Katarzyna urazy w sercu długo nie chowała, bo przecież to całkiem naturalne, że mógł czasem zrobić jakąś scenę, zresztą, przez sześć miesięcy pozostawiał ją w spokoju. Najdziwniejsze wszakże było to, co powiedział jej o sobie: że nie za dobry z niego człowiek. Katarzyna niemało się głowiła nad tym, co mogło znaczyć takie oświadczenie. Nie trafiało jej do przekonania i żadna niechęć do ojca nie była tu uzasadnieniem. Nawet w przypływie największej goryczy Katarzyna nie znalazłaby satysfakcji stwierdziwszy, że ojciec nie jest taki doskonały. Zatem zdanie to świadczyło tylko o jego wielkiej subtelności – człowiek tak inteligentny może powiedzieć różne rzeczy i różne rzeczy mieć na myśli; a że okazał się nieustępliwy, cóż, u mężczyzny jest to niewatpliwie cnotą.

Zostawił ją w spokoju na dalsze sześć miesięcy – sześć miesięcy, w ciągu których zgadzała się bez sprzeciwu na przedłużanie ich wojażu. Pod koniec wszakże zagadnął ją raz jeszcze – zrobił to w ostatniej chwili, wieczorem, w hotelu liyerpoolskim, w przeddzień odpłynięcia do Nowego Jorku. Siedzieli w dużym, mrocznym, zatęchłym salonie hotelowym; sprzątnięto już ze stołu i doktor jął się z wolna przechadzać po pokoju. Katarzyna sięgnęła więc po świecę, żeby przejść do swej sypialni, lecz doktor skinął na nią, żeby pozostała.

^– Co zamierzasz zrobić po powrocie? – spytał zatrzymując ją w połowie drogi, z świecą w rękę.

– To znaczy... z panem Townsendem?

– Z panem Townsendem.

– Pewnie się pobierzemy.

Doktor przeszedł się jeszcze parę razy po pokoju, podczas gdy ona czekała.

– Czy nadal pisuje do ciebie tak jak zawsze?

– Tale, dwa razy na miesiąc – potwierdziła żywo.

– I ciągle prawi o małżeństwie?

– O tak; to znaczy, o innych rzeczach także, ale zawsze wspomina o małżeństwie.

– Cieszy mnie, że urozmaica temat; inaczej jego listy mogłyby być monotonne.

– On pięknie pisze – zapewniła Katarzyna, szczęśliwa, że znalazła okazję, żeby to powiedzieć.

– Oni zawsze pięknie piszą. Aczkolwiek w tym przypadku nie pomniejsza to jego zasługi. Zatem, gdy tylko wrócisz, pójdiesz sobie z domu ze swoim kawalerem? Katarzynie wydało się, że ojciec dość brutalnie to wyra-, ził; obrażał tę resztkę godności, jaka w niej została.

– Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie wrócimy – powiedziała.

– To dość rozsądnie – odparł doktor. – I o to tylko proszę: żebyś mi naprawdę powiedziała, żebyś powiadomiła mnie konkretnie. Gdy nieszczęsny człowiek ma stracić swe jedyne dziecko, chce być o tym choć z grubsza uprzedzany.

– Och, ojczu, przecież mnie nie stracisz – zaprzeczyła Katarzyna rozlewając wosk z lichtarza.

– Trzy dni wcześniej mi wystarczy – ciągnął ojciec – jeśli będziesz w stanie zdecydować się w tym czasie. Wiesz, że pan Townsend powinien być mi bardzo wdziaczny- Wyświadczyłem mu wielką przysługę zabierając cię z sobą za granicę, bo wiedza i dobry smak, jakiego tu maby-łaś, podwoiły twoją wartość. Rok temu byłaś może trochę ograniczona, trochę surowa; za to teraz, kiedy już widziałas wszystko i wszystko oceniłaś, będziesz najbardziej zajmującą towarzyszką. Utuczono mu owcę na ofiarę.

Katarzyna odwróciła się wlepiając oczy w puste drzwi.

– Idź spać – poradził córce. – Wsiadamy na statek dopiero w południe, więc możesz pospać dłużej. Będziemy pewnie mieli bardzo nieprzyjemną podróż.

ROZDZIAŁ-25

Podróż istotnie była nieprzyjemna, a Katarzyna, przybywszy do Nowego Jorku, nie wynagrodziła jej sobie „pój-ciem z domu” – jak wyraził się jej ojciec – z panem Maurycym. Zobaczyła się z nim wszakże nazajutrz po przyjeździe; tymczasem zaś stał się naturalnym przedmiotem rozmowy naszej bohaterki z ciotką Penniman, z którą jeszcze tej samej nocy zamknęła się w pokoju na długo przedtem, nim się udały na spoczynek.

– Często go widywałam – opowiadała pani Penniman. – Nie tak łatwo go poznać. Ty pewnie myślisz, że go znasz, ale nie znasz go, moja złota. Poznasz go kiedyś, ale dopiero kiedy z nim zamieszkaasz. J a mogę powiedzieć, że nieomal z nim mieszkałam – ciągnęła dalej. Katarzyna wlepiła w nią zdumiony wzrok. – Sądzę, że już go poznałam; miałam po temu nie lada sposobności. Ty także będziesz je miała... właściwie będziesz miała jeszcze lepsze – uśmiechnęła się przy tych słowach. – Wtedy sama się przekonasz. To cudowny człowiek: jest pełen pasji i energii, a przy tym równie szczery.

Katarzyna słuchała z mieszaniną ciekawości i obawy. Ciotka Lawinia głęboko wczuwała się w jej położenie, ona zaś, wędrując w ciągu minionego roku po galeriach i kościołach, przemierzając pocztowymi karetami gładkie drogi, tając myśli, które nigdy nie przeszły jej przez usta, tęskniła częstokroć za towarzystwem inteligentnej osoby swojej płci. Chwilami miała wrażenie, że gdyby opowiedziała jakiejś życzliwej kobiecie o swych sprawach, przyniosłoby jej to ulgę, toteż nieraz miała ochotę zwierzyć się na przykład swojej gospodyni czy miłej młodej osobce u krawcowej. Gdyby miała przy sobie kobietę, w niektórych chwilach z pewnością wypłakałaby się jej na piersi, obawiała się przeto, że tak właśnie odpowie po powrocie na pierwszy uścisk ciotki. Jednakowoż powitanie obu dam na Placu Waszyngtona odbyło się bez łez, a gdy znalazły się sam na sam, jakaś oischłość wkradła się do serca Katarzyny. Uświadomiła sobie bardziej wyraziście, że ciotka przez cały rok raczyła się towarzystwem jej kochanka, i z przykrością słuchała jej opinii i wywodów, które miały świadczyć o tym, że posiadała najdoskonalszą o nim wiedzę. Nie wchodziła tu w grę zazdrość, tylko drzemiące w dziewczynie przecucie niewinnej perfidii pani Penniman jęło ją znów prześladować, toteż cieszyła się, że szczęśliwie powróciła już do

domu. Z tym wszystkim wszakże błogosławieństwem 13S

było móc porozmawiać o młodzieńcu, wymawiać jego imię, być z kimś, kto nie był dlań niesprawiedliwy.

– Okazałaś mu wielką życzliwość – powiedziała ciotce. – Często mi donosił o tym. Nigdy ci tego nie zapomnę, ciociu.

– Robiłam, co mogłam; bardzo niewiele. Pozwalałam mu przychodzić i pogwarzyć ze mną, częstowałam go herbata, i to wszystko. Ciotka Almond uważała, że przesadzam, i okropnie mnie beształa, obiecała .jednak przynajmniej mnie nie zdradzić.

– Nie zdradzić?

– Nie powtórzyć twemu ojcu. Pan Townsend siadywał w jego gabinecie – wyjaśniła pani Penniman parszając śmieszkim.

Katarzyna milczała chwilę. Nie sprawiła jej przyjemności ta wiadomość.

Przywołała też przykre wspomnienie konspiracyjnych obyczajów ciotki. A trzeba tu powiadomić czytelnika, iż Maurycy miał na tyle taktu, by nie wspomnieć

Katarzynie o tym, że przesiadywał w gabinecie jej rodzica. Znał ją ledwie parę miesięcy – podczas gdy ciotka Lawinia znała ją piętnaście lat – a przecież nie popełniłby takiego błędu, by mniemać, że Katarzyna przyjmie to za dobry żart.

– Przykro mi, że pozwoliłaś mu wchodzić do pokoju ojca – rzekła po chwili.

– Ja go tam nie posyłałam, sam wchodził. Lubił oglądać książki i wszystkie te cuda w gablotkach. Poznał wszystko doskonale. On w ogóle wszystko wie o wszystkim.

Katarzyna znów milczała jakąś chwilę. Wreszcie rzekła:

– Chciałabym, żeby znalazł sobie jakąś pracę.

– Już znalazł jakąś pracę. Cudowna nowina! Prosił, żebym ci ją zaraz powtórzyła, Wszedł w spółkę z agentem handlowym. Ustalili wszystko, całkiem niespodzianie, tydzień temu.

Katarzynie wydała się naprawdę cudowna ta nowina; otwierała świetne perspektywy.

– Och, jakże się cieszę! – zawołała; i tym razem, przez chwilę, skłonna była rzucić się ciotce na szyję.

– To znacznie lepsze niż komuś podlegać, a on do tego nie przywykł – ciągnęła pani Penniman. – Dorównuje swojemu partnerowi... są najzupełniej sobie równi.

Widzisz, jak słusznie robił czekając. Chciałabym wiedzieć, co teraz ojciec powie! Mają biuro na ulicy Duane'ego i drukowane wizytówki; przyniósł jedną, żeby mi pokazać. Mam ją u siebie w pokoju, więc zobaczysz jutro rano. To właśnie mi powiedział, jak tu był ostatnio: „Widzi pani, jak słusznie postąpiłem, że czekałem.” Ma pod sobą innych zamiast być podwładnym. Nigdy by nie mógł zależeć od nikogo. Sama mu często mówiłam, że nie widzę go w tej roli.

Katarzyna zgodziła się z tym zdaniem, uradowana, że Maurycy nie zależy od nikogo. Jednakowoż pozbawiona była satysfakcji, jaką mogłaby mieć na myśl o tym, że zakomunikuje triumfalnie tę nowinę ojcu. Bo ojcu byłoby równie obojętne, czy Maurycy założył przedsiębiorstwo, czy też zesłano go na dożywocie. Wniesiono do jej pokoju kufry, przeto dalsze informacje o kochanku na krótki czas zostały zawieszane, tymczasem zaś jęła pokazywać ciotce trofea z wojażu. A zbytków tych była obfitość. Katarzyna przywiozła także prezent dla każdego – dla każdego z wyjątkiem jej wybranka, któremu przywiozła po prostu tylko swe nieodmienne serce. Ciotkę Lawinie nadzwyczaj hojnie obdarzyła, toteż dama ta spędziła pół godziny na rozwijaniu i zwijaniu, wydając przy tym ciche okrzyki wdzięczności i podziwu. Przez pewien czas paradowała po pokoju w przepysznym kaszmirowym szalu, przeginając głowę, by zobaczyć, jak nisko sięga z tyłu frędzla. Szal ten Katarzyna zarzuciła jej na ramiona błagając, by go przyjęła.

– Będę go uważała jedynie za pożyczkę – oświadczyła pani Penniman. – Zostawię ci go, gdy będę umierała... Albo lepiej – dodała całując ponownie bratanicę – zachowam go dla twojej pierwszej dziewczeczki. – Udrapowana w szal, uśmiechała się do Katarzyny.

– Niech się, ciociu, wpierw urodzi – zauważyła Katarzyna.

– Nie lubię, jak tak mówisz – podjęła zaraz pani Penniman. – Katarzyno, czyżbyś się zmieniła?

– Nie, jestem taka sama.

– Nie sprzeniewierzyłaś mu się chyba?

– Jestem dokładnie taka, jaka byłam – odparła Katarzyna; wolałaby, żeby ciotka trochę mniej wczuwała się w jej stan ducha. *

– No to cieszę się. – I pani Penniman dokonała inspekcji swego szala w lustrze.

– A jak tam ojciec? – spytała po chwili utkwivszy wzrok w bratanicy. – Pisałaś

tak zdawkowo... nic z tego nie mogłam wywnioskować.

– Ojciec ma się bardzo dobrze.

– Och, przecież wiesz, o co mi chodzi – rzekła pani Penniman z godnością, która podnosił jeszcze kaszmirowy szal. – Czy nadal jest nieubłagany?

– A jakże!

– Wcale się nie zmienił?

– Jest jeszcze bardziej nieugięty, jeśli to możliwe. Pani Penniman zdjęła z ramion swój wspaniały szal i powoli go zwinęła.

– To fatalnie. Zatem nie udał ci się ten niewinny zamysł?

– Jaki zamysł?

– Maurycy wszystko mi opowiedział. Ten pomysł, żeby go pokonać jego własną bronią, w Europie; wysledzić moment, gdy jakiś sławny widok przyjaźnie go usposobi – wiesz, jakie on ma pretensje do artystycznego smaku – i wtedy go ubłagać, udobruchać.

– Nie próbowałam tego nawet. To Maurycy rzucił taką myśl. Ale gdyby był razem z nami w Europie, przekonałby się, że ojciec nigdy nie poddawał się wzruszeniom w taki sposób. On ma smak artystyczny – nad podziw artystyczny – ale im słynniejsze odwiedzaliśmy miejscowości, im bardziej je podziwiał, tym mniej pożytku odniosłabym ze swoich próśb i błagań. Bo patrząc na nie jakby utwierdzał się tylko w swoim przekonaniu, stawał się jeszcze straszniejszy – wywodziła biedna Katarzyna. – Nigdy go nie udobruchani i niczego się już nie spodziewam.

– Cóż, muszę przyznać – odparła pani Penniman – iż nigdy nie przypuszczałam, że zechcesz z prześlągania ojca zrezygnować.

' – Już zrezygnowałam. Nie obchodzi mnie to więcej.

– Zrobiłaś się bardzo odważna – zaśmiała się pani Penniman. – Ja ci nie radziłam, żebyś się wyrzekła swej własności.

– Tak, jestem teraz odważniejsza. Pytałaś, ciociu, czy się zmieniłam. Otóż tak, w tym sensie się zmieniłam. Och, zmieniłam się ogromnie. A zresztą, to nie jest moja własność. Jeśli jemu na niej nie zależy, czemu miałoby zależeć mnie?

Pani Penniman zawahała się.

– A może mu zależy.

– Zależy .mu ze względu na mnie, bo nie chce mi wyrządzić krzywdy. Ale przekona się... już się przekonał, że nie ma o co się obawiać. Zresztą – dodała Katarzyna

– mam własnych pieniędzy co niemiara. Będziemy żyć w dostatku, a poza tym, przecież założył przedsiębiorstwo; cieszę się z tego niewypowiedzianie. –

Katarzyna rozprawiała z coraz większym podnieceniem. Pani Penniman nigdy jej takiej nie widziała i obserwując bratanicę stwierdziła, że nic innego, tylko ta zamorska podróż zrobiła z niej kobietę bardziej zdecydowaną i dojrzałą. Uznała również, że i wygląd Katarzyny uległ korzystnej zmianie: dziewczyna wyglądała wcale ładnie. Pani Penniman zastanawiała się, czy dostrzeże to pan Maurycy Townsend. I .podczas gdy oddawała saę tym rozważaniom, Katarzyna wybuchnęła nagle, dosyć ostro: – Czemu jesteś tak niekonsekwentna, ciotko Penniman? Raz myślisz to, innym razem co innego. Bok temu, przed wyjazdem, radziłaś md nie baczyć na to, że mogę zrobić przykrość ojcu, a teraz zda się zalecasz mi odmienną taktykę. Jakże zmieniasz zdanie.

Atak był niespodziewany, albowiem pani Penniman nigdy, w żadnej dyskusji, nie oglądała wojny przeniesionej na jej własny teren – może dlatego, że wróg zazwyczaj powątpiewał, czy znajdzie tam oparcie. Wiedziała z doświadczenia, że wrogie siły rzadko penetrowały kwieciste łany jej rozumu. Może więc z tego powodu broniła owych łanów nie tyle zręcznie, co dostojnie.

– Nie wiem, o co mnie oskarżasz, chyba tylko o to, że za bardzo rni leży na sercu twoje szczęście. Po raz pierwszy w życiu usłyszałam, że kapryśna. Tej wady ria ogół mi nie zarzucają.

– Zeszłego roku złościłaś się, że nie wyjdę zaraz za męża, a teraz mi radzisz przekabacić ojca. Mówiłaś, że zasłużył sobie na to, by nic nie wskórać zabierając mnie do Europy. No więc, nic nie wskórał, przeto powinnaś być zadowolona. Nic się nie zmieniło... nic prócz moich uczuć względem ojca. Już mi teraz tak bardzo na tym nie zależy. Byłam' posłuszna, jak umiałam, ale jemu wszystko jedno. Teraz więc i mnie jest wszystko jedno. Nie wiem, czy się zrobiłam nieposłuszna, może tak. Ale nie dbam o to. Wróciłam do domu, by wyjść za męża – wiem tylko tyle. Powinno cię to zadowolić, chyba, że masz jakiś nowy pomysł; jesteś taka dziwna. Rób sobie, co chcesz, ale proszę, nie mów mi więcej, żebym prześlągała ojca. O nic go nie będę więcej błagać; to się skończyło. Odtrącił mnie. Wróciłam do domu, by wyjść za męża.

Tak kategoriycznych słów w ustach bratanicy pani Penniman nigdy dotąd nie słyszała, toteż odpowiednio ją zdumiała. Ścisłej mówiąc, trochę się nawet zatrwożyła, dziewczyna zaś dowodziła swego tak żarliwie, z taką siłą, że nie pozostawiała miejsca na odpowiedź. Pani Penniman zresztą łatwo popadała w trwogę, a zbита z tropu, zawsze gotowa była na ustępstwo, któremu – tak jak w tym przypadku – towarzyszył często nerwowo, cichy śmiechek.

ROZDZIAŁ 26

Jeśli wytraciła bratanicę z równowagi (a od tamtej chwili już nie. przestawała rozprawiać o humorach Katarzyny – rzecz, o której nigdy dotąd nie mówiono w odniesieniu do naszej bohaterki), to nazajutrz Katarzyna miała możliwość odzyskać pogodę ducha. Albowiem pani Penniman przekazała jej słówko od Maurycego, który zapowiedział wizytę powitalną w dzień po jej przyjeździe. Przyszedł tedy po południu, lecz jak można sobie wyobrazić, gabinet doktora Słopera tym razem nie stał przed nim otworem. Przez cały miniony rok pan Townsend poruszał się w nim tak swobodnie i 'beztrosko, że teraz poczuł się jakby skrzywdzony przypomnieniem, iż odtąd musi ograniczyć swój horyzont do salonu frontowego, który pozostawał we władaniu Katarzyny.

– Bardzo się cieszę, że wróciłaś – zaczął. – Rad jestem ogromnie, że cię widzę znowu. – Co mówiąc, z uśmiechem przyjrzał się jej od stóp do głowy, choć jak się później okazało, nie podzielał opinii pani Penniman (która po kobiecemu wnikała bardziej w szczegóły) – opinii, jakoby Katarzyna wyładniała.

Katarzynie wydał się urzekający i potrzebowała trochę czasu, aby znów uwierzyć, że ten piękny młodzieniec należy wyłącznie do niej. Prowadzili długą rozmowę typową dla kochanków – tkliwą wymianę pytań i zapewnień. W tej materii Maurycy odznaczał się nadzwyczajnym darem, który pozwolił mu malowniczo i ciekawie przyozdobić nawet sprawozdanie z debiutu w przedsiębiorstwie agencji – rzecz, o którą jego towarzyszką skwapliwie wypytywała. Zrywał się raz po raz z sofy, na której siedzieli oboje, i krążył po pokoju; za chwilę powracał i przeczesując ręką włosy uśmiechał się do Katarzyny. Był niespokojny – rzecz naturalna u młodzieńca, który dopiero co odzyskał swoją tak długo nieobecna panią; jej samej także przeszło przez myśl, że nigdy nie widziała go tak podnieconym, i fakt ten w jakiś sposób sprawił jej przyjemność. Maurycy zarzucał ją pytaniami o podróże, lecz nie na wszystkie potrafiła odpowiedzieć, zapomniała bowiem, jak się nazywały miejscowości i w jakim porządku je zwiedzali. Była wszakże tak szczęśliwa, tak podniesiona na duchu wiarą, że oto nastał dla niej wreszcie kres utrapień, iż nie wstydziła się swych skąpych odpowiedzi. Zdawało jej się teraz, iż poślubiłaby go bez skrupułów, bez jednego drgnienia, chyba że byłby to dreszcz radości. Uprzedzając też jego za-

pytanie powiedziała, że ojciec wrócił tak samo usposobiony jak i przedtem – że nie ustąpił na cal.

– Nie możemy już tego oczekiwać – oświadczyła – i musimy poradzić sobie sami. Maurycy siedział uśmiechając się i patrząc na nią.

–*– Moje ty biedactwo drogie! – wykrzyknął.

– Nie współczuj mi. Jest mi teraz wszystko jedno; już się z tym pogodziłam. Maurycy nie przestawał się uśmiechać. Nagle wstał i znów się przeszedł po pokoju.

– Pozwól, żebym ja spróbował.

– Żebyś spróbował go przekonać? Tylko go rozzłościś – odparła rezolutnie Katarzyna.

– Mówisz to dlatego, że przedtem tak źle się spisywałem. Ale teraz inaczej bym sobie z nim poczynał. Nabrałem już rozumu; miałem cały rok na rozmyślanie. Potrafię zdobyć się na więcej taktu.

– I o tym właśnie rozmyślałeś cały rok?

– Po większej części. Widzisz, ta myśl nie daje mi spokoju. Nie lubię być pokonany.

– Jak to pokonany, skoro się pobierzemy?

– Oczywiście nie pokonany w kwestii zasadniczej, ale w każdej innej, nie uważasz? W kwestii dotyczącej mojej reputacji, moich stosunków z twoim ojcem, wreszcie moich stosunków z własnymi dziećmi, jeśli je będziemy mieli.

– Starczy nam dla naszych dzieci; starczy nam na wszystko. Czy nie spodziewasz

się, że ci się powiedzie w przedsiębiorstwie?

– Powiedzie się znakomicie i na pewno będziemy żyć dostatnio. Jednakowoż nie chodzi mi tylko o pociechę materialną; chodzi także o moralną... o satysfakcje intelektualną.

– Ja doznaję wielkiej pociechy moralnej już teraz – wyznała bardzo prostodusznie Katarzyna.

– To się rozumie. Ale ze mną jest inaczej. Ja położyłem na szalę własną dumę, by dowieść twemu ojcu, że jest w błędzie, i teraz, gdy stoję na czele kwitnącego przedsiębiorstwa, mogę sobie z nim poczynać jak równy z równym.

Mam świetny plan – pozwól mi tylko przystąpić do dzielenia!

Stał przed nią z rozpromienioną twarzą, z miną zawał dialektu, z rękami w kieszeniach. Wstała więc i ona; spojrzała rzuwając w oczy, zaklinając:

– Proszę cię, nie rób tego, Maurycy. Proszę cię! – I młody człowiek po raz pierwszy usłyszał w jej głosie coś w rodzaju łagodnej, smutnej stanowczości. – Nie możemy domagać się od niego żadnych względów; nie możemy domagać się niczego. Ojciec nie ustąpi i twoje próby nie wyjdą nam na dobre. Wiem o tym... mam dostateczny powód,, żeby wiedzieć.

– A cóż to za powód, jeśli łaska?

Zawahała się przed wypowiedzeniem tego głośno, w końcu jednak wykrztusiła:

– Ojciec nie kocha mnie zbyt czule.

– A niech to! – zachnął się gniewnie Maurycy.

– Nie mówiłabym takich rzeczy, gdybym nie była o tym przekonana. Ale widziałam to i odczułam, tuż przed wyjazdem z Anglii. Rozmawiał ze mną pewnego wieczoru – był to ostatni wieczór – i wtedy to pojęłam. Takie rzeczy się wyczuwa. Nie winiłabym go, gdyby mi nie dał tego odczuć. Nie winie go zresztą, mówię ci tylko, jak się sprawy mają. On nic na to nie poradzi; nie rządzą naszymi uczuciami. Czy ja rządzę moimi? To także mógłby mi powiedzieć. A wszystko dlatego, że on był tak rozmiłowany w mojej matce, którą straciliśmy tak dawno temu. Była piękna i bardzo, bardzo rozumna, błyskotliwa. Ciągle o niej myśli.' Ja nie jestem do niej podobna ani trochę, mówiła mi to ciotka Penniman. Rozumie się, że to nie moja wina, ale i on także nie ponosi winy. Chcę więc tylko powiedzieć, jak wygląda prawda; i że właśnie z tej przyczyny nigdy nie ustąpi, a nie dlatego, że po prostu cię nie lubi.

– Po prostu? – wykrzyknął ze śmiechem Maurycy. – Piękne dzięki.

– Nie zależy mi już na tym, by cię lubił. Na niczym mi nie zależy tak jak dawniej. Inaczej teraz na to patrzę. Czuję, że się rozstałam z moim ojcem.

– Słowo daję! – zdumiał się Maurycy – dziwaczna z was rodzina.

– Nie mów tak... nie mów nic przykrego – zaklinała go dziewczyna. – Musisz być teraz dla mnie bardzo dobry, Maurycy, bo... bo... – zająknęła się – bo zrobiłam dla ciebie bardzo wiele.

– Och, wiem o tym, moja droga.

Katarzyna mówiła do tej chwili bez wzburzenia, na pozór beznamyślnie; łagodnie, rzeczowo, próbowała tylko wytłumaczyć. Jednakowoż wzruszenie, tłumione bezskutecznie, zdradziło się w jej drżącym głosie.

– To niemała rzecz rozstać się z ojcem, którego się przedtem uwielbiało. Jest mi bardzo ciężko, a raczej byłoby, gdybym ciebie nie kochała. Poznasz zaraz, gdy ktoś mówi do ciebie tak, jakby... jakby...

– Jakby co?

– Jakby tobą gardził! – wyrzuciła z siebie Katarzyna. – Ojciec tak właśnie do mnie mówił tamtego wieczoru, nim odpłynęliśmy do Nowego Jorku. Nie powiedział wiele, ale to wystarczy, i myślałam o tym cały czas w drodze do domu. Wtedy to, postanowiłam, że nigdy więcej go o nic nie poproszę i niczego nie będę od niego oczekiwać. Teraz już nie byłoby to naturalne. Musimy być z sobą szczęśliwi. Maurycy, i niech nikomu się nie zdaje, że liczymy na jego przebaczenie. I jeszcze jedno, Maurycy, pamiętaj, żebyś mną nigdy nie pogardzał!

Maurycemu łatwo było złożyć taką obietnicę i uczynił to ze znakomitym skutkiem. Na razie jednak nie przedsięwziął nic, co by mogło być dla niego bardziej uciążliwe.

ROZDZIAŁ 27

Doktor, rzecz prosta, miał o czym mówić z siostrami po powrocie. Nie trudził się zbyt wiele, by opowiedzieć o swoich podróżach pani Penniman czy też podzielić się z nią wrażeniami z dalekich krajów, zadowolając się wręczeniem jej „memento” swych

pozazdrosczenia godnych przeżyć w postaci aksamitnej sukni. Rozmawiał z nią wszakże dłużej o sprawach mających bliższy związek z domem, przy czym pośpieszył ją zapewnić, że jest nadal nieugiętym ojcem.

— Nie wątpię, że pan Townsend raczył cię obficie swoimi towarzystwem i że robiłaś, co mogłaś, żeby mu wynagro-1 dzień nieobecność Katarzyny — rzekł. — Nie pytam o to i nie potrzebujesz mi zaprzeczać. Za nic w świecie nie zadałbym tego pytania i nie naraził cię na kłopot zmuszając i do... hm... wymyślenia odpowiedzi. Nikt ciebie nie zdradził i nikt nie śledził twych poczynań. Elżbieta także nie opowiadała żadnych plotek, zresztą, w ogóle o tobie nie mówiła, tyle że pochwaliła cię za świetny wygląd i także i samopoczucie. Jest to więc mój własny wniosek, indukcja, jak mówią filozofowie. Wydaje mi się prawdopodobne, by zajmujący męczennik znalazł u ciebie schronienie. Pan Townsend dużo przebywał w naszym domu, czuję to i wszędzie. Bo wiesz, my, lekarze, stajemy się po latach bardzo spostrzegawczy, wyczuleni, a moje organa zmysłowe mówią mi, że on siadywał w tych fotelach, w nader swobodnej pozycji, i że grzał się tu, przy tym kominku. Ja mu nie żałuję tej wygody; jest jedyną, jakiej zażywać będzie kiedykolwiek moim kosztem. W rzeczy samej bowiem, niewykluczone, że ja będę mógł oszczędzić na nim. Nie wiem," co mu mówiłaś i co możesz jeszcze mu powiedzieć, lecz chciałbym, abyś wiedziała, że jeśli w nim podsyciałaś wiarę, iż zyska coś trzymając się z uporem Katarzyny, albo że ja choćby o włos zmieniłem po roku swoje stanowisko, to zrobiłaś mu brzydki kawał, za który może domagać się odszkodowania. Nie jestem pewien, czy czasem nie wytoczy ci procesu. Rozumie się, że zrobiłaś to w najlepszej wierze; sama uwierzyłaś, że się zmęczone. Jest to najbardziej bezpodstawne przywidzenie, jakie kiedykolwiek nawiedziło umysł dobrotliwej optymistki. Bynajmniej się nie zmęczyłem; jestem rześki jak wtedy, na początku; starczy mi sił jeszcze na pięćdziesiąt lat. Katarzyna, jak się okazuje, też ani na cal nie ustąpiła. Jest równie rześka, wszystko więc zostało po staremu. Ale o tym wiesz równie dobrze jak i ja. Chcę tylko cię powiadomić, jak jestem usposobiony. Weź sobie to do serca, Lawinio, moja droga. Strzeż się słusznego gniewu zbałamuconego kawTalera goniącego za posagiem!

— Nie powiem, że bym się tego spodziewała — odparła pani Penniman. — Miałam nawet jakąś głupią nadzieję, że wyzbędziesz się tej ohydnej ironicznej nutki, z jaką rozprawiasz o najświętszych sprawach.

— Nie doceniasz ironii, a ta nieraz bardzo się przydaje. Wszakże, nie zawsze jest konieczna i dowiodę ci, jak zgrabnie mogę ją odłożyć na bok. Zatem, chciałbym wiedzieć, czy uważasz, że Maurycy Townsend będzie się upierał?

— Odpowiem ci używając twojej własnej broni — rzekła pani Penniman. — Poczekaj, a się przekonasz.

— I twierdzisz, że to język z mojego własnego arsenału? Nigdy nie powiedziałem czegoś równie prostackiego.

— A zatem, będzie się upierał dostatecznie długo, żeby poważnie cię zaniepokoić. — ' Lawinio, moja miła — wykrzyknął doktor — i ty nazywasz to ironią? Toż to walka na pięści.

Wszelako pani Penniman, mimo wstąpienia w te bokerskie szranki, porządnie była wystraszona, toteż lęk stał się jej doradcą. Doktor tymczasem, wśród licznych zastrzeżeń, zasięgnął rady pani Almond, wobec której okazał się nie mniej szczodroblivy, a za to znacznie bardziej towarzyski,

— Przypuszczam, że podejmowała go tam przez ten cały czas — oświadczył siostrze.

— Muszę zbadać zapasy mego wina. Nie wzdragaj się wyznać mi to teraz. Ja już .powiedziałem wszystko, co miałem jej do powiedzenia w tym przedmiocie.

— Sadzę, że często u was bywał — odparła pani Almond. — Lecz musisz przyznać, że pozostawienie Lawinii w domu samej było dla niej dużą zmianą, toteż całkiem naturalne, że potrzebowała jakiegoś towarzystwa.

— Przyznaję i dlatego nie będę awanturował się o wino; potraktuję to jako rekompensatę dla Lawinii. Gotowa mi powiedzieć, że wypila wszystko sama. Pomyśl, co za niewiarygodny brak smaku ze strony tego fircyka, żeby w podobnych okolicznościach rozgościć się w moim domu... żeby w ogóle tam przychodzić! Jeśli to nie wystarczy, aby go opisać, w takim razie młodzian jest nie do opisanania.

— Jego dewizą jest brać, co dają. Lawinia wspierała go przez rok, a zatem cały zysk po jego stronie.

– Będzie więc musiała wspierać go do końca życia – zawołał doktor. – Ale bez wina, jak mówią przy tables d'hôte.

– Katarzyna powiada, że założył przedsiębiorstwo i z|rabia znaczne sumy. Doktor wytrzeszczył na nią oczy.

– Tego mi nie powiedziała... A Lawinia także nie raczyła. Ach, więc Katarzyna machnęła na mnie ręką. Ale cóż to znaczy wobec dochodów przedsiębiorstwa.

– Na pana Townsenda nie machnęła ręką – zauważyła pani Almond. – Spostrzegłam to od razu. Nic się nie z: niła.

– Nic się nie zmieniła, nie nabrała ani krzty rozumi] Przez cały czas naszej podróży nie dostrzegała ni patyk, ni kamienia, nie obchodził ją żaden obraz, żaden widok, za den pomnik czy katedra.

– Jak miała dostrzegać, skoro czym innym była za przatnięta; sprawami, o których nie przestaje myśleć nawet na sekundę. Rozczula mnie ogromnie.

– I ja bym się rozczulał, gdyby mnie nie złościła. Bo taj właśnie na mnie teraz działa. Próbowałem wszystkie. byłem zaiste bezlitosny. Ale wszystko to na nic się nii zdało. Przylepiła się na amen. I na koniec wypro] wadziła mnie z równowagi. Z początku bawiło mnie ... zgęła i zaciekawiało. Chciałem zobaczyć, czy będzie SIŁ trzymała. Ale, mój Boże, zaspokoilem swą ciekawość! WidzęJ że jest do tego zdolna, i teraz może go odprawić.

– Ona go nigdy nie odprawi – wtrąciła pani Almond.

– Uważaj, bo i ty mnie wyprowadzisz z równowagi. Jeś4 li go nie odprawi, może sama zostać odprawiona, odtraconaj Sytuacja wprost wymarzona dla mej córki. Nie rozumie, że lepiej skoczyć samej, niż czekać, aż ją popchną. A poter będzie się skarżyła na siniaki.

– Ona nigdy nie będzie się skarżyła – wtrąciła znowu pani Almond.

– Tym gorzej. Ale niech mnie diabli, jeśli potrafię zapobiec czemukolwiek.

– Jeśli ma upaść – powiedziała śmiejąc się łagodnie pani Almond – to musimy rozpostrzeć jak najwięcej dywanów, nim upadnie. – Po czym rozwinęła swoją myśl okazując dziewczynie wiele macierzyńskiej troski.

Pani Penniman napisała do Maurycego Townsenda nie zwlekając. Zażyłość pomiędzy tymi dwojgiem doszła już w tym czasie do zenitu, ja jednak muszę się zadowolić odnotowaniem zaledwie paru jej osobliwości. Panią Penniman skłonił do niej swoisty sentyment, który można było źle tłumaczyć, lecz który sam w sobie nie przynosił ujmy biednej damie. Było to romantyczne zainteresowanie tym powabnym a nieszczęśliwym kawalerem, aczkolwiek nie z gatunku tych, o jakie Katarzyna mogłaby być zazdrosna. Pani Penniman w żadnej mierze nie zazdrościła bratanicy. Czuła się tak, jakby była młodzieńcowi matką albo siostrą – matką lub siostrą o naturze uczuciowej – pochłoniętą pragnieniem, aby żył dostatnio i szczęśliwie. Starła się o to z całych sił przez ów rok, kiedy to brat zostawił jej wolną rękę, a jej wysiłki wieńczył sukces, o którym tu już była wzmianka. Nie miała własnych dzieci, a Katarzyna – mirno iż ciotka jak mogła, darzyła ją uwagą, która z natury rzeczy należałaby się młodej latorośli rodu Pennimanów – tylko częściowo wynagrodziła jej tę gorliwość. Dziewczyna bowiem jako przedmiot afektu i starania nigdy nie miała tego malowniczego wdzięku, jaki zdaniem pani Penniman byłby naturalnym przymiotem własnego jej potomstwa. Co zaś do niej samej, to nawet jej pasja macierzyńska byłaby romantyczna i afektowana, a Katarzyna nie była stworzona do wzbudzania romantycznych pasji. Pani Penniman zawsze darzyła ją wielkim przywiązaniem, z czasem jednak stwierdziła, że przy Katarzynie marnuje swoje możliwości. Przeto, mówiąc sentymentalnie, choć nie wydziedziczyła bratanicy, zaadoptowała kawalera, który dostarczał jej tych możliwości pod dostatkiem. Dama ta byłaby nader

14P

szczęśliwa mając urodziwego, zaborczego syna i z najwyższą ciekawością śledziłaby jego miłosne perturbacje. Takim też objawił jej się Maurycy, który podbił ją zrazu i zjednał subtelną, wykalkulowaną rewerencją, czyniąc z tego coś w rodzaju demonstracji, na którą pani Penniman była szczególnie czuła. Rewerencją ta znacznie osłabła później, bowiem młodzieniec nie szafował swymi naturalnymi bogactwami, wrażenie wszakże pozostało i nawet brutalność kawalera nabrała niejako waloru synowskiego. Gdyby pani Penniman miała syna, pewnie by się go obawiała, i w tym stadium naszego opowiadania niewątpliwie obawiała się Maurycego. Był to także rezultat jego zadowolenia się na Placu Waszyngtona. Spoufalił się z nią – tak saimo zresztą, jak by się niechybnie spouf alił z własną matką.

List stanowił ostrzeżenie; donosił, że doktor wrócił w usposobieniu jeszcze bardziej nieprzejednanym niż dotychczas. Pani Penniman mogła była przewidzieć, że Katarzyna dostarczy kochankowi wszelkich wiadomości na ten temat, jednakże wiemy, iż jej przewidywania rzadko były trafne; ponadto uważała, że nie przystoi jej czekać na to, co zrobi Katarzyna. Winna spełnić swą powinność niezależnie od bratanicy. Wspomniałem, że pani Penniman spoufaliła swego młodego przyjaciela, a za dowód niech posłuży fakt, że nie odpowiedział na jej list. Wziął go dostatecznie pod uwagę, a jakże, lecz nie kwapił się z odpowiedzią, tylko czekał ze spokojnym przeświadczeniem, iż otrzyma drugi. „Jego nastrój doprawdy mrozi mi krew w żyłach” – pisała pani Penniman o swoim bracie i mogło się wydawać, że zgodnie z tym stwierdzeniem nie zdoła już całkiem przyjść do siebie. Niemniej, napisała znowu, tym razem wyrażając swoje myśli przy pomocy odmiennej metafory: „Nienawiść, jaką on dla pana żywi, bucha zimnym płomieniem – płomieniem, który nigdy nie zagaśnie” – brzmiał jej list. – „Lecz płomień ten nie rozświetla mroku Twej przyszłości, anie Gdyby m^oSła tego dokonać moja przychylność, do Lńca swych dni zażywałbyś pogody. Niczego nie mogę wydobyć od K Jest tak okropnie skryta jak jej ojciec. Wygląda na to iż spodziewa się rychłego ślubu, bo poczyniła wyraźne przygotowania w Europie – mnogość strojów, dzies-ięc Dar pantofli itd. Mój drogi przyjacielu, nie możesz przecie zało-yc rodzinnego gniazda poprzestając na kilku parach butów! Napisz mi pan, co o tym sądzisz. Z całego serca oragnę Cię zobaczyć, tyle mam do powiedzenia. Straszliwie mi za panem tęskno, dom bez pana wydaje się tak pusty. A. cóż tam słyhać w mieście? Czy interes się rozwija? Poczciwy interesik, doprawdy, jakiż pan jesteś dzielny! Może bym wpadła do pańskiego biura na jakie trzy minutki? Udawałabym klientkę – tak się to chyba nazywa? Przy szłabym coś kupić – jakieś udziały albo coś tam dla kolei. Co pan powiesz na ten projekt? Trzymałabym w ręku siatkę na zakupy jak kobieta z gminu.”

Mimo wzmianki o siatce na zakupy, Maurycy najwyraźniej nie zapalił się do tego planu, bowiem nawet w najmniejszym stopniu nie zachęcił pani Penniman, by odwiedziła go w biurze, które przedstawił jej już przedtem jako miejsce szczególnie, wprost nienaturalnie trudne do odnalezienia. A że nadal domagała się rozmowy – do końca bowiem, po całych miesiącach zażyłych pogawędek, nazywała te' spotkania „rozmowami” – zgodził się na wspólny spacer, ba, na tyle był uprzejmy, że opuścił w tym celu swoje biuro w godzinach, kiedy można się było w nim spodziewać największego ruchu. Nie zdziwił się też wcale, gdy spotkawszy się z nią przy narożniku w dzielnicy pustych posesji i skąpych chodników (pani Penniman ubrała się w miarę możliwości jak „kobieta z gminu”) stwierdził, że mimo jej nalegań na spotkanie, najważniejszą rzeczą, jaką miała mu do przekazania, było zapewnienie o swej solidarności i współczuciu. Takich zapewnień skolekcjonował już całe tomy i nie warto by mu było porzucać intratnego zajęcia tylko po to, by usłyszeć, jak pani Penniman zapewnia go po raz tysięczny, iż jego sprawę uważa za swą własną, wszelako Maurycy sam miał jej coś do powiedzenia. Niełatwo było z tym wystąpić i trud, z jakim mysi swą formułował, przyprawił go o zgryźliwość. – O tak, wiem doskonale, że doktor łączy w sobie właściwości bryły lodu i rozżarzonego węgla – zauważy!. – Katarzyna nie kryła tego przede mną, a pani powtarzałaś mi to do znudzenia. Nie musisz pani mówić więcej; wystarczy mi to najzupełniej. Doktor nie da nam nigdy .ani centa; uważam to za rzecz matematycznie dowiedzioną.

W tym miejscu pani Penniman doznała objawienia:

– Czy nie mógłbyś mu pan wytoczyć sprawy? – Dzig wiła się, że ten prosty środek-nigdy dotąd nie przyszedł jej do głowy.

– Wytoczę sprawę tobie, pani – odparował Ma.u rycy – Jeśli mi zadasz więcej tak gorszących pytań. Mężczyzna powinien dostrzegać swoją klęskę – dodał po chwili.

– Z Katarzyny muszę zrezygnować!

Pani Penniman przyjęła to w milczeniu, choć serce jej za biło. Nie była wcale wcale zaskoczona, bowiem przyzwyczaiła się do myśli, że gdyby Maurycy stanowczo nie mógł dostać tych pieniędzy, wówczas ożenek z Katarzyną nie byłby dlań wskazany. „Nie byłby wskazany” to niejasne określenie; jednakże zwykła przychylność pani Penniman dlc

kawalera kazała jej myśl tę dopowiedzieć i choć nie został ona dotąd wyrażona tak brutalnie, jak to przed chwilą uczynił Maurycy, nasuwała się tak często w ich rozmowach, w swobodnych przerwach między gawędami (kiedy to młody człowiek rozsiadał się wyciągając nogi w miękko wyściełanych fotelach doktorowych), tak często, że pani Penniman zrazu podchodziła do niej z przekonaniem – filozoficznym, jak sobie pochlebiała – by w końcu upodobać ją sobie w głębi ducha. Fakt, że ją pieściła w głębi ducha, świadczy naturalnie o tym, że się jej wstydziała. Zdołała wszakże wstyd zagłuszyć przypominając sobie, że przecieźl była oficjalną protektorką małżeństwa bratanicy. Ta logika nie wytrzymałaby raczej próby dla doktora. Bo zdaniem pani Penniman, Maurycy koniecznie powinien był otrzymać te pieniądze, w czym miała mu dopomóc; ponieważ jednak – z drugiej strony – jasne było, że ich nigdy nie otrzyma, ubolewała gorzko nad tym, że mógłby się ożenić bez nich – taki młody człowiek, który łatwo znalazłby sobie coś lepszego. I gdy doktor po powrocie z Europy wygłosił przytoczoną już tu ciętą mowę, sprawa Maurycyego wyglądała tak dalece beznadziejnie, że cała uwaga pani Penniman skupiła się na tej drugiej wersji jej rozumowania. Gdyby Maurycy był jej synem, poświęciłaby niechybnie Katarzynę dla doskonalszej przyszłości kawalera; a w tym stanie rzeczy ów krok tym dobitniej świadczyłby o jej oddaniu. Niemniej, gdy nagle wetknięto jej niejako w dłoń ów nóż ofiarny, troszkę się wystraszyła. Maurycy uszedł parę kroków i powtórzył cierpko:

– Muszę z niej zrezygnować!

– Zdaje się, że rozumiem pana – rzekła przymilnie pani Penniman.

– Wyrażam się przecieź dostatecznie jasno... dostatecznie obcesowo i brutalnie. Wstydział się i wstyd ten go krępował; a że zupełnie nie znosił skrępowania, czuł, że postępuje niegodziwie i okrutnie. Chciał kogoś obrazić i zaczął, ostrożnie – jako że zawsze był ostrożny – od samego siebie.

– Czy nie mógłbyś pani trochę ściągnąć ją na ziemię? – spytał.

– Ściągnąć na ziemię?

– Przygotować ją... spróbuj pani ująć mi ciężaru.

Pan: Pernims.n przystanęła patrząc nań z wielką powagą.

– Mój biedny Maurycy, czy pan wiesz, jak ona jest w tobie rozkochana?

– Nie, nie wiem. I nie chce wiedzieć. Przez cały czas starałem się o tym nie dowiedzieć. Byłoby to zbyt bolesne,

– Będzie bardzo cierpiała.

– Musisz pani ją pocieszyć. Potrafisz to zrobić, jeśli jesteś mi tak wierna przyjaciółką, za jaką się podajesz. Pani Penniman smutno pokręciła głową.

– Mówisz pan, że „udaję”, iż cię lubię; lecz nie mogę udawać, że cię nienawidzę, Mogę tylko jej powiedzieć, jak wysokie o panu mam mniemanie, a jakaż to pociecha będzie dla niej?

– Doktor pani pomoże; uraduje go to zerwanie, a że człek z niego doświadczony, wymyśli coś na pocieszenie.

– Wymyśli nową torturę – wykrzyknęła pani Penniman. – Boże, uchowaj ją od ojcowskiego pocieszenia! Będzie tylko krakał jej nad głową i powtarzał: „Zawsze ci to mówiłem!”

Maurycy spał kłopotliwie.

– Jeśli ją pani będziesz pocieszać tak jak mnie, to zaiste, nie na wiele się pani przydasz. Diabelnie przykra to konieczność i odczuwam to najdotkliwiej, a pani winnaś ulżyć mojej doli.

– Będę panu sprzyjała do grobowej deski – zapewniła pani Penniman.

– Sprzyjaj mi pani teraz! – I Maurycy ruszył przed [siebie.

Drżąc nieomal, pani Penniman podreptała obok niego.

– Chciałbyś pan, żebym jej powiedziała?

– Nie musisz jej pani mówić, ale możesz... możesz... – j zawahał się szukając w myślach, co też pani Penniman mogłaby uczynić. – Możesz jej pani wytłumaczyć... powiedzieć, że trudno mi się zdobyć na to, by wkroczyć pomiędzy nią a ojca. Nie mogę dostarczyć mu pretekstu, do którego – rzecz odrażająca – tak chętnie się ucieka, prę- [tekstu, że pozbawiam należnych praw dziewczynę.

Pani Penniman nader skwapliwie doceniła piękno tej | przemowy.

– To do pana tak podobne – rzekła. – Taka delikat- | ność uczuć.

Maurycy gniewnie machnął laską.

– Psiakrew! – zakrzyknął jak na przekór. Nie spieszyło to wszakże pani Penniman.

– Wszystko może wypaść lepiej, niż się pan spodziewasz. Katarzyna jest przecież tak bardzo osobliwa. – Tu pani Penniman uznała, iż bez obawy może go zapewnić, że cokolwiek się wydarzy, dziewczyna przyjmie to z wielkim spokojem, nie będzie robić scen. A w miarę jak przedłużał się ich spacer, pani Penniman brała na siebie jeszcze inne rzeczy, i które w sumie złożyły się na znaczny ciężar, podczas gdy Maurycy, jak można sobie wyobrazić, skory był zrzucić wszystko na jej barki. Ani na moment jednak nie dał się otumanić jej bezmyślną gorliwością, wiedział bowiem, że z tego, co obiecywała, zdolna była wykonać znikomą tylko część, toteż im skwapliwiej deklarowała swą gotowość służenia jego sprawie, tym bardziej urastała w jego oczach na idiotkę,

– Co pan uczynisz, jeśli jej pan nie poślubisz? – odważyła się zapytać go w trakcie rozmowy.

– Coś olśniewającego – odparł Maurycy. – Czy nie chciałabyś pani, bym dokonał czegoś olśniewającego? Myśl ta nadzwyczaj uradowała panią Penniman.

– Będę gorzko zawiedziona, jeśli pan tego nie dokonasz.

– Muszę, żeby wynagrodzić sobie tamto. Bo tamto, jak pani sama widzisz, wcale nie jest tak olśniewające.

Pani Penniman rozważała to przez chwilę, jakby można było jeszcze dowieść czegoś przeciwnego; musiała wszakże zrezygnować ze swych usiłowań i aby pozbyć się zakłopotania wynikłego z tej porażki, zaryzykowała znowu:

– Masz pan na względzie... inny związek?

Maurycy skwitował to pytanie refleksją niemal równie zuchwałą jak niedosłyszalną: „Doprawdy, kobiety prześcigają mężczyzn w brutalności.” Głośno zaś odpowiedział:

– Nigdy w świecie!

Pani Penniman, zawiedziona i skarcona, ulżyła sobie wydając cichy, trochę może sarkastyczny okrzyk. Maurycy zaiste był przewrotny.

– Rezygnuję z niej nie dla innej kobiety, lecz dla bogatszej kariery – oświadczył.

Brzmiało to bardzo wzniosie: a jednak pani Penniman, czując, że mu się naraziła, była trochę rozżalona.

– I nie zamierzasz pan już nigdy więcej jej odwiedzić? – spytała cokolwiek cierpko.

– Och nie, przyjdę jeszcze, lecz po cóż to przeciągać? Od jej powrotu byłem cztery razy, a to okropnie kłopotliwe. Nie mogę ciągnąć tego w nieskończoność; nie powinna tego ode mnie oczekiwać, przyznasz pani sama. Kobieta nigdy nie powinna trzymać mężczyzny w zawieszeniu – rzucił na zakończenie.

– Och, ale musisz pan przyjść na ostateczne pożegnanie – nalegała pani Penniman. W jej wyobraźni ostateczne pożegnania ustępowały powagą jedynie pierwszym powitaniom.

ROZDZIAŁ 29

Przyszedł więc znowu, lecz nie zdołał pożegnać się już ostatecznie. Przyszedł jeszcze raz i jeszcze, stwierdzając, że pani Penniman niewiele dotąd uczyniła, by drogę odwrotu usłać mu kwiatami. Wizyty te, jak powiedział, były piekielnie kłopotliwe i młodzieniec zapałał żywą niechęcią do ciotki Katarzyny, która (jak zwykł powtarzać sobie w duchu ostatnimi czasy) uwikłała go w tę kabałę, przeto miała obowiązek z prostego miłosierdzia wydobyć go z niej teraz. Tymczasem pani Penniman w odosobnieniu swego buduaru – jak też, dodajmy, w wymownej atmosferze pokoju Katarzyny, który w owych dniach przypominał alkoję młodej damy rozkładającej swą wyprawę – pani Penniman podsumowała swe zobowiązania i przeraziła się ich ogromem. Zadanie przygotowania Katarzyny i ułatwienia sprawy jej ukochanemu przedstawiało trudności rosnące w miarę, jak się do tego zabierała, toteż krewka Lawinia jęła już nawet powątpiewać, czy aby Maurycy w dobra godzinę przedsięwziął zmianę swego pierwotnego planu. Olśniewająca przyszłość, bogatsza kariera, sumienie uwolnione od wyrzutu, że się wkroczyło w życie młodej damy i pozbawiło ją należnych praw – wszystkie te sukcesy mogły być zbyt drogo okupione. Co do samej Katarzyny, ta nie służyła pani Penniman najmniejszym

wsparciem; biedna dziewczyna najwidoczniej nie podejrzewała, w jakim znalazła się niebezpieczeństwie. Patrzyła na kochankę z niezmienną ufnością i choć mniej ufała ciotce niż młodemu człowiekowi, z którym wymieniła tyle czułych zaklęć, nie dawała jej asumptu do wyznań czy wyjaśnień. Pani Penniman, wahając się i klucząc, uznała Katarzynę za istotę bez rozumu i z dnia na dzień odkładając wielką scenę, jak by to nazwała, krążyła po domu pełna niepokoju ze swą niewybuchłą bombą w rękach. Maurycy był tymczasem bohaterem zaledwie drobnych scenek, lecz nawet i te przekraczały jego siły. Skracał, jak mógł, swoje wizyty, znajdując przeraźliwie mało tematów do rozmowy z panią swego serca. Katarzyna, jak się pospolicie mówi, czekała, aż on wyznaczy dzień, a póki nie był zdecydowany na stanowczy krok w tym względzie, silenie się na rozmowy o rzeczach bardziej abstrakcyjnych wydawało jej się kpina. Obce jej były sztuczki i pozory, toteż nawet nie usiłowała maskować swoich oczekiwań. Czekala, by łaskawie wyznaczył ową datę – czekała skromnie i cierpliwie; to, że odwlekał ową najważniejszą chwilę, mogło się wydawać dziwne, lecz oczywista musiał mieć po temu jakieś swoje racje. Katarzyna – na wzór łagodnych, staroświeckich niewiast – byłaby żoną, która w każdej racji upatruje dobrodziejstwa i faworu, lecz nie oczekuje ich codziennie, tak jak nie czeka co dzień na kamelie. Wszelako młoda dama o najskromniejszych nawet wymaganiach w okresie narzeczeństwa liczy na więcej kwiatów niż w innej porze życia. Tymczasem w owych dniach brakowało w powietrzu aromatu, co w końcu ją zatrwożyło.

– Czy coś ci dolega? – zagadnęła raz kochanka. – Wydajesz się taki niespokojny i wyglądasz blade.

– Nie czuję się najlepiej – odparł Maurycy. Przyszło mu na myśl, że gdyby tylko zdołał wzbudzić w niej dla siebie głębszą litość, mógłby wyjść z tego obronna ręką.

– Boję się, żeś przepracowany; nie powinieneś tak pracować.

– Muszę pracować. – I zaraz dodał z rozmyślną niejako brutalnością: – Nie chcę zawdzięczać ci wszystkiego.

– Och, jakże możesz tak mówić?

– Jestem na to zbyt dumny – uzupełnił Maurycy.

— Tak... jesteś zbyt dumny.

– Cóż, musisz mnie brać takim, jakim jestem – ciągnął. – Nigdy mnie nie odmienisz.

– Nie chce cię odmienić – rzekła miękko. – Wezmę cię takim, jakim jesteś. – Stała nie spuszczać z niego wzroku.

– Wiesz, co ludzie wygadują o mężczyznach, którzy się bogato żenia – podjął Maurycy. – To okropnie nieprzyjemne.

– Ja nie jestem bogata – sprostowała Katarzyna.

– Dostatecznie bogata, by o mnie mówiono.

– Jasne, że o tobie mówią. To jest zaszczyt.

– Zaszczyt, bez którego łatwo bym się obył.

Już, już miała go zapytać, czy przykrości tej nie wynagradza fakt, że biedna dziewczyna, która miała nieszczęście ściągnąć mu ją na głowę, kocha go tak gorąco i wierzy weń tak prawdziwie, lecz zawahała się w obawie, że mógłby dopatrzeć się w tym nacisku, i gdy tak trwała w niepewności, pożegnał ją co prędzej.

Wszelako gdy odwiedził ją ponownie, podzieliła się z nim tą uwagą i po raz drugi zarzuciła mu, że jest zanadto dumny. Powtórzył, że już się nie zmieni, lecz tym razem nie mogła się oprzeć, by mu nie powiedzieć, że przy odrobinie wysiłku zdołałby się zmienić.

Czasem przychodziło mu do głowy, że pomógłby sobie wywołując jakąś sprzeczkę, ale jak tu się pokłócić z panną tak szlachetnie skora do ugody?

– Myślisz, że tylko ty czynisz wysiłki – zaczął. – Czy nie sadzisz, że i ja muszę się zdobyć na wysiłek?

– Teraz tylko ty musisz się na niego zdobyć – rzekła Katarzyna. – Moje wysiłki się skończyły, zaprzestałam ich już ostatecznie.

– Czego nie powiedziałyśmy o moich.

– Musimy razem dźwigać ciężar życia. Powinniśmy tak robić.

Maurycy silił się na naturalny uśmiech.

– Są ciężary, których razem dźwigać nie możemy, na przykład rozłąki.

– Dlaczego mówisz o rozłące?

– O, widzę, że ci się to nie podoba. Wiedziałem, że tak będzie.

– Gdzie ty się wybierasz, Maurycy? – zapytała nagle Katarzyna.

Popatrzył na nią dłużej i przez ułamek chwili czuła lęk przed tym spojrzeniem.

– Obiecujesz, że nie zrobisz sceny?

– Sceny? Czy ja robię sceny?

– Wszystkie robicie! – Maurycy powiedział to jak ktoś bardzo doświadczony.

– Ja nie. Dokąd się wybierasz?

– Jeśli powiem, że wyjeżdżam w interesach, czy wyda ci się to czymś bardzo dziwnym?

Katarzyna rozważała chwilę nie spuszczać z niego oczu.

– Tak... to znaczy nie, o ile mnie weźmiesz z sobą.

– Wziąć cię z sobą?... Gdy jadę załatwić sprawy?

– Co masz do załatwienia? Twoją sprawą jest być przy mnie.

– Przy tobie nie zarobię na swoje utrzymanie. Choć właściwie – wykrzyknął w nagłym olśnieniu – nic innego nie robię, przynajmniej tak ludzie mówią!

Cios ten powinien może ugodzić mocno Katarzynę, lecz okazał się chybiony.

– Dokąd się wybierasz? – powtórzyła tylko.

– Do Nowego Orleanu... po bawełnę.

– Chętnie pojedę do Nowego Orleanu – oświadczyła.

– Czy sądzisz, że zabralbym cię do siedliska żółtej febrы? Sądzisz, że narażałbym cię w takiej porze?

– Jeśli tam panuje żółta febra, to czemu się wybierasz? Nie możesz jechać, Maurycy.

– Zarobię sześć tysięcy, załujesz mi tej satysfakcji?

– Niepotrzebne nam te sześć tysięcy. Za dużo myślisz o pieniądzach.

– Dobrze ci mówić. Dla mnie to jest wielka szansa. Dowiedzieliśmy się o niej zeszłej nocy. – Po czym ją tłumaczył Katarzynie, na czym polega owa szansa.

Snuł długą opowieść, co rusz ją zagłębiając się w szczegóły nadzwyczajnej transakcji, którą on i jego partner zamierzali właśnie przeprowadzić.

Jednakowoż wyobrażnia Katarzyny, z przyczyn najlepiej wiadomych jej samej, za nic nie chciała się rozpałić.

– Jeśli ty możesz jechać do Nowego Orleanu, to i ja mogę pojechać – przekonywała. – Dlaczego nie miałbyś się zarazić żółtą febrą równie łatwo jak i ja? Nie jestem ani trochę mniej odporna i wcale się nie boję żadnej febrы. W Europie bywaliśmy w bardzo niezdrowych miejscowościach i ojciec kazał mi brać jakieś pigułki, ale nigdy niczego się nie nabawiłam i nigdy się nie denerwowałam. Co nam przyjdzie z tych sześciu tysięcy, jeśli umrzesz na żółtą febrę? Człowiek, który właśnie zamierza się ożenić, nie powinien za dużo myśleć o interesach. Nie powinien myśleć o bawełnie, powinien myśleć o mnie. Do Nowego Orleanu możesz pojechać innym razem – bawełny nie zabraknie. To nie jest odpowiednia chwila, czekamy już zbyt długo. – Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, z takim przekonaniem, że nigdy nie słyszał jej tak rozprawiającej, a mówiąc, oburącz trzymała go za ramię.

– Powiedziałaś, że nie zrobisz sceny – zawołał. – A ja uważam to za scenę.

– To ty robisz scenę. Nigdy cię o nic nie prosiłam. Czekamy już zbyt długo. – Myśl, że tak niewiele od niego żądała do tej pory, była jej pociechą; pozwalała niejako okazać teraz więcej stanowczości.

Maurycy zastanowił się chwilę.

– A więc świetnie – rzekł – nie będziemy o tym więcej mówić. Listownie załatwię swoje interesy. – I ją wygładzać kapelusze, jakby zbierał się do wyjścia.

– Chyba nie odchodzisz? – Katarzyna przygwoździła go spojrzeniem.

Ciągle jeszcze nie chciał zrezygnować z zamiaru wywołania sprzeczki; to przecież był najprostszy sposób. Opuścił wzrok na jej twarz ku niemu podniesioną i rzeki z najbardziej marsową miną, na jaką tylko mógł się zdobyć:

– Jesteś nierozważna. Nie wolno ci ode mnie nic wymuszać. Ale Katarzyna zgodziła się z tym, jak zwykle.

– Tak, jestem nierozważna. Wiem, że zbyt nalegam. Ale czy to nie jest naturalne? Przecież to tylko chwilowo.

– Chwilowo możesz wyrządzić wiele złego. Postaraj się być spokojniejsza, jak przyjdę następnym razem.

– Kiedy przyjdziesz?

– Chcesz stawić mi warunki? Przyjdę w sobotę.

– Przyjdź jutro – prosiła. – Chcę, żebyś przyszedł jutro. – I dodała: – Będę się bardzo spokojnie zachowywać. – Powiedziała to już w tak silnym podnieceniu, że obietnica jej wcale nie była niestosowna. Ogarnął ją bowiem nagły lęk. Było to tak, jakby zbiegł się w jedno tuzin pojedynczych, oderwanych wątpliwości, i

dziewczyna jednym skokiem przemierzyła myślami potężny szmat drogi. W tej chwili całą swą istotą pragnęła tylko jednego: żeby zatrzymać go w pokoju. Maurycy pochylił się i złożył pocałunek na jej czole.

– Gdy jesteś spokojna, przedstawiasz sobą istną doskonałość – rzekł. – Przemoc nie licuje z twą naturą.

Katarzyna nie chciała okazywać żadnej gwałtowności poza biciem serca, któremu zaradzić nie umiała. Ponowiła tedy swe pytanie możliwie najłagodniej:

– Czy obiecasz mi, że przyjdiesz jutro?

– Powiedziałem, że w sobotę! – uśmiechając się odparł Maurycy. Nie wiedział już, co począć; próbował na przemian to uśmiechu, to marsowej miny.

– Ależ tak, w sobotę także. – Katarzyna próbowała się uśmiechnąć. – Ale najpierw jutro. – Zmierzał już do drzwi, więc prędko podążyła za nim i przegrodziła mu je ramieniem. Zdawało jej się, że zrobiłaby wszystko, aby go zatrzymać.

– Jeśli nie będę mógł przyjść jutro, powiesz, że cię oszukałem. ,

– Jak to nie będziesz mógł? Możesz przyjść, jeśli zechcesz.

– Jestem człowiekiem czynu, nie podskakiewiczem! – wykrzyknął surowo Maurycy. Głos jego zabrzmiał tak twardo i nienaturalnie, że dziewczyna, patrząc nań bezradnie, odsunęła się od drzwi. Wówczas co prędzej położył rękę na klamce. Miał wrażenie, że ucieka od niej raz na zawsze. Katarzyna jednak w mgnieniu "oka znalazła się znów przy nim i cichym, acz przejmującym szeptem powiedziała:

– Chcesz mnie opuścić, Maurycy.

– Tak, na krótki czas.

– Na jak długo?

– Póki znowu nie zmądrzejesz,

– Nigdy nie zmądrzeję tak, jak ty to sobie wyobrażasz. – Próbowała go zatrzymać jeszcze chwilę; prawie walczyli teraz z sobą. – Pomyśl o tym, co zrobiłam! – wybuchnęła. – Maurycy, przecież ja zrezygnowałam ze wszystkiego.

– I wszystko to odzyskasz.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś czegoś nie zamierzał. Co zamierzasz zrobić? Co się stało? Co ja uczyniłam? Dlaczego się zmieniłeś?

– Napiszę ci to... tak będzie lepiej – bąknął Maurycy.

– A, więc nie wrócisz więcej! – krzyknęła Katarzyna i rozplakała się.

– Katarzyno, moja miła, nie myśl tak. Obiecuję ci, że jeszcze mnie zobaczysz. – Co powiedziawszy, zdołał wydostać się z pokoju i zamknąć za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 30

Był to bodaj ostatni w jej życiu wybuch namiętności, a przynajmniej o żadnym innym nic już nie wiadomo. Ten wszakże trwał długo i był straszliwy; dziewczyna rzuciła się na sofę dając upust swej żalości. Nie bardzo wiedziała, co się stało; na pozór zaledwie posprzeczała się z kochankiem – innym dziewczynom też się to zdarzało przed nią – więc nie tylko nie należało tego uważać za zerwanie, ale nawet nie było potrzeby dopatrywać się w tym zagrożenia. A jednak coś ją zraniło, nawet jeśli on nie zadał rany. Miała wrażenie, że nagle zrzucił maskę z twarzy. Chciał się uwolnić od niej, był zagniewany i okrutny, mówił dziwne rzeczy i dziwnie przy tym na nią patrzył. Dziewczyna była oszołomiona i przybita. Wtuliła głowę w poduszki i łkając mówiła coś do siebie. W końcu wstała w obawie, że do pokoju mógłby wejść ojciec albo ciotka. Siedziała teraz patrząc przed siebie w gęstniejącym mroku. Przyszło jej na myśl, że może Maurycy wróci, aby jej powiedzieć, że wcale nie myślał tak, jak mówił. Nasłuchiwała, czy nie zadzwoni do drzwi, próbując uwierzyć w tę możliwość. Lecz czas mijał, a jego wciąż nie było.

Mrok narastał; wieczór zawładnął skromną elegancją jasnego, utrzymanego w jednolitych, czystych barwach salonu. Zgasł ogień na kominku. Gdy się ściemniło, Katarzyna podeszła do okna i wyjrzała. Pozostała przy nim jeszcze z pół godziny w nadziei, że Maurycy pojawi się na schodach. Cofnęła się na widok wchodzącego ojca. Dojrzał ją przy oknie i przystanął chwilę u stóp białych schodów, aby uroczyście, z przesadnym ugrzecznieniem uchylić kapelusza. Gest ten – ów dworny szacunek okazany nie w porę wzgardzonej, opuszczonej, nieszczęsnej Katarzynie – tak bardzo nie licował z jej obecnym położeniem, że przerażona uciekła do swego pokoju. Zdawało jej się, że poniechała już Maurycyego.

Pół godziny później musiała pokazać się na dole i tylko usilne pragnienie, by ojciec nie spostrzegł, że coś się wydarzyło, pomogło jej opanować się przy stole. Pomogło jej i później – od początku bardzo się przydało, choć nie tak dalece, jak sądziła. Tym razem, przy stole, doktor Sloper zdradzał wyraźną skłonność do rozmowy. Opowiadał niezliczone historyjki o cudownym pudlu, którego widział w domu pewnej starszej damy, swej pacjentki. Katarzyna dokładała starań, by sprawić wrażenie, iż słucha ojcowskich opowieści, co więcej, próbowała się nimi zainteresować, żeby tylko nie myśleć o scenie z Maurycym. Może to wszystko jej się przywidziało? Była zazdrosna, on zaś się pomylił. Ludzie nie zmieniają się tak z dnia na dzień. Przypomniała sobie jednak, że i przedtem miała wątpliwości – jakieś niezrozumiałe podejrzenia, mgliste i dotkliwe jednocześnie – i że Maurycy zmienił się już od jej powrotu z Europy... Znów usiłowała słuchać ojca, który tak znakomicie opowiadał. Później od razu poszła do siebie do pokoju; nie starczyło jej sił na to, żeby spędzić wieczór z ciotką. Spędziła go więc w odosobnieniu, zadając sobie mnóstwo pytań. Spotkała ją okropna przykrość, lecz czy to sprawa jej imaginacji, wytwór przesadnej wrażliwości, czy też fakt bezsporny? I czy najgorsze, co mogło się wydarzyć, właśnie przyszło? Pani Penniman, z pewną dozą taktu równie chwalebne jak niezwykle u tej damy, zdecydowała się zostawić ją w spokoju. Prawdę rzekłszy, wzmogły się jej podejrzenia, toteż – jak przystało na osobę bojaźliwą – wolała, żeby wybuch został zlokalizowany. Tymczasem, póki powietrze wokół wibrowało, trzymała się z daleka. •'

Kilka razy w ciągu wieczora przespacerowała pod drzwiami pokoju Katarzyny, jakby się spodziewała, że dobiegną stamtąd jęki żalu. Ale w pokoju panowała głucha cisza. Stosownie więc do tego zapukała dopiero tuż przed pójściem na spoczynek. Katarzyna siedziała z książką w ręku udając zaczytaną. Nie miała ochoty się położyć, bo nie wierzyła, że uda jej się zasnąć. Przesiedziała tak pół nocy po wyjściu pani Penniman, której bynajmniej nie zatrzymywała. Ciotka wśliznęła się cichutko do pokoju i przemówiła z wielkim namaszczeniem:

– Obawiam się, że masz jakieś zmartwienie, moja droga. Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie mam żadnego zmartwienia i niepotrzebna mi jest żadna pomoc – skłamała bez zajknięcia Katarzyna dając tym dowód, że nie tylko nasze błędy, ale i najbardziej niezawinione przeciwności losu mają szkodliwy wpływ na nasz pion moralny.

– Czy nie spotkało cię nic złego?

– Nic zupełnie.

– Czy aby na pewno, kochanie?

– Z całą pewnością.

– I rzeczywiście w niczym ci nie mogę pomóc?

– W niczym, ciociu, lecz bądź tak dobra i zostaw mnie samą. Pani Penniman, która przedtem bała się, że zostanie zbyt

gorąco };:::ywitana, teraz doznała zawodu wobec przywitania tak chłodnego.

Relacjonując później dzieje zerwanych zaręczyn bratanicy – które to dzieje opowiadała wielu ludziom i w rozlicznych wersjach – nie omijała zwykle okazji, by nadmienić, że w pewnych okolicznościach młoda dama „wypchnęła” ją z pokoju. Fakt ten – rzecz typowa dla pani Penniman – przytaczała nie ze złośliwości wobec bratanicy, której współczuła dostatecznie, a jedynie z naturalnej skłonności do upiększania wszystkiego, czego się tylko tknęła.

Katarzyna, jako się rzekło, przesiedziała pół nocy, jak gdyby ciągle się jeszcze spodziewała, że Maurycy Town-send zadzwoni do drzwi wejściowych. Oczekiwanie to nazajutrz nie było tak irracjonalne, lecz młody człowiek nie wynagrodził go pojawieniem się na Placu Waszyngtona, Nie napisał też ani słowa wyjaśnienia czy otuchy. Szczęściem dla Katarzyny, pomocą w tym stanie głębokiego zaniepokojenia była jej usilna wola, by ojciec nie spostrzegł, że coś się wydarzyło. A jak skutecznie zwiódła ojca, będziemy mieli okazję się przekonać. Jej niewinne sztuczki wszakże nie na wiele się zdały wobec osoby o tak rzadkiej przenikliwości, jaką zdradzała pani Penniman. Dama ta łatwo dostrzegła niepokój Katarzyny, a nie należała do tych, którzy by w obliczu narastającego niepokoju zrezygnowali ze swego naturalnego w nim udziału. Następnego wieczora tedy przypuściła nowy atak domagając się od bratanicy, by jej się zwierzyła, zrzuciła ciężar z serca. Może ona, ciotka Penniman, potrafi jej wytłumaczyć pewne rzeczy, które teraz przedstawiają się niejasno, a o których wie więcej, niż dziewczynie się wydaje. Katarzyna, poprzedniej nocy lodowata, tym' razem potraktowała ją

wyniośle.

– Jesteś, ciociu, w wielkim błędzie i pojęcia nie mam, o co ci chodzi. Nie wiem, co mi usiłujesz wmówić, i niepotrzebne mi niczyje wyjaśnienia.

Tym sposobem uwolniła się od ciotki, odgradzając się od niej z godziny na godzinę. A ciekawość ciotki z godziny na godzinę rosła. Pani Penniman oddałaby wszystko za to, żeby się dowiedzieć, co powiedział i co zrobił Maurycy, jaki przybrał ton, jakim posłużył się pretekstem. Napisała do niego oczywiście, domagając się rozmowy, lecz na petycję tę – co równie oczywiste – nie otrzymała odpowiedzi. Maurycy nie był usposobiony do pisania, bo i dwa małe bileciki Katarzyny nie doczekały się potwierdzenia. Listy te były tak krótkie, że mogę przytoczyć je w całości. „Czy nie dasz mi żadnego znaku, że nie zamierzałeś być tak okrutny, jak wydałeś się we wtorek?” – brzmiał pierwszy; drugi był nieco dłuższy: „Przebacz, proszę, jeśli we wtorek okazałam nierozsądek albo podejrzliwość – jeśli cię zirytowałam czy przyprawiłam o zmartwienie – obiecuję, że nigdy już nie będę tak niemądra. Dostatecznie już zostałam ukarana i nie pojmuję, co się stało. Zabijasz mnie, kochany!” Bileciki te zostały przesłane w piątek i w sobotę, lecz minęła sobota i niedziela, nie przynosząc biedaczce żadnego pocieszenia. Potęgowała się jej kara, znosiła ją wszakże z niemalym, choć pozornym męstwem. W sobotni rano doktor, który śledził ją w milczeniu, powiedział do Lawinii:

– No i stało się. Łotr już się wycofał!

– Nie może być! – obruszyła się pani Penniman, która z dawna obmyśliła, co powiedzieć Katarzynie, lecz nie przyjęła żadnej taktyki obronnej względem brata, toteż sięgnęła po jedyną broń, jaką dysponowała: zaprzeczyła z oburzeniem.

– Poprosił więc o zwłokę, jeśli wolisz.

– Zdajesz się być uradowany tym, że ktoś sobie zażartował z uczuć twojej córki.

– Bo i jestem – przyznał doktor. – Przepowiedziałem, że tak będzie! To wielka przyjemność stwierdzić, że się miało rację.

– Twoje przyjemności budzą w ludziach dreszcze! – wykrzyknęła pani Penniman.

Tymczasem Katarzyna oddawała się bez uchybień zwykłym swym zajęciom, tyle tylko, że nie chciała pójść z ciotką w niedzielę rano do kościoła. Chadzała z nią zwykle również na popołudniowe nabożeństwo, tym razem wszakże zabrakło jej odwagi i poprosiła panią Penniman, aby poszła sama.

– Jestem pewna, że skrywasz przede mną jakąś tajemnicę – rzekła pani Penniman bardzo znacząco, przyglądając jej się uporczywie.

– Jeśli nawet, to zachowam ją dla siebie – skwitowała ją Katarzyna.

Pani Penniman wyruszyła do kościoła, po drodze jednak zatrzymała się i zawróciła. Nie minęło dwadzieścia minut, gdy wkroczyła znów do domu, zajrzała do pustych salonów, po czym wbiegłszy na górę zapukała do pokoju Katarzyny. Nie otrzymała odpowiedzi. Katarzyny w nim nie było i po małej chwili pani Penniman stwierdziła, że nie ma jej także w domu. „Poszła do niego! Uciekła!” – wykrzyknęła Lawinia załamując ręce z podziwu i zazdrości. Zaraz jednak spostrzegła, że Katarzyna nic z sobą nie zabrała – wszystkie jej rzeczy osobiste pozostały w pokoju nie ruszając – uchwyciła się więc skwapliwie przypuszczenia, że dziewczyna poszła do niego nie z czułościami, tylko z pretensjami, „Poszła za nim aż na próg jego własnego domu! Dopadła zwierza w jamie!” – tak oto przedstawiła sobie pani Penniman wyprawę bratanicy, a przedsięwzięcie to, w tym świetle oglądane, zadowalało jej romantyczne tęsknoty w stopniu tylko niewiele mniejszym niż wizja sekretnego ślubu. Odwiedzić kochankę wśród łez i wyrzutów w jego własnym domu był to obraz tak miły wyobraźni pani Penniman, że odczuwała niejako estetyczny zawód, iż nie towarzyszyły mu zgodnie ciemności i huraganowa burza. Ciche niedzielne popołudnie nie wydawało jej się odpowiednim tłem dla tego wydarzenia, toteż za nic nie mogła się dostroić do rygorów czasu, który włókł się w nieskończoność, podczas gdy ona w kapeluszu i swym kaszmirowym szalu czekała w salonie na powrót Katarzyny.

Doczekała się go wreszcie. Dostrzegła ją z okna wchodzącą na schody, pośpieszyła więc do hallu i ledwie dziewczyna przekroczyła próg, rzuciła się ku niej i pociągnawszy ją do salonu, uroczyście zamknęła za sobą drzwi. Katarzyna była zapłoniona, oczy jej błyszczały. Pani Penniman nie wiedziała dobrze, co ma o tym sądzić.

– Czy wolno mi zapytać cię, gdzie byłaś? – zaczęła.

– .Byłam na przechadzce – odparła Katarzyna. – Sądziłam, że poszłaś, ciociu, do

kościola.

– Poszłam do kościoła. Ale nabożeństwo trwało krócej niż zazwyczaj. A czy mogę wiedzieć, gdzie też się przechadzałaś?

– Nie wiem! – odrzekła dziewczyna.

– Twoja niewiedza mnie zdumiewa! Katarzyno, moja miła, możesz przecież mi zaufać.

– W czym mam ci zaufać, ciociu?

– Możesz mi powierzyć swoją tajemnicę... podzielić się zmartwieniem.

– Nie mam żadnego zmartwienia! – powiedziała z naciskiem. Katarzyna.

– Moje biedne dziecko – nastawała pani Penniman – mnie nie oszukasz. Proszono mnie, by... by z tobą porozmawiać.

– Ja nie chcę rozmawiać!

– To ci sprawi ulgę. Czy nie znasz słów Szekspira: „Ból, co rna zamknięte usta”? Moja złota, tak jest lepiej.

– Jak jest lepiej?

Doprawdy, była zbyt wykrętna. Młodej damie porzuconej przez kochanka wolno nieco poprzekręcać fakty, nie na tyle jednak, by nie dogadzało to jego obrońcom.

– Lepiej być rozsądną – rzekła pani Penniman cokolwiek ostro. – Lepiej posłuchać głosu życiowej roztropności, postąpić, jak każe trzeźwy namysł. Powinnaś przystać na... na rozstanie.

Katarzyna, która słuchała dotąd z lodowatą twarzą, na dźwięk tego słowa rozgorzała.

– Rozstanie? Czy słyszałaś o tym, że się rozstaniemy? Pani Penniman pokręciła głową ze smutkiem, w którym czuło się niemal poczucie krzywdy.

– Twoja дума jest także moją dumą – oświadczyła. – I twoje odczucia są moimi.

Doskonale widzę rzecz od twojej strony, ale... –: tu uśmiechnęła się melancholijnie a znacząco – ogarniam także wzrokiem cała sytuację!

Katarzyna nie dostrzegła tej aluzji i ponowiła swe burzliwe dochodzenie:

– Czemu mówisz o rozłące? Co ty o tym wiesz?

– Trzeba się uczyć godzić z losem... – pani Penniman zawahała się, lecz na wszelki wypadek powiedziała to sentencjonalnie.

– Z czym tedy trzeba się pogodzić?

– Ze zmianą... naszych planów.

– Moje plany nie uległy zmianie! – zaśmiała się Katarzyna.

– Ale pan Townsend zmienił plany – wyjaśniła bardzo uprzejmie pani Penniman.

– Co to znaczy?

Pytanie brzmiało zwięźle i rozkazująco, przeciw czemu pani Penniman czuła się zmuszona protestować; ostatecznie, wyświadczyła przysługę bratanicy podejmując się dostarczenia jej tej informacji. Próbowała już wybiegów, próbowała surowości – wszystko na nic. Oburzał ją upór dziewczyny.

– No cóż – rzekła – skoro ci tego nie powiedział... – i odwróciła się do wyjścia.

Katarzyna śledziła ją chwilę bez słowa; zaraz wszakże pospieszyła za nią zatrzymując ją przy drzwiach.

– Czego mi nie powiedział? Do czego zmierzasz i co mają znaczyć te aluzje i przestrogi?

– Czyżbyście nie zerwali?

– Zaręczyn? Skądże znowu!

– W takim razie bardzo cię przepraszam. Za wcześniej się wypowiedziałam.

– Za wcześniej? Wcześniej czy później – wybuchnęła Katarzyna – wypowiedasz się głupio i okrutnie!

– Co tedy zaszło między wami? – spytała ciotka porażona szczerością jej wybuchu – bo coś przecież zająć musiało.

– Nic nie zaszło i kocham go coraz więcej!

– I pewnie dlatego poszłaś zobaczyć się z nim dzisiaj po południu – rzuciła po chwili milczenia pani Penniman. Katarzyna spłoszyła, jakby ją uderzono.

– Tak, chciałam się z nim widzieć! Ale to moja sprawa.

– Świetnie, nie będziemy o tym więcej mówić. – I pani

Penniman-znow skierowała się ku drzwiom. Zatrzy^ł ją jednak nagły, błagalny krzyk dziewczyny:

– Ciotko Lawinio, dokąd on pojechał?

– Ach, więc przyznajesz, że wyjechał! A czy u niego w domu nic o tym nie wiedzą?

– Powiedziano mi, że wyjechał z miasta. Więcej nie pytałam. Wstydziałam się –

przyznała dość prostodusznie
Katarzyna.

– Nie musiałybyś zrobić tego poniżającego kroku, gdybyś miała troszkę więcej zaufania do mnie – zauważyła pani Penniman wyniośle.

– Czyżby pojechał do Nowego Orleanu? – ciągnęła swoje Katarzyna.

Pani Penniman po raz pierwszy usłyszała o Nowym Orleanie w tym kontekście, za nic jednak nie chciała zdradzić przed Katarzyną swej niewiedzy. Spróbowała przeto zaczerpnąć natchnienia z poleceń otrzymanych od Maurycego.

– Katarzyno, moja złota – podjęła – skoro zapadło postanowienie o rozłące, im dalej pojedzie, tym lepiej.

– Postanowienie? Czy on to postanowił z tobą? – Już od pięciu minut Katarzynę prześladowała pełna świadomość wścibskiej pasji ciotki i robiło jej się słabo na myśl o tym, że ciotka dysponowała niejako wedle woli jej osobistym J| szczęściem.

– Naturalnie, że czasem zasięgał mojej rady – odparta pani Penniman.

– A więc to ty go odmieniłaś, przez ciebie stał się tak nienaturalny? – wykrzyknęła Katarzyna. – Ty go urabiałaś i odtrącałaś go ode mnie? On do ciebie nie należy i nie widzę, dlaczego musisz mieć coś wspólnego z tym, co jest między nami! Czy to ty namotałaś tę intrygę, ty mu powiedziałaś, żeby mnie opuścił? Jak mogłaś być tak nikczemna, tak okrutna? Co ja ci zrobiłam? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? Bałam się, że popsujesz wszystko; bo ty istotnie psujesz wszystko, czego tylko dotkniesz! Bałam się ciebie przez cały czas, kiedyśmy byli za granicą; nie zanałam spokoju, gdy tylko sobie pomyślałam, że stale z nim rozmawiasz. – Katarzyna ciągnęła coraz bardziej zapalczywie; w goryczy i jasnowidzeniu zrodzonym z namiętności – jasnowidzeniu, które nagle, przeskoczywszy wszystkie stadia, kazało jej osądzić ciotkę ostatecznie i nieodwołalnie – wyrzucała z siebie udrękę, która od tyłu miesiący ciążyła jej na sercu.

Pani Penniman, strwożona i oszołomiona, nie widziała żadnej możliwości podzielenia się z dziewczyną swym skromnym przekonaniem o czystości pobudek kawalera.

– Jesteś niewdzięcznicą! – zawołała. – Besztasz mnie za to, że z nim rozmawiałam? Wszak tylko i wyłącznie mówiliśmy o tobie!

– Tak, i tym go właśnie zdręczyłaś. Postarałaś się o to, by mu uprzykrzyć nawet moje imię! Wolałabym, żebyś wcale z nim nie rozmawiała o mnie. Nigdy nie prosiłam cię o pomoc!

– Wiedz o tym, że gdyby nie ja, nigdy by nie przyszedł do naszego domu i w ogóle byś nie wiedziała, że miał jakieś zamiary względem ciebie – podchwyciła pani Penniman nie bez słuszności.

– Wolałabym nigdy go nie widzieć w naszym domu i w ogóle o tym nie wiedzieć! Tak byłoby lepiej – odparła nieszczęsna Katarzyna.

– Jesteś wielką niewdzięcznicą – powtórzyła ciotka.

Ów wybuch gniewu i świadomość wyrządzanej krzywdy przez ten cały czas dawały Katarzynie satysfakcję, jaka płynie z udowodnienia własnej siły. Popychały ją naprzód, a zawsze to miło pruć powietrze. Jednakże w głębi ducha Katarzyna brzydziła się gniewnych uniesień i wiedziała, że nie potrafi długo okazywać złości. Z dużym wysiłkiem, ale też pośpiesznie zapanowała nad wzburzeniem i już po chwili przechadzała się po pokoju, próbując sobie wytłumaczyć, że ciotka chciała jak najlepiej. Nie udało jej się wprawdzie nabrać co do tego przekonania, ale przynajmniej mogła już rozmawiać dość spokojnie.

– Nie jestem niewdzięczna, tylko bardzo nieszczęśliwa – powiedziała. – A trudno być za to wdzięczną. Czy mogłabyś z łaski swojej mi powiedzieć, gdzie on się znajduje?

– Pojęcia nie mam. Nie koresponduję z nim potajemnie! – W rzeczy samej, pani Penniman żałowała tego, gdyż nie mogła się poskarżyć młodzieńcowi, jak ją obraziła Katarzyna po tym wszystkim, co ona, Lawinia, dla niej uczyniła.

– Zamierzał tedy ze mną zerwać?... – Katarzyna powiedziała to już spokojnie. Przed panią Penniman znów zaświtała nadzieja, że zdoła coś wyjaśnić.

– Wzdragał się... wzdragał się – zaczęła. – Zabrakło mu odwagi... to znaczy nie miał odwagi ciebie skrzywdzić! Za nic nie chciał ściągnąć na ciebie przekleństwa twego ojca.

Katarzyna słuchała tego nie spuszczać oczu z ciotki. Wpatrując się w nią

bacznie, zapytała:

– Czy prosił cię, żebyś mi to powtórzyła?

– Prosił mnie, żebym ci powiedziała wiele rzeczy... wszystko to bardzo delikatnie i z jakim zrozumieniem! Prosił też, bym ci powiedziała, że spodziewa się, iż nie będziesz nim gardziła.

– Nie, nie gardzę nim –, potwierdziła Katarzyna. – A czy wyjechał już na zawsze?

– O, na zawsze to brzmi jak wieczność. Twój ojciec może nie będzie żył wiecznie. – Może.

– Jestem pewna, że pochwalasz... że rozumiesz... nawet jeśli ci serce krwawi – ciągnęła pani Penniman. – Na pewno sądzisz, że pan Townsend za wiele ma skrupułów. Ja też tak sądzę, lecz szanuję te skrupuły. On zaś żąda od ciebie, żebyś też je szanowała.

Katarzyna ciągle nie spuszczała oczu z ciotki, lecz odpowiedziała tak, jakby jej nie słyszała czy nie rozumiała:

– A zatem już przedtem wszystko ukartował. Z roz-mysłem ze mną 'zerwał, zrezygnował ze mnie.

– Na razie, kochanie. Tylko to odroczył.

– Zostawił rniie samą – rozważała głośno Katarzyna.

– Przecież masz mnie! – zaprotestowała pani Penniman uroczyście.

Katarzyna z wolna potrząsnęła głową.

– Nie do wiary! – Iz tym, wyszła.

ROZDZIAŁ 31

Zmusiła się do spokoju, lecz cnotę taką wolała pielęgnować w samotności, zaniechała przeto pojawienia się przy stole w porze podwieczorku – posiłku, który w niedzielne popołudnia o szóstej godzinie zastępował obiad. Doktor Sloper siedział naprzeciwko siostry, lecz wzrok pani Penniman ani razu nie spotkał się ze wzrokiem brata. Wieczorem odwiedziła z nim, acz bez Katarzyny, siostrę, panią Almond, gdzie obie damy rozważały niefortunną sytuację bratanicy z otwartością możliwą o tyle tylko, o ile pozwalały na to liczne tajemnicze niedomówienia ze strony pani Penniman.

– Cieszę się z całego serca, że on jej nie poślubi – oświadczyła pani Almond – choć powinien dostać parę batów, tak czy owak.

Pani Penniman, głęboko urażona tym grubfaństwem siostry, odpowiedziała, że młodzieniec powodował się najszlachetniejszymi pobudkami – pragnieniem, by nie doprowadzić do ubóstwa Katarzyny.

– Wielcem rada, że Katarzyna nam nie zubożeje, ale życzę mu, żeby nigdy mu się nie przelewało! A co ta biedaczka tobie mówi? – zapytała pani Almond.

– Mówi, że jestem obdarzona nadzwyczajnym darem pocieszenia.

Tak oto wyglądało sprawozdanie pani Penniman złożone .siostrze i może świadomość tego daru pozwoliła jej wieczorem, po powrocie na Plac Waszyngtona, zjawić się pod drzwiami bratanicy i poprosić o wpuszczenie. Katarzyna otworzyła drzwi; wyglądała na uspokojoną.

– Chciałam ci tylko coś doradzić, jedno słówko –

17,1?

szepnęła bratanicy. – Gdyby cię ojciec pytał, powiedz, że wszystko dobrze się układa.

Katarzyna stała w drzwiach z ręką na klamce, lecz nie poprosiła ciotki do pokoju.

– Sądzisz, że mnie zapyta?

– Na pewno. Pytał mnie dopiero co, jak wracaliśmy do domu od Elżbiety. Ciotce Elżbiecie wyjaśniłam całą sprawę, a ojcu powiedziałam, że nic nie wiem.

– Myślisz, że mnie zapyta, jak zobaczy... jak zobaczy... – i Katarzyna urwała.

– Im więcej zobaczy, tym mniej będzie sympatyczny – przestrzegła ciotka.

– Toteż wiele nie zobaczy! – zapewniła Katarzyna.

– Powiedz mu, że się wybierasz za męża.

– Bo istotnie się wybieram – odparła miękko Katarzyna i zamknęła drzwi.

Nie mogłaby tego powiedzieć na przykład dwa dni później – we wtorek, kiedy to nareszcie otrzymała list od Maurycego. Była to obszerna epistoła – pięć bitych stron, napisanych w Filadelfii, dokument zawierający wyjaśnienie i wyjaśniający wiele rzeczy; najważniejsze z nich to względy, które nakazywały autorowi

skorzystać z pilnego wyjazdu „w interesach zawodowych”, by zatrzeć w pamięci wizerunek tej, której stanął na drodze i drogę tę zasiał gruzami. Nie ważył się wiele oczekiwać po tej próbie, wszelako mógł jej przyrzec, że bez względu na wszystkie uchybienia nigdy już nie stanie na zawadzie między jej szczodrobliwym sercem a świetnymi widokami i obowiązkami względem ojca. Zakończył wzmianką, że jego zawodowe poczynania będą może wymagały podróży kilkumiesięcznej, i wyraził nadzieję, że gdy zastosują się do tego, co tak bezwzględnie dyktuje im pozycja, jaką każde z nich zajmuje – nawet gdyby to miało trwać całe lata – spotkają się jak przyjaciele, jak towarzysze niedoli, jak niewinne, acz świadome rzeczy ofiary niezachwianego prawa społecznego. Niechaj tedy żyje spokojnie i szczęśliwie, czego jej życzy z całego serca ten, który wciąż jeszcze ośmiela się kreślić jej pokornym sługą... List był misternie napisany i gdy jego gorzki sens wraz z pustotą tonu straciły nieco swe znaczenie, Katarzyna, która przechowywała go przez wiele lat, mogła podziwiać, jak składnie jego autor się wysławiał. Tymczasem zaś, jeszcze długo po jego otrzymaniu jedynym jej ratunkiem było postanowienie – postanowienie z każdym dniem bardziej nieustępliwe – że nie będzie się odwoływała do litości ojca.

Doktor odczekał tydzień i pewnego ranka, w porze, o której go rzadko widywała, wszedł mimochodem do salonu wyczekawszy chwili, kiedy będzie sama. Siedziała nad robótką, podszedł więc i stanął przed nią. Był już w kapeluszu i naciągając rękawiczki szykował się do wyjścia.

– Nie wydaje mi się, abyś mnie traktowała ostatnimi czasy z całą należną mi uwagą – odezwał się po małej chwili.

– Nie wiem, co takiego uczyniłam – odparła Katarzyna nie odrywając oczu od robótki.

– Najwyraźniej przeszedłś do porządku nad moim żądaniem, które ci przedłożyłem w Liverpoolu, zanim odpłynęliśmy – żądaniem, żebyś mnie uprzedziła o zamiarze opuszczenia mego domu.

– Nie opuściłam twego domu.

– Ale zamierzasz go opuścić, a z tego, co dałaś mi do zrozumienia, wnoszę, że odejdziesz niezabawem. W gruncie rzeczy, choć ciałem jeszcze tu przebywasz, duchem jesteś już gdzie indziej. Myślam, połączyłaś się ze swoim przyszłym mężem, przeto gdy idzie o korzyści, jakie marny z twego towarzystwa, równie dobrze mogłabyś już mieszkać pod małżeńskim dachem.

– Postaram się być weselsza – obiecała Katarzyna.

– Powinnaś chyba być wesola; jeśli nie, to żądasz bardzo wiele. Mało ci przyjemności, że poślubiasz czarującego kawalera, to jeszcze postępujesz według własnego widzimisię. Odnoszę wrażenie, żeś w czepku urodzona młoda dama! Katarzyna wstała, z trudem oddychając. Złożyła wszakże powoli i starannie swą robótkę pochylając nad nią rozognioną twarz. Doktor nie ruszał się z miejsca. Miała nadzieję, że odejdzie, on jednak wygładził tylko i zapiał rękawiczki, by wsparłszy ręce na biodrach, ciągnąć dalej:

– Dogodniej by mi było wiedzieć, kiedy mogę oczekiwać, że dom opustoszeje. Gdy ty pójdziesz, wymaszeruje także twoja ciotka.

Popatrzyła na niego wreszcie – patrzyła długo, bez słowa, i spojrzenie to mimo dumy i wbrew jej postanowieniu po trosze dopominało się litości, choć tak tego nie chciała. Zimne, szare oczy ojca zgłębiły to spojrzenie, lecz doktor nie ustępował:

– A więc jutro? W przyszłym tygodniu? Czy następnym?

– Ja nie pójdę z domu! – oznajmiła Katarzyna. Doktor uniósł brwi.

– Czyżby się wycofał?

– Zerwałam zaręczyny.

– Zerwałaś?

– Prosiłam go, żeby opuścił Nowy Jork, więc wyjechał stąd na długo.

Zaintrygowało to doktora sprawiając mu zarazem pewien zawód. Ocknął się wszakże z zaskoczenia tłumacząc sobie w duchu, że córka – słusznie czy niesłusznie – po prostu przeinaczyła nieco fakty. Zawiedziony – jak człowiek tracący okazję do triumfu, którego na dobrą sprawę się spodziewał – pofolgował sobie wypowiadając parę uwag:

– A jak on przyjął tę odprawę?

– Nie wiem! – odparła Katarzyna już mniej pomysłowo niż dotychczas.

– Chcesz powiedzieć, że to cię nie obchodzi? Trzeba przyznać, że jesteś dość okrutna, zważywszy, jak długo go zachęcałaś i wodziłaś za nos.

Doktor wziął tedy odwet, mimo wszystko.

Nasza opowieść posuwała się dotychczas drobnym truchtem, lecz teraz musi wydłużyć krok, jako że dobiega końca. Otóż z biegiem czasu doktor miał możliwość stwierdzić, że relacja jego córki dotycząca zerwania z Maurycym – relacja, która uważał za zwykłą junakierię – w pewnej mierze znajdowała swe uzasadnienie w tym, co nastąpiło później. Maurycy nadal się nie pojawiał na Placu Waszyngtona, zniknął bezpowrotnie, jakby mu serce pękło z żalu, Katarzyna zaś najwyraźniej pogrzebała pamięć tego bezowocnego epizodu tak głęboko, jakby sama rozstrzygnęła o jego zakończeniu. My wiemy, że zraniono ją głęboko i nieuleczalnie, lecz doktor nie miał sposobu, by o tym się przekonać. Ciekawiło go to niewątpliwie, ba, wiele by dał za to, żeby poznać całą prawdę; nie było mu to jednak dane, przeto poniósł karę – karę za obraźliwy sarkazm, jaki okazywał w swych stosunkach z córką. Katarzyna, nie dopuszczając go do swojej tajemnicy, w istocie odpłaciła mu tym samym, co poparli skrycie wszyscy inni. Pani Penniman ani słówkiem nie pisała o niej doktorowi, po części dlatego, że jej nigdy o to nie zapytał – nadto ją lekcewał – po części zaś dlatego, że pochlebiała sobie, iż zadając mu tortury swą powściągliwością i spokojnym zapewnieniem, że o niczym nie wie, odpłaca się bratu za teorię, jakoby maczała palce w całej sprawie. Doktor odwiedził jeszcze kilka razy panią Montgomery, lecz ta nic szczególnego nie miała mu do powiedzenia. Wiedziała tylko o zerwanych zaręczynach, a że pannie Sloper nie groziło już niebezpieczeństwo, wolała nie świadczyć żadnym słowem na niekorzyść swego brata. Owszem, zrobiła to przedtem – mimo woli – bo żał jej było panny Sloper, teraz wszakże już panna Sloper nie żałuje – przecież nie ma czego. Maurycy nic jej nie mówił o swoich ówczesnych stosunkach z panną Sloper ani też nie zwierzał jej się potem. Przebywa stale poza domem, a pisuje także nader rzadko; wyjechał, zdaje się, do Kalifornii. Pani Almond od czasu owej katastrofy „zagarnęła” Katarzynę, jak nazwała to Lawinia. Lecz choć dziewczyna była bardzo wdzięczna ciotce za serdeczność, nie odkryła przed nią serca i dobrotliwa ta niewiasta nie mogła udzielić bratu żadnej satysfakcji. Zresztą, nawet gdyby mogła opowiedzieć doktorowi sekretne dzieje nieszczęśliwej miłości jego córki, wolałaby dla własnej satysfakcji utrzymywać go w niewiedzy, jako że w owym czasie bynajmniej nie pochwałała stanowiska brata. Domyślała się, że Katarzyna została bezlitośnie porzucona – choć nie dowiedziała się niczego od Lawinii, ta bowiem nie odważyła się przedstawić siostrze sławetnego wyjaśnienia pobudek kawalera, aczkolwiek nie wahała się ich przedłożyć bratanicy – pani Almond więc uznała, że brat zbyt konsekwentnie pozostawał obojętny na udręki nieszczęsnej Katarzyny, na wszystko, co dotąd wycierpiała i co musiała cierpieć nadal. Doktor Sloper miał swoją teorię na ten temat, a teorie jego rzadko ulegały zmianie. Uważał, że małżeństwo to byłoby czymś odrażającym i że dziewczyna uniknęła go jedynie z łaski Boiga. Nie było tedy powodu do "współczucia, a wyrażając swe ubolewanie potwierdziłby tylko wobec własnemu przekonaniu, że miała prawo zaprzętać sobie głowę Maurycym.

– Od początku postanowiłem do tego nie dopuścić i postanowienia swego nie zmieniłem – wyznał pani Almond. – Nie widzę w tym żadnego okrucieństwa.

Stanowczości takiej nigdy nie za mało. – Na co pani Almond tłumaczyła, że skoro Katarzyna pozbyła się nieodpowiedniego wielbiciela, zasłużyła na uznanie, i że powinien docenić wysiłek, na jaki się musiała zdobyć, by podzielić jego światły pogląd na tę sprawę.

– Wcale nie jestem pewien, że się go pozbyła – odparł doktor. – Nic nie wskazuje na to, że po dwóch latach ośle-go upierania się przy swoim, nagle stała się posłuszna rozsądkowi. O wiele bardziej jest prawdopodobne, że to on ją rzucił.

– Tym bardziej więc powinienes jej okazać delikatność;

– Jestem delikatny. Ale nie mogę okazywać żalu. Nie mogę wylewać łez z powodu najszcześniejszej rzeczy, jaka ją spotkała, tylko po to, by wyglądać na miłosiernego.

– Nie potrafisz współczuć – upomniała go pani Almond. – To nigdy nie była twoja najsilniejsza strona. Wystarczy na nią spojrzeć, by zrozumieć, że słusznie czy niesłusznie, bez względu na to, czy zerwanie nastąpiło z jego czy z jej strony, to biedne serduszek jest boleśnie poranione.

– Ranom nie pomaga dotykanie ani nawet skrapiane ich łzami! Moją rzeczą jest baczyć, by nie otrzymała więcej ciosów, i tego będę pilnował bez wątpienia. Poza tym wcale nie dzielam twych spostrzeżeń co do Katarzyny. Nie wygląda mi na

pannę, która poszukuje moralnego ka-taplazmu. Prawdę mówiąc, wygląda chyba znacznie lepiej teraz, niż kiedy sterczał przy niej ten kawaler. Jest ze wszech miar spokojna, kwitnie zdrowiem. Je, śpi, zażywa ruchu tak jak zawsze i swoim zwyczajem przesadza w przyozdabianiu swej osoby. Ciągłe coś dłubie: to saszetkę dzierga, to haftuje jakąś chustkę i odnoszę wrażenie, że idzie jej to bardzo składnie, nieledwie tak jak dawniej. Niewiele ma do powiedzenia, ale czy kiedykolwiek coś mówiła? Ot, potańczyła sobie troszkę i teraz odpoczywa. Podejrzewam, że w gruncie rzeczy jest zadowolona.

– Zadowolona jak ktoś, kto pozbył się zmiążdżonej nogi. Stan ducha po amputacji można niewątpliwie nazwać względnym odpoczynkiem.

– Jeśli ta noga ma wyobrażać młodego Townsenda, to mogę cię zapewnić, że jego .nigdy nie zmiążdżono. On zmiążdżony? Nigdy! Żyje i nic mu się nie stało. To właśnie mi nie odpowiada.

– Wolałbyś go zabić? – spytała pani Almond.

– Tak, zdecydowanie. Niewykluczone, że to wszystko jest tylko parawanem;

– Parawanem?

– Że się umówili. II fait le mort, jak określają to Francuzi. A on tymczasem zerka kątem oka. Nie ma obawy, nie spalił za sobą wszystkich mostów; jeden zostawił, żeby wrócić. Jak umrę, przymaszeruje tutaj znowu i wtedy ona go poślubi.

– Ciekawe, że pomawiasz swoją jedynaczkę o najnik-czemniejszą hipokryzję – zauważyła pani Almond.

– Nie rozumiem, co to za różnica, czy jest jedynaczką, czy nią nie jest. Lepiej oskarżać jedną osobę aniżeli tuzin. Ja wszakże nikogo nie oskarżam. Katarzyna nie ma w sobie ani odrobiny hipokryzji i według mnie, nawet nie udaje, że jest nieszczęśliwa.

Podejrzenie doktora, że obecna sytuacja była tylko parawanem, przygasało i odżywało na przemian. W sumie jednak, można powiedzieć, wzrastało w miarę, jak się starzał; sprzyjało temu zresztą jego przekonanie o kwitnącej, niczym nie zagrożonej kondycji Katarzyny. Oczywiście, że tak jak w ciągu pierwszych paru lat po owym kryzysie w życiu Katarzyny nie znajdował podstaw, by uważać ją za porzuconą i usychającą z żalu pannę, podobnie nie miał żadnych podstaw, aby mniemać, że całkowicie odzyskała spokój. Musiał przyznać, że jeśli tych dwoje młodych czekało, aż im zejdzie z drogi, to przynajmniej czekali bardzo cierpliwie. Słyszał niekiedy, że Maurycy przebywa w Nowym Jorku, wszelako długo w nim nie pozostawał i o ile doktor się nie mylił, młodzieniec nie miał styczności z Katarzyną. Pewien był, że się nigdy nie spotkali, miał też powody, by przypuszczać, że nigdy do niej nie pisywał. Odkąd napisał ów list, o którym już wspomniano, Katarzyna otrzymała jeszcze – w znacznych odstępach czasu – dwa inne, lecz na żaden z nich nie odpowiedziała. Jednocześnie jednak doktor zauważył, że dziewczyna stanowczo odtrąca myśl o zamażpójściu. Nie miała po temu wiele sposobności, lecz zdarzały się na tyle często, by potwierdzić jej nastawienie. Odmówiła; pewnemu wdowcowi, człowiekowi z natury pogodnemu, zasobnemu ojcu trzech dziewczynek, który posłyszawszy, jak bardzo panna Sloper lubi dzieci, ufnie poprosił ją o rękę. Na nic też nie zdały się starania zdolnego młodego prawnika, który mimo widoków na rozległą praktykę i opinii człowieka przemiłego, rozglądając się za żoną bystrze zauważył, że Katarzyna odpowiadałaby mu bardziej niż parę innych, młodszych i ładniejszych panien. Pan Macalister, wdowiec, pragnął małżeństwa podyktowanego przez rozsądek i w Katarzynie dojrzał utajone cechy, właściwe statecznym damom. Za to John Ludlow, młodszy o rok od Katarzyny, młodzieniec, który jak mawiano, „mógł wybierać”, był w niej na dobre zakochany. Katarzyna wszakże nie chciała na niego w ogóle patrzeć, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że zbyt często ją odwiedza. Pocięszył się później poślubiając osóbkę całkiem inną, maleńką pannę Sturtevant, której powaby dostrzegali ludzie nawet najbardziej niewrażliwi. W owym czasie Katarzyna miała już dobrze po trzydziestce i ściśle biorąc, zaliczała się do starych panien. Doktor pragnął, żeby wyszła za męża, i raz nawet wyraził przekonanie, że nie będzie zanadto kaprysiła.

– Chciałbym przed śmiercią doczekać się, byś została żoną kogoś uczciwego – powiedział. Było to wkrótce po tym, jak John Ludlow musiał już dać za wygraną, mimo iż doktor doradzał mu wytrwałość. Zresztą doktor już więcej nie wywierał na Katarzynę żadnej presji i wierzono, że wcale nie jest „zaniepokojony” niezamężnym stanem córki. W istocie raczej nie dawał poznać po sobie niepokoju i całymi okresami żywił przekonanie, że gdzieś za tym wszystkim kryje się Maurycy

Townsend. „Jeśli nie, to czemu ona nie wychodzi za mąż?” – zapytywał siebie w duchu. „Przecież, gdyby nawet była nie wiedzieć jak ograniczona, musi pojmować doskonale, że jest stworzona do zwyczajnych rzeczy.” Tymczasem Katarzyna została godną podziwu starą panną. Nabrała pewnych stałych przyzwyczajzeń, uregulowała swój tryb życia według systemu, jaki jej odpowiadał, poświęcała czas instytucjom dobroczynnym, przytułkom, szpitalom, towarzystwom opiekuńczym i tak, idąc przez życie równym, cichym krokiem, rygorystycznie wypełniała swoje obowiązki. Wszelako żywot ten miał także swój tajemny wątek, nie tylko historię znaną ogółowi – jeśli można mówić o publicznej stronie życia nieśmiałej, choć dojrzałej niezamężnej damy, którą wszelki rozgłos przyprawiał o rozliczne lęki. Dwie rzeczy zaważyły na jej życiu, jak to sama oceniała: fakt, że Maurycy Townsend zlekceważył jej uczucie i że ojciec stłumił je w zaraniu. Tych faktów nic nie mogło zmienić – ciągle dawały znać o sobie, były nieodłączne jak jej imię, wiek, jak jej pospolita twarz. Nic nie mogło odwrócić zła ani wyleczyć rany, jaką jej zadał Maurycy, i nigdy już ojciec nie był dla niej tym, czym dawniej. W jej życiu coś umarło i teraz próbowała tylko wypełnić ową pustkę. Uważała to za swą powinność i spełniała tę powinność najlepiej, jak umiała. Nie znosiła łzawych rozpamiętywań ani złych nastrojów. Nie posiadała naturalnie daru zapamiętywania się w zabawie, lecz nie stroniła od zwykłych uciech miasta i ostatecznie stała się niezbędną uczestniczką wszystkich godziwych imprez zasługujących na uwagę. Lubiano ją powszechnie i z biegiem czasu stała się kimś w rodzaju dobrotliwej ciotki-panny, patronującej młodszej części towarzystwa. Dziewczęta chętnie jej powierzały swe miłosne tajemnice (których nigdy nie zdradzały pani Penniman), a młodzi mężczyźni lubili ją, sami nie wiedząc czemu. Miała trochę nieszkodliwych dziwactw; trzymała się dość uporczywie nabytych raz zwyczajów, a jej poglądy w kwestiach moralnych i społecznych były z reguły bardzo konserwatywne; toteż nim dobiegła czterdziestki, zyskała opinię osoby staroświeckiej – autorytetu w sprawach obyczajów, które należały do przeszłości. Pani Penniman w porównaniu z Katarzyną wyobrażała wręcz dziewczátko; młodniała też w miarę, jak jej przybywało lat. Nie straciła ani trochę ze swych zamiłowań do piękna i tajemniczości, acz niewiele miała okazji, by zrobić z nich użytek. Z późniejszymi wielbicielami Katarzyny nie zdołała nawiązać stosunków równie zażyłych jak te, którym zawdzięczała tyle pasjonujących chwil spędzonych w towarzystwie Maurycyego Townsenda. Albowiem dżentelmeni ci nie wiedzieć czemu odnosili się jakoś nieufnie do jej łaskawego pośrednictwa i nigdy z nią nie rozmawiali o urokach Katarzyny. Pierścionki, klamry i bransolety ciotki Penniman lśniły z każdym rokiem coraz to silniejszym blaskiem, a ona sama pozostała tą gorliwą, obdarzoną bujną wyobraźnią panią Penniman, tą samą dziwną mieszaniną impulsywności i rozwagi, jaką znaliśmy dotychczas. W jednym wszakże przypadku rozważa przeważała i trzeba jej to poczytać za zasługę. Bowiem przez z górą siedemnaście lat Lawinia nigdy nie napomknęła o panu Townsendzie bratanicy. Katarzyna była jej za to wdzięczna, ale to uporczywe milczenie, tak niezgodne z naturą ciotki Penniman, napawało ją niejakim lękiem, toteż nie mogła wyzbyć się całkowicie podejrzenia, że ciotka otrzymuje niekiedy o nim wiadomości.

ROZDZIAŁ 33

Doktor Sloper stopniowo wycofywał się z praktyki zawodowej. Odwiedzał już tylko tych pacjentów, których objawy chorobowe przedstawiały dla niego jakieś novum. Jeszcze raz wybrał się do Europy i przebywał w niej dwa lata. Towarzyszyła mu Katarzyna, a i ciotka Penniman tym razem wzięła udział w ich wyprawie. Europa wyraźnie nie zadziwiła pani Penniman, która w najbardziej romantycznych, miejscowościach powtarzała ciągle swoje: „Ależ to wszystko jest mi doskonale znane.” Trzeba dodać, że uwagi te kierowała zazwyczaj nie do brata ani nawet nie do bratanicy, lecz do innych turystów znajdujących się w pobliżu czy choćby do przewodnika lub do stada kóz, które miała przed oczyma.

Któregoś dnia po powrocie z Europy doktor zwrócił się do córki ze słowami, które ją poruszyły do żywego – powróciły, zda się, z odległej już przeszłości:

– Chciałbym, żebyś mi coś obiecała, zanim umrę.

– Czemu mówisz o śmierci?

-- Ponieważ mam sześćdziesiąt osiem lat.

– Mam nadzieję, że będziesz żył jeszcze długo.

– I ja mam tę nadzieję! Ale pewnego dnia nabawię się paskudnego przeziębienia i wtedy nasze nadzieje nie na wiele się przydadzą. Tak tedy odejdę z tego świata i wspomnisz, że ci to przepowiedziałem. Zatem obiecaj mi że nie poślubisz Maurycego Townsenda po mej śmierci.

To właśnie tak poruszyło Katarzynę. Milczała wszakże i dopiero po jakiejś chwili zapytała:

– Dlaczego o nim mówisz?

– Kwestionujesz wszystko, co ci mówię. Mówię o nim dlatego, że stanowi temat taki sam jak wszystko inne. Można go zobaczyć, jak każdego, i wciąż rozgląda się za żoną; miał już jedną, ale się jej pozbył, nie wiem jakim sposobem. Przebywał ostatnio w Nowym Jorku i odwiedził twoją kuzynkę, Mariannę. Spotkała go tam ciotka Elżbieta.

– Żadna z nich mi o tym nie mówiła – wtrąciła Katarzyna.

– To ich zasługa, a nie twoja. Roztył się i wyłysiał, i nie doszedł jakoś do fortuny. JNfie jestem wszakże taki pewny, czy to wszystko wystarczy, by odwrócić od niego twoje serce, i dlatego proszę cię, żebyś mi to obiecała.

„Roztył się i wyłysiał.” Słowa te przedstawiły dziwny obraz oczom Katarzyny, w których zachował się przecież niezatarty wizerunek najurodziwszego młodzieńca na tej ziemi.

– Nie sądzę, abyś mnie rozumiał, ojczu – powiedziała. – Ja bardzo rzadko myślę o panu Townsendzie.

– Tym łatwiej ci przyjdzie zadośćuczynić mojej prośbie. Obiecaj, że po mojej śmierci tak samo będziesz postępować.

Katarzyna znów milczała dłuższą chwilę. Prośba ojca ogromnie ją zdziwiła; otwierała niejako starą ranę, która na nowo zaboliała.

– Tego chyba obiecać ci nie mogę – powiedziała.

– Bardzo byś mnie zadowolili – poddał doktor.

– Nie rozumiesz, ojczu. Tego obiecać ci nie mogę. Doktor milczał chwilę.

– Mam szczególny powód, żeby o to prosić. Zmieniam swój testament. Powód ten nie przekonał Katarzyny, ledwie go zresztą zrozumiała, bo wszystkie jej uczucia sprowadzały się do jednego: że ojciec próbuje z nią postąpić tak, jak postępował z nią przed laty. Dręczyła się tym wtedy; teraz zaś całe jej doświadczenie, spokój, dyscyplina, jaką sobie narzuciła – wszystko to w niej się obruszyło. Ongiś, za młodu, była tak potulna, że teraz mogła sobie pozwolić na tę trochę dumy, zwłaszcza że w żądaniu ojca, jak i w jego niezbitym przekonaniu, że wolno mu żądać od niej takich rzeczy, kryło się coś, co niejako przynosiło ujmę jej godności. Godność Katarzyny nie była nigdy napastliwa – biedaczka nigdy jej nie demonstrowała – wystarczyło wszakże posunąć się za daleko, żeby się odezwała. A ojciec bardzo daleko się posunął.

– Nie rnozę ci obiecać – powtórzyła tylko.

– Upierasz się.

– Chyba mnie nie rozumiesz.

– Wytłumacz przeto, proszę.

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć – powiedziała Katarzyna. – I nie mogę ci obiecać.

– Słowo daję! – wykrzyknął – pojęcia nie miałem, że jesteś tak uparta!

Ona jednak wiedziała o tym dobrze i sprawiało jej to pewna radość. Wszak była już kobietą w średnim wieku.

W jakiś rok potem zdarzyło się to, co przepowiedział doktor, a mianowicie przeziębził się okropnie. Któregoś dnia – było to w kwietniu – wybrał się do Bloomingdale z wizytą do chorego. Pacjent ów, chory umysłowo, przebywał w prywatnym zakładzie i rodzina pragnęła usilnie zasięgnąć opinii lekarskiej z miarodajnych źródeł. W drodze spotkał doktora ulewny deszcz wiosenny, a że jechał wolantem, bez osłony, przemókł do nitki. Gdy wrócił do domu, dokuczwały mu już złowróźbne dreszcze, a nazajutrz rozchorował się na dobre.

– To jest zapalenie płuc – powiedziała Katarzynie. – Będę potrzebował bardzo starannej pielęgnacji. Nic ona nie zmieni, bo nie wyjdę z tego, ale chcę, żeby wszystkiego ściśle przestrzegano, tak jakbym miał wrócić do zdrowia. Nie znoszę zaniedbań przy łożu chorego, więc bądź tak dobra i zajmij się mną przyjmując, że wyzdrowieję.

Powiedział jej, kogo wezwać z jego lekarskiego grona, i wydał niezliczoną ilość drobiazgowych zleceń, Katarzyna tedy pielęgnowała go w tej optymistycznej wierze. Wszelako doktor, który nigdy się nie mylił, nie omylił się także

i tym razem. Zbliżał się właśnie do siedemdziesiątki i mimo iż organizm miał odporny, stracił już wiele z dawnej żywotności. Umarł po trzech tygodniach, w ciągu których pani Penniman, podobnie jak Katarzyna, niezmordowanie krzątała się u jego łoża.

Gdy otwarto testament – jak przystoi, we właściwym czasie – pokazało się, że zawierał dwa legaty. Pierwszy, sprzed lat dziesięciu, obejmował szereg dyspozycji, na mocy których przeważająca część jego własności przypadła Katarzynie, a i obie jego siostry otrzymały przyzwoitą schedę. Drugi był świeżo sporządzonym kodycylem, utrzymującym w mocy dożywotnie pensje roczne dla pani Penniman i pani Almond, a redukującym do jednej piątej spuściznę Katarzyny. „Została dostаточно wyposażona przez swą matkę – głosił dokument – i wydaje zaledwie znikomą część dochodu z tego źródła; toteż majątek jej aż nadto jest wystarczający, by zwabić owe niebieskie ptaki bez sumienia, która to kategoria ludzi, jak pozwoliła mi przypuszczać, nadal ją interesuje.” Pozostała, znaczną część swego majątku doktor Sloper podzielił na siedem różnych części, przeznaczając je na fundacje dla tyłuż szpitali i rozmaitych szkół medycznych w różnych miastach kraju.

Pani Penniman wydawało się czymś potwornym, żeby ktoś tak swobodnie rozporządził się cudzym majątkiem, bo jej zdaniem, pieniądze te po śmierci brata należały, rzecz jasna, już do innych.

– Obalisz chyba zaraz ten testament – podsunęła Katarzynie.

– O nie – zaprzeczyła Katarzyna – bardzo mi odpowiada. Wolałabym tylko, żeby ojciec trochę inaczej uzasadnił swoją wolę!

ROZDZIAŁ 34

Katarzyna miała zwyczaj pozostawać w mieście do późnego lata. Wolała dom na Placu Waszyngtona niż każdą inną siedzibę i tylko pod przymusem wyjeżdżała w sierpniu gdzieś nad morze. Ten wakacyjny miesiąc spędzała wówczas w hotelu. W roku śmierci ojca nie uczyniła zadość owemu zwyczajowi uważając, że nie licowałoby to z ciężką żałobą; w następnym zaś tak długo odkładała wyjazd, że była już połowa sierpnia, a ona ciągle jeszcze przesiadywała w upalnym zaciszu Placu Waszyngtona. Pani Penniman, która lubiła zmiany i tęskniła zwykle do wyjazdu na wieś, tego roku zadowolili się wyraźnie tą porcją wiejskich doznań, jakie dostarczały jej ailanty rosnące za drewnianym ogrodzeniem, widziane z okien salonu. Swoista woń tej rośliny przenikała wieczorną aurę, przeto w ciepłe lipcowe noce pani Penniman siadywała często w oknie, by się nią napawać. W takich chwilach czuła się szczęśliwa. Po śmierci brata z większą swobodą mogła ulegać naturalnym swym porywom. Zniknął z jej życia jakiś nieuchwytny ucisk i cieszyła się swobodą, jakiej nie doświadczyła od owych pamiętnych dni, przed laty, kiedy to doktor wyjechał za granicę z Katarzyną i pozostawił ją w domu, gdzie mogła podejmować pana Townsenda. Rok, który upłynął od śmierci brata, przypominał jej tamte szczęśliwe chwile, bo choć Katarzyna stała się z wiekiem osobą, z którą się należało liczyć, jednak zdaniem ciotki Penniman, jej towarzystwo w niczym nie przypominało cysterny zimnej wody. Starsza pani nie bardzo wiedziała, co robić z tą większą swobodą w swoim życiu, przesiadywała tedy prawie tak jak dawniej z igłą w rękę, zastygła w powietrzu nad tam-burkiem. Żywiła wszakże skrytą nadzieję, że olśniewające porywy jej ducha, jej hafciarski talent znajdzie jeszcze kiedyś odpowiednie ujście, i nie minęło wiele miesięcy, a przeświadczenie to okazało się uzasadnione.

Katarzyna nadal mieszkała w domu ojca, aczkolwiek przychodziło jej do głowy, że dla niezamężnej lady wiodącej spokojny żywot odpowiedniejsze może byłoby pomieszczenie w-mniejszym domu, jednym z tych domów z brunatnymi, kamiennymi fasadami, jakie podówczas zaczynały zdobić poprzeczne arterie w górnej części miasta. Lubiała wszakże tę wcześniejszą zabudowę (która w tym czasie uchodziła już za „starą”) i postanowiła dokonać w niej żywota. Jeśli nawet rezydencja ta była zbyt przestronna dla dwóch skromnych niewiast, to i tak stanowiła lepsze wyjście niż coś zupełnie przeciwnego – albowiem Katarzyna bynajmniej nie pragnęła znaleźć się w bliskim sąsiedztwie ciotki. Spodziewała się spędzić resztę życia na Placu Waszyngtona w towarzystwie ciotki, jako że nie miała wątpliwości, iż bez względu na to, jak długo będzie żyła sama, ciotka pożyje co najmniej tak długo jak ona i do końca zachowa swoją błyskotliwość i ruchliwość. Pani Penniman była dla niej uosobieniem bujnej

żywołności.

Jednego z tych ciepłych wieczorów lipcowych, o których tu już była wzmianka, obie damy siedziały przy otwartych drzwiach balkonu wyglądając na zaciszny Plac. Było zbyt upalnie, by zapalić lampy, czytać czy pracować. Mogło się wydawać, że upał nie pozwalał nawet na rozmowę, gdyż pani Penniman długo nie mówiła ani słowa. Siedziała w drzwiach, na poły wysunawszy się na balkon, i nuciła pod nosem jakąś melodyjkę. W głębi pokoju Katarzyna, w białej sukni, w niskim fotelu na biegunach, chłodziła się z wolna palmowym wachlarzem. O tej porze roku, po kolacji, tak właśnie ciotka z bratanicą spędzały zwykle wieczory.

– Katarzyno – odezwała się wreszcie pani Penniman – powiem ci coś, co ci sprawi niespodziankę.

– Proszę, powiedz – odparła Katarzyna. – Lubię niespodzianki. A taki tu panuje spokój.

– No więc, widziałam Maurycego Townsenda.

Katarzyna, jeśli nawet była zaskoczona, niczym tego nie zdradziła; nie drgnęła ani nie krzyknęła. Choć prawdę mówiąc, siedziała parę chwil tak nieruchomo, że na dobra sprawę można to było wziąć za oznakę podniecenia.

– Mam nadzieję, że go zastałaś w dobrym zdrowiu – powiedziała w końcu.

– Nie wiem, bardzo się odmienił. Bardzo chciałby się zobaczyć z tobą.

– Wolałabym się z nim nie widzieć – rzuciła prędko Katarzyna.

– Bałam się, że to powiesz. Ale nie wyglądasz mi na zaskoczoną!

– Jestem... bardzo zaskoczona.

– Spotkałam go u Marianny – podjęła pani Penniman. – Odwiedza ich, a oni tak się obawiają, żebyś go tam nie spotkała. Co do mnie, jestem przekonana, że on właśnie po to ich odwiedza. Tak bardzo pragnie cię zobaczyć. – Katarzyna milczała, przeto pani Penniman ciągnęła dalej: – Nie poznałam go w pierwszej chwili, tak się zmienił; ale on poznał mnie natychmiast. Powiada, że się wcale nie zmieniłam. Wiesz, jaki zawsze był uprzejmy. Wychodził właśnie, kiedy ja wchodziłam, więc przeszliśmy się kawalek. Ciągle jeszcze bardzo jest przystojny, tyle że wygląda poważniej, oczywiście, i nie jest już tak... tak żwawy. Miał w sobie jakiś smutek, ale smutek nosił w sobie i przedtem, zwłaszcza jak wyjeżdżał. Obawiam się, że nie powiodło mu się zbyt, że nigdy się nie zdołał ustabilizować. Sądzę, że nie dość się przykłada, a to przecież stanowi o sukcesie na tym świecie. – Pani Penniman nie wspominała bratanicy o kochanku przez piątą część wieku, za to teraz, gdy już przerwała ów zaklęty krąg milczenia, pragnęła widocznie to nadrobić, jak gdyby słysząc siebie, gdy mówiła o nim, doznawała czegoś w rodzaju radosnego podniecenia. Ciągnęła wszakże z wielką ostrożnością, czyniąc tu i ówdzie pauzy, aby pozwolić Katarzynie na jakiś gest czy słowo. Katarzyna jednak nie reagowała, tyle tylko że przestała kołysać się w fotelu i wachlować. Siedziała nieruchomo, milcząc. – Było to w zeszły wtorek – opowiadała pani Penniman – i cały czas wahałam się, czy ci powiedzieć. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz. W końcu pomyślałam sobie, iż tamte sprawy działały się tak dawno temu, że pewnie nie obejdzie cię to jakoś szczególnie. Widziałam się z nim jeszcze później. Spotkałam go na ulicy i przeszedł się ze mną parę kroków. Pierwsze, co powiedział, dotyczyło ciebie; zarzucił mnie pytaniami. Marianna nie chciała, żebym ci mówiła. Nie chciała, byś się dowiedziała, że on u nich bywa. Powiedziałam mu, że jestem pewna, iż po tylu latach jest ci wszystko jedno; że nie możesz mu żałować gościnności domu jego własnego kuzyna. Powiedziałam, że byłaby to wręcz zawziętość, gdybyś mu tego żałowała. Marianna ma przedziwne wyobrażenie o tym, co zaszło między wami; myśli, zdaje się, że on jakoś wyjątkowo się zachował. Pozwoliłam sobie jej przypomnieć nagie fakty i ukazać tę historię we właściwym świetle. On nie jest zawzięty, Katarzyno, mogę cię zapewnić; choć i to można by mu wybaczyć, bo nie układało mu się w życiu. Objeździł cały świat i wszędzie próbował się ustabilizować. Ale jego nielaskawa gwiazda mu w tym przeszkodziła. Warto posłuchać, co on opowiada o tej swojej nielaskawej gwiazdzie. Wszystko zawiodło; wszystko oprócz... no, wiesz przecież, pamiętasz... oprócz jego dumnego, wyniosłego ducha. Zdaje się, że ożenił się z pewną damą w Europie. Wiesz, tam, w Europie, zawiera się takie praktyczne związki; małżeństwa z rozsądku, tak to nazywają. Umarła wkrótce potem; powiedział, że ledwie przemknęła mu przez życie. Nie było go w Nowym Jorku dziesięć lał, wrócił przed kilkoma dniami. Pierwsze, co zrobił, to zapytał mnie o ciebie. Słyszał już, że nie wyszłaś za męża, i wyraźnie się tym zainteresował. Powiedział, że byłaś prawdziwą miłością jego życia.

Katarzyna cierpliwie pozwalała swojej towarzysze ciągnąć tę opowieść od kropki do kropki i od pauzy do pauzy, nie przerywając; utkwiała wzrok w podłozie i słuchała. Wszelako po ostatnim zdaniu, które tu zacytowałem, nastąpiła szczególnie wymowna pauza i wówczas Katarzyna przemówiła. A czytelnik zauważy, że zanim to uczyniła, pozyskała o Maurycym niemało informacji.

– Proszę cię, nie mów już nic więcej. Proszę, nie poruszaj już tego tematu.

– Czyżby cię nie interesował? – zapytała pani Penni-man figlarnie, acz lękliwie.

– Sprawia mi wielką przykrość – powiedziała Katarzyna.

– Bałam się, że to powiesz. Ale czy nie sądzisz, że mogłabyś się z tym oswoić? On tak bardzo chce się z tobą spotkać.

– Proszę cię, przestań, ciociu – rzekła Katarzyna wstając. Przeszła prędko do drugich, otwartych drzwi balkonu. Stała w odrzwiach, zasłonięta przed ciotką białymi firankami, i długo wpatrywała się w ciepły mrok. Przeżyła silny wstrząs. Było to tak, jakby nieoczekiwanie otwarła się czeluść przeszłości i wychynęło z niej jakieś widmo. Wierzyła dotąd, że nad pewnymi rzeczami przeszła do porządku,, niektóre swe uczucia uważała za wygasłe; tymczasem najwyraźniej jeszcze gdzieś się tliły i oto pobudziła je do życia ciotka Penniman. To tylko chwilowe podniecenie – tłumaczyła sobie w duchu – zaraz przejdzie. Drżała i serce jej biło tak, że aż je czuła sama, ale przecież i ono powinno się zaraz uspokoić. I nagle, czekając, by odzyskać spokój, zalała się łzami. Cichuteńko spływały jej po twarzy, toteż pani Penniman ich nie widziała. Być może jednak domyślała się tych łez, gdyż tego wieczora nie powiedziała już o Maurycym Townsendzie ani słowa.

ROZDZIAŁ 35

Nawrót zainteresowania pani Penniman dla tego dżentelmena nie miał granic, jakich by sobie życzyła Katarzyna. Trwało ono też na tyle długo, że pozwoliło jej odczekać jeszcze tydzień, zanim znów o nim napomknęła. Przypuściła szturm w podobnych okolicznościach co poprzednio. Siedziała z bratanicą o wieczornej porze, tylko że tym razem wieczór nie był tak gorący, toteż zapalono lampę i Katarzyna usadowiła się przy niej z robótką. Pani Penniman posiedziała pół godziny na balkonie, po czym weszła, krążąc niepewnie po pokoju. W końcu pograżyła się w fotelu obok Katarzyny i splótłszy dłonie, zapytała z wyrazem lekkiego podniecenia:

– Czy będziesz się gniewała, jeśli jeszcze coś ci powiem o n i m?

Katarzyna popatrzyła na nią ze spokojem.

– Kto to jest on?

– Ten, którego ongiś kochałaś.

– Nie będę się gniewała, ale i nie będzie mi to miłe.

– Przekazał ci parę słów – ciągnęła pani Penniman. – Obiecałam, że powtórzę, więc muszę dotrzymać obietnicy.

Katarzyna zdążyła zapomnieć przez te wszystkie lata, jak niewiele miała do zawdzięczenia ciotce w tamtych smutnych czasach. Już dawno przebaczyła pani Penniman jej zbytnią gorliwość. W tej chwili jednak skłonność ciotki do bezinteresownej ingerencji w cudze sprawy, te przekazywane wiadomości i spełniane obietnice, wszystko łąto przypomniało jej, że ma do czynienia z kobietą niebezpieczną. Powiedziała, że nie będzie się gniewała, a przecież rozdrażniło ją to na chwilę.

– Nie dbam o to, co zrobisz ze swoją obietnicą! – odrzuciła.

Wszelako pani Penniman, obdarzona wysoce rozwiniętym poczuciem świętości obietnic honorowych, nie ustępowała.

– Posunęłam się zbyt daleko, żeby się wycofać – oświadczyła, nie zadając sobie wszakże trudu, by wyjaśnić, co właściwie uczyniła. – Pan Townsend bardzo usilnie pragnie cię zobaczyć, Katarzyno, Wierzy, że gdybyś wiedziała, jak dalece tego pragnie i dlaczego, przystałabyś na to widzenie.

– Nie ma powodu – odparła Katarzyna. – Żadnego uzasadnienia.

– Od tego zależy jego szczęście. Czy to nie wystarczy? – przekonywała żywo pani Penniman.

– Mnie nie. Moje szczęście od tego nie zależy.

– Sądzę, że po tym spotkaniu i ty będziesz szczęśliwsza. Wyjeżdża znowu... wyjeżdża, by znów podjąć swą tułaczkę. Bardzo samotny to jest żywot,

niespokojny, bez radości. Pragnie z tobą pomówić przed wyjazdem, upiera się, nie przestaje o tym myśleć. Ma ci do powiedzenia coś bardzo istotnego. Twierdzi, że nigdy go nie rozumiałaś, że nigdy go nie oceniałaś sprawiedliwie, i to przekonanie zawsze okropnie mu ciążyło. Pragnie się usprawiedliwić, ufa, że zrobi to w dwóch słowach. Pragnie cię spotkać jak przyjaciel.

Katarzyna słuchała tego zdumiewającego przemówienia nie odrywając oczu od robótki. Miała parę dni, by przyzwycząić się do myśli, że Maurycy Townsend stał się znów terazniejszością. Gdy pani Penniman skończyła, odpowiedziała jej po prostu:

– Powiedz, proszę, panu Townsendowi, że ja pragnę, aby zostawił mnie w spokoju. Ledwie to powiedziała, ciszę letniego wieczoru przeszył krótki, mocny dzwonek. Katarzyna spojrzała na zegar; wskazywał kwadrans po dziewiątej – pora nader późna na wizyty, zwłaszcza w opustoszałym mieście. W tej samej chwili pani Penniman poderwała się nieznacznie i oczy Katarzyny szybko zwróciły się na ciotkę. Napotkały jej oczy i przez moment badały je surowo. Pani Penniman poczerwieniała; minę miała strapioną, jakby się do czegoś przyznawała. Katarzyna domyśliła się, co oznaczało to spojrzenie, i szybko podniosła się z fotela.

– Ciotko Penniman – powiedziała tonem, który mocno przestraszył starszą damę – czyżbyś sobie pozwoliła?...

– Katarzyno najdroższa – jąkała się pani Penniman – poczekaj, aż go ujrzysz sama!

Katarzyna zatrwożyła ciotkę, ale sama też była zatrwożona. Już, już chciała biec i zapowiedzieć służącej, która zmierzała właśnie w stronę drzwi, żeby nikogo nie wpuszczano, lecz powstrzymała ją obawa, że natknie się na swego gościa.

– Pan Maurycy Townsend.

Wahając się, co czynić, usłyszała te słowa jak przez mgłę, a przecież dość wyraźnie. Stała zwrócona plecami do drzwi i przez dłuższą chwilę nie poruszała się czując, że wszedł do salonu. Nie wyrzekł wszakże ani słowa i w końcu odwróciła się. Stał pośrodku pokoju, z Którego ciotka dyskretnie się wymknęła. Nigdy by go nie poznała. Miał teraz czterdzieści pięć lat i postać jego nie przypominała tej prostej, smukłej,

– Nie wiem, czemu przychodzisz i pytasz mnie o takie rzeczy! – wykrzyknęła Katarzyna.

– Dlatego, że przez lata całe pragnęłam nade wszystko, abyśmy żyli w przyjaźni po dawnemu.

– To niemożliwe.

– Czemu nie? Gdybyś pozwoliła...

– Ale ja nie pozwolę.

Znów przyjrzał się jej w milczeniu.

– Rozumiem. Moja obecność niepokoi cię i dręczy. Pójdę więc, ale pozwól, bym jeszcze cię odwiedził.

– Proszę cię, nie przychodź więcej.

– Nigdy? Nigdy?

Katarzyna zebrała wszystkie siły; pragnęła mu powiedzieć coś takiego, co by mu na zawsze zagrodziło drogę do jej domu.

– Postępujesz niewłaściwie. I nie ma ku temu żadnych podstaw.

– Ach, pani umiłowana, nie jesteś dla mnie sprawiedliwa! – zawołał Maurycy. – Czekaliśmy przecie tylko i teraz możemy zrobić, co zechcemy.

– Źle ze mną postąpiłeś – przypomniała Katarzyna.

– Nie, jeśli pojmiesz to właściwie. Wiodłaś ten swój spokojny żywot u boku swego ojca, a tego właśnie nie mogłem, nie chciałem cię pozbawić.

– Tak, wiodłam go zaiste.

Maurycy wiedział, jak bardzo jego sprawa ucierpiała na tym, że nie mógł dodać, iż Katarzyna miała z tego dodatkową korzyść; bowiem nie trzeba tu tłumaczyć, że znał treść testamentu doktora Slopera. Nie spieszyło go to jednak.

– Bywają gorsze dole! – wykrzyknął z przekonaniem. Można było przypuszczać, że ma na myśli swoją własną, nieugruntowaną sytuację. Zaraz też dodał znacznie tkliwiej: – Katarzyno, czy nigdy mi nie wybaczyłaś?

– Wybaczyłam ci już dawno temu, ale próżno byśmy usiłowali zostać przyjaciółmi. – Dlaczegoż by nie? Jeśli zapomnimy o przeszłości... Przed nami jest jeszcze przyszłość, dzięki Bogu!

– Ja nie zapomnę... nie mogę – odparła Katarzyna. – Zbyt okrutnie ze mną postąpiłeś. Bardzo to odczułam, bolało mnie to całe lata. – Katarzyna mówiła to wszystko, by zrozumiał, że nie powinien jej odwiedzać. – Nie mogę do tego

wrócić, nie mogę zacząć od npwa. Wszystko to umarło i zostało pogrzebane. Za wiele dla mnie znaczyło i bardzo odmieniło moje życie. Nie spodziewałam się ciebie tu zobaczyć kiedykolwiek.

– Ach, więc jesteś zagniewana! – wykrzyknął Maurycy, chcąc za wszelką cenę wykrzesać z jej spokoju jakąś iskierkę namiętności. Wówczas mógłby mieć nadzieję.

– Nie, nie jestem zagniewana. Gniew nie może trwać latami. Ale jest jeszcze coś innego. Odczucia, silne odczucia pozostają. Tylko że ja nie mogę o tym mówić. Maurycy spoglądał na nią chmurnie, głaszcząc brodę.

– Czemu nie wyszłaś za męża? – spytał znienacka. – Miałaś możliwości.

– Nie chciałam wyjść za męża.

– No tak, jesteś bogata, wolna; nic nie miałaś do wygrania.

– Nic nie miałam do wygrania – powtórzyła za nim Katarzyna.

Maurycy rozejrzał się dokoła niezdecydowanie i westchnął z głębi piersi.

– Cóż, miałem nadzieję, że moglibyśmy nadal się przyjaźnić.

– Zamierzałam powiadomić cię przez ciotkę, w odpowiedzi na twoją propozycję – gdybyś poczekał na odpowiedź – że nie masz po co przychodzić w tej nadziei.

– Do widzenia zatem. Wybacz natręctwo.

Skłonił się i Katarzyna zawróciła w głąb salonu. Stała tam jeszcze dobrą chwilę odwrócona, patrząc w ziemię, mimo że słyszała, jak zamknął za sobą drzwi.

W hallu natknął się na panią Penniman, podnieconą, żadną wieści; snuła się tam najwyraźniej oscylując między sprzecznymi uczuciami: ciekawością i godnością.

– Pięknie to pani obmyśliłaś! – rzekł wciskając kapelusz.

– Taka jest nieustępliwa? – zdziwiła się pani Penni-man.

– Nie zależy jej na mnie ani odrobinę... i przybiera te swoje przeklęte, oschłe tony.

– Bardzo oschłe? – dopytywała troskliwie pani Penni-man.

Maurycy zignorował jej pytanie. Stał jeszcze chwilę, w kapeluszu, rozważając.

– Ale dlaczego, u diabła, nie wyszła w ogóle za męża?

– Właśnie... dlaczego? – westchnęła pani Penniman; po czym, jak gdyby czując, że nie udzieliła należytego wyjaśnienia, dorzuciła: – Ale nie stracisz pan nadziei?... Wrócisz?

– Wróć? Diabła tam, niedoczekanie! – I Maurycy Townsend zamaszystym krokiem przesadził próg domu pozostawiając panią Penniman w osłupieniu.

Tymczasem w salonie Katarzyna, powróciwszy do robótki, usadowiła się z nią – jakby na resztę życia.